

Heath Sandra

Niepewność uczuć

Dla lorda Carismonta, bogatego i przystojnego wdowca, wybór odpowiedniej żony z jego sfery nie stanowiłby najmniejszego problemu, nie myśli jednak o sobie; najważniejsze jest dla niego dobro córki. Podczas rozmowy z Kate Kingsley, starającą się o posadę guwernantki, dochodzi do wniosku, że oto znalazł osobę odpowiednią do wypełnienia roli matki dla jego córki i składa kobiecie ofertę małżeństwa. Skromna, pełna wdzięku wdowa, mająca na utrzymaniu syna, z wahaniem przyjmuje tę propozycję; małżeństwo z lordem Carismontem raz na zawsze uwalnia ją od kłopotów finansowych. Kiedy jednak już jako jego żona przybywa do zamku na małej wysepce u brzegów Kornwalii, przekonuje się, że ktoś - lub coś - za wszelką cenę chce zniszczyć jej szczęście. Ogarniają ją wątpliwości, czy słusznie postąpiła, wychodząc za tego bogatego arystokratę. Tylko potęga prawdziwej miłości zdoła je rozwiązać, na przekór wszystkim przeszkodom.

Rozdział 1

Przystojny i elegancki, mógł uchodzić za uosobienie uwodziciela, kiedy tak stał przed kominkiem, zapatrzony w płomień. Od tamtego pierwszego spotkania w hotelu „Pulteney Kate coś w nim pociągało, no i w żaden sposób nie mogła przewidzieć, że wkrótce, kiedy będzie już za późno na wątpliwości, dowie się, że to on zabił jej męża.

Jednak wtedy pragnęła jedynie wyrzucić dobre wrażenie, żeby uznał ją za odpowiednią guwernantkę dla swojej córki.

- Lord Carismond? - odezwała się pierwsza. Odwrócił się nagle, jakby się jej nie spodziewał.

- Pani Kingsley? - Tak, to ja.

Jeśli nie liczyć zwiniętego w kłębek na fotelu przed kominkiem kota, byli w salonie hotelowym sami. Płonęły świece, na dworze zapadał bowiem zmierzch, gwałtowny, kwietniowy deszcz uderzał w szyby drzwi balkonowych, za którymi widać było balustradę z kutego żelaza, a nieco w dole Piccadilly. Kate dostrzegła latarnika i pomagającego mu chłopca, krzątających się przy ulicznych lampach gazowych; zaczęły się pojawiać trzy lub cztery lata temu, a teraz można je było spotkać prawie w całym Londynie. Po drugiej stronie ulicy rozciągał się Green Park, w którym pasły się jelenie i krowy. Drzewa kołysały się na wietrze.

Na słupie latarni przysiadł szaro-biały ptak - początkowo Kate pomyślała, że to krogulec. Była to jednak pierwsza, jaką ujrzała tej wiosny, kukulka. Mimo że odgłosy z zewnątrz były stłumione, słyhać było jej skrzeczenie, gdy próbowała

utrzymać równowagę na wietrze. O wiele wyraźniej słyszała jednaką trzask płomieni w kominku; ale przede wszystkim czuła nerwowe bicie własnego serca.

Stojący w kącie pokoju zegar zazgrzytał, a potem zaczął wybijać godzinę. Lord Carismont zaczekał, aż umilknie, a potem znów zwrócił się do niej:

- Dano mi do zrozumienia, że pilnie szuka pani pracy w charakterze guwernantki.

- Tak, to prawda. Od dwóch lat jestem wdową i nie mogę sobie pozwolić na życie bez pracy zarobkowej. Moja poprzednia chlebodawczyni, pewna dama z Norfolk, niespodziewanie ponownie wyszła za mąż i stwierdziła, że już nie jestem jej potrzebna. - *Ponieważ słusznie podejrzewała, że jej nowy mąż lubi uganiać się za spódniczkami.* - Mam... mam referencje...

- Referencje są niepotrzebne, pani Kingsley. Tak się akurat składa, że owa dama i ja mamy tego samego prawnika* Charlesa Carpentera. Bardzo ciepło wyrażała się o pani wyjątkowych zaletach. Podala nam też, jak się z panią skontaktować i Charles, po konsultacji ze mną, napisał do pani.

- Jestem bardzo wdzięczna, milordzie. - Kate była bardziej wdzięczna, niż mógł przypuszczać, bo znalazła się właśnie w dość tragicznym położeniu. Stała praca zapewniała dach nad głową jej i synowi, gdy więc nagle została zwolniona, rozpaczliwie poszukiwała nowej posady. List od Charlesa Carpentera bardzo ją ucieszył.

Lord Carismont uśmiechnął się lekko.

- Za wcześnie na wdzięczność, pani Kingsley, jeszcze niczego nie uzgodniliśmy - zauważył.

Nawoływanie kukulki stało się nagle znacznie głośniejsze i odwróciło uwagę Kate. Spojrzała na balkon, gdzie niezgrabny ptak trzepotał się teraz na balustradzie. Była zaskoczona, wiedziała bowiem, że kukulki są zwykle bardzo płochliwe, oczywiście z wyjątkiem okresu, kiedy składają jaja w gniazdach innych ptaków, bo wtedy stają się po prostu bezczelne. Jednak ta - Kate podejrzewała, że to samiec - demonstrowała wręcz swoją obecność. Zastanowiło ją, dlaczego lord Ca-

rlimont sprawia wrażenie, jakby w ogóle ptaka nie zauważył; co więcej, nie rozumiała, dlaczego kot także pozostał całkowicie obojętny. Spał w fotelu jak gdyby nigdy nic, podczas gdy tuż za oknem hałasowała i trzepotała skrzydłami kukułka.

Nagle ptak stracił równowagę i zabawnie spadł na balkon. Przez chwilę siedział, wyglądając jak oburzony, potem zerwał się i pofrunął na dach hotelu. Musiał usiąść na kominie, ponieważ jego kukanie zaczęło dobiegać z głębi kominka.

- *Uważaj! Uważaj!*

Kate zdawało się, że słyszy słowa przestrogi, chociaż z całą pewnością ani ona, ani lord Carismont ich nie wypowiedzieli. Rozejrzała się po pokoju, myśląc nawet przez chwilę, że ktoś wszedł, ale wciąż byli sami. Nie mogła niczego usłyszeć. To tylko wyobraźnia.

Płomienie świec pochyliły się, kiedy przez pokój nieoczekiwanie przebiegł chłodny powiew wiatru. Od płonących węgla buchnął snop iskier, wirując i tańcząc niczym serpentyny. Kate wpatrywała się w nie, zafascynowana.

Lord Carismont zwrócił się do niej ponownie.

- Pani Kingsley, rozumiem, że pani mąż zostawił panią bez środków do życia, a zginął w pojedynku?

Starła się skupić uwagę na rozmowie.

- Owszem, milordzie, chociaż, jeśli pan pozwoli, wołałabym raczej o nim nie mówić, a szczególnie o okolicznościach jego śmierci. - Wspomnienie Michaela często doprowadzało ją do łez, a teraz za nic w świecie nie chciała się rozpłakać.

Chwilę spoglądał na nią uważnie swymi ciemnymi oczami i skinął głową.

- Jak sobie pani życzy. Może powinniśmy porozmawiać o pani synu. Mogę spytać, jak mu na imię?

-Justin.

- Ile ma lat?

- Osiem.

- Jest rówieśnikiem mojej córki.

Obrzucił ją wzrokiem, jakby oceniał jej miłą aparycję, kształtną figurę i prostą suknię z cienkiej welenki, z długimi

rękawami, ściągniętą wysoko ponad talią. Suknia była zielona jak jej oczy, a złocisto-brązowy wzór na kaszmirowym szalu był koloru jej włosów, grubych i lekko kręconych. Pomyślał, że pani Kingsley musi wkładać niemało trudu, by upiąć je w modny węzeł na karku. Miała koło trzydziestu lat, nie była ani ładna ani brzydka, jej strój nie był ani szczególnie modny ani całkiem niemodny, a w jej oczach dostrzegł inteligencję. Większość mężczyzn byłaby szczęśliwa, mogąc wracać do domu, gdzie czeka taka kobieta. Znowu przemówił.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że zarezerwowałem apartament na jej nazwisko? „Pulteney” to najlepszy hotel w Londynie, a chciałbym, żeby pani i pani synkowi mieszkało się wygodnie.

- Mieszka nam się wygodnie, milordzie. Bardzo wygodnie. - Kate nie zaznała takich luksusów od śmierci Michaela. Hotelowego apartamentu nie można było w ogóle porównywać z wilgotnym, nędznym pokojem przy Upper Thames Street, który wynajmowała przedtem. Tylko na taki bowiem mogła sobie pozwolić przy swoich skromnych oszczędnościach.

- Bez względu na wynik naszej rozmowy - ciągnął - apartament jest do pani dyspozycji przez cały następny miesiąc.

- Jest pan bardzo hojny, milordzie. - Przyjrzała mu się równie uważnie, jak on jej. Gerent Fitzarthur, czwarty lord Carismont, miał około trzydziestu pięciu lat, może rok mniej, trudno było powiedzieć. Był wysoki, barczysty, miał urodziwą twarz. Okolone ciemnymi rzęsami oczy były szare jak zimowe morze jego rodzinnej Kornwalii. Z całej jego postaci emanowała melancholia, co ujmowało Kate za serce. Jakies dwa lata temu w tragicznych okolicznościach stracił żonę.

Sądząc po jego ogorzałej cerze, gardził cieplarnianą atmosferą, w jakiej obracały się londyńskie wyższe sfery; najwyraźniej przedkładał pobyt na świeżym powietrzu nad siedzenie w przegrzanych salonach. Jego ciemne włosy były zmierzwi~~one~~one i wilgotne, bo właśnie jechał przez Hyde Park do hotelu,

kiedy zaczęło padać. Jego nieskazitelny cylinder, rękawiczki i szpicruta leżały na stoliku. Deszcz pozostawił ślady na cylindrze, jeszcze więcej było ich na ślicznie skrojonym, zielonym surducie. Szpilka ze szmaragdem polyskiwała wśród obfitych fałdów muslinowego fularu pod szyją i wprost trudno było sobie wyobrazić coś bardziej olśniewającego od jego różowej, pikowanej kamizelki. Miał wąskie biodra, a obcisłe spodnie z kremowego sztruksu podkreślały jego długie, kształtne nogi.

Wstęga iskier wciąż tańczyła za jego plecami, wirując nad ogniem, jakby nie miała ochoty poszybować w górę komina na zimny świat, który spowijał już zmierzch. W cichym salonie wciąż rozbrzmiewało kukanie kukulki, dobiegające od kominka. W pewnej chwili ten miarowy dźwięk przemienił się w gniewne skrzeczenie, na palenisko posypały się sadze, a szuranie oraz inne rozpaczliwe odgłosy pozwalały się domyślić, że niezdarny ptak znów stracił równowagę, tym razem wpadając do komina.

Dopiero teraz kot postawił uszy i otworzył szeroko swoje zielone ślepia. Lord Carismont jednak nie odwrócił się. Sprawiał wrażenie całkowicie nieświadomego obecności kukulki i zdecydowanie osobliwych iskier. Jak mógł nie usłyszeć hałasu w kominie? Ani nie zobaczyć sadzy, które osypały się na palenisko? Z pewnością przecież to wszystko nie było wytworem jej wyobraźni. Kate była tym nieco zakłopotana i miała ochotę się uśmiechnąć, ale musiała słuchać pełnych oburzenia okrzyków kukulki. Doprawdy musiał być z niej niezły ptaszek.

- Nieci to zaraza porwie! Niech to porwie zaraza! Dlaczego ta ladacznicza, musiała tu przyjechać? Londyńskie kominy bez wątplenia należą do najbrudniejszych w tym kraju!

Kate aż drgnęła, słysząc zfość, z jaką wypowiedziano te słowa. Ale kto to zrobił? Spojrzała na lorda Carismonta. Musiała się zamyślić i coś źle zrozumieć, bo z całą pewnością nie powiedziałby nic o ladacznicach!

- Proszę mi wybaczyć, milordzie, ale... ale nie dosłyszałam, co pan powiedział.

- Co powiedziałem? O pokojach do pani dyspozycji?

- Nie, o londyńskich kominach.

Spojrzał na nią tak, jakby postradała zmysły.

- Nie wspomniałem ani słowem o londyńskich kominach, pani Kingsley, ani nie widzę żadnego powodu, dlaczego miałbym to zrobić.

- Ani ja, milordzie. Proszę zapomnieć o moim pytaniu. -Poczula się okropnie głupio, ale z całą pewnością usłyszała czyjaś uwagę o jakiejś ladacznicy.

Harce kukułki wciąż sprawiały, że z komina leciały sadze, i Kate była już teraz pewna, że dziwnie ruchliwe iskry umykały właśnie przed nimi.

Oczywiście, wszystko to było niemożliwe. Czyżby? Och, to śmieszne! Co się z nią, u licha, dzieje? Musi się opanować, ta rozmowa ma dla niej ogromne znaczenie.

Znów skupiła całą uwagę na lordzie Carismoncie.

- Pani Kingsley, moja córka Genevra jest wyjątkowo wrażliwym dzieckiem.

Dwa lata temu niewiele brakowało a utonęłaby i do tej pory nie otrząsnęła się z tego przeżycia. - Zawahał się. - Muszę być uczciwy i również ostrzec panią, że ostatnio stała się trudnym dzieckiem.

Kate zauważyła, że unika jej wzroku, i zastanowiło ją, czy w zachowaniu Genevry nie zaszły większe zmiany, niż gotów był to przyznać.

- Do niedawna uczył ją wikariusz kościoła św. Tomasza w Trezance, ale niestety ostatnio stan jego zdrowia tak się pogorszył, że był zmuszony udać się na kurację do Bath. Zamierzałem znaleźć dla niej innego nauczyciela, ale potem doszedłem do wniosku, że może lepiej będzie zatrudnić guwernantkę.

- Rozumiem, milordzie.

- Pani Kingsley, myślę, że moja córka i pani syn bardzo się" różnią od siebie.

Czy przewiduje pani w związku z rym jakieś kłopoty?

- Kłopoty? Dlaczego mieliby przysparzać jakichś kłopotów? -Jak powiedziałem, Genevra potrafi być trudnym dzieckiem.

- Wszystkie dzieci bywają trudne, milordzie, a pańska córka musiała dużo przejść.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Zdaje się, że słyszała pani o wypadku mojej żony.

- Tak. - Kto nie słyszał? Dwa lata temu, w 1816 roku, zaledwie kilka dni przed śmiercią Michaela, wszystkie gazety rozpisywały się o tragicznej śmierci Seleny, lady Carismont, Wydarzyło się to w ostatnią noc kwietnia. Wysoka, wiosenna fala przyływu zmyła ją z półkilometrowej grobli, łączącej wyspę Carismont z wybrzeżem Kornwalii, Genevra też o mało nie utonęła, ale ojcu udało się córkę uratować.

Lord Carismont podszedł do okna, by spojrzeć na Piccadily, strugi deszczu na szybach zniekształcały światła latarni,

- Pani Kingsley, obawiam się, że rozpieściłem Genevrę, być może za dużo.

- To zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności śmierci jej matki.

Spojrzał na nią przez ramię.

- Z całym należytym wobec tragedii szacunkiem, bez względu na to, jak szczegółowo w owym czasie gazety o tym donosiły, nie zna pani prawdziwych okoliczności śmierci Seleny. Ale wołałbym o tym nie mówić, tak jak pani nie chce wracać do śmierci swego męża. Obydwoje mniej więcej w tym samym czasie straciliśmy bliskie nam osoby, i tyle.

Kate poczuła się, jakby została skarcona, i na jej policzki wystąpił lekki rumieniec. Wolalaby, żeby nie był tak bardzo atrakcyjny, żeby jej tak nie pociągał. To śmieszne pozwolić, by takie myśli chodziły jej po głowie. Była ubogą wdową, starającą się o pracę, a on bogatym lordem, szukającym guwernantki dla swej osieroconej córki. To wszystko.

Szybko przeniosła wzrok na kominek, gdzie osobliwe skry w końcu zwróciły uwagę kota, a nią zawładnęły prawie całkowicie. Sadze przestały się już osypywać, z czego Kate wywnioskowała, że kukulka wydobyła się jakoś z komina, ale wciąż słyszała jej gniewne skrzeczenie, zupełnie jakby była zła na siebie za swoją niezdarność. Jeszcze nigdy nie zetknęła się z tak niezwykłą kukulką. Gdyby to była na przykład papuga, można by to zrozumieć, ale kukulka?

Lord Carismont odwrócił się w jej stronę.

- Pani Kingsley, czy kocha pani swego syna? - zapytał niespodziewanie.
- Ależ naturalnie.
- Czy rozważyłaby pani posłanie go do Eton? - Z uwagą obserwował jej twarz.
- Do Eton? - Zaskoczył ją tym pytaniem. - To wykluczone, milordzie.
- To całkiem możliwe, gdybym zdecydował się sfinansować jego edukację. Kate przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.
- Gdyby pan to zaproponował, milordzie, odmówiłabym skorzystania z tej oferty.
- M^ogę spytać dlaczego?
- Ponieważ Justin nie chce chodzić do szkoły, z powodu której musiałby wyjechać, a ja za bardzo go Kocham, by wymóc na nim zgodę na taki wyjazd. Więc jeśli chciałby mnie pan zatrudnić pod warunkiem, że rozstanę się ze swoim synem, kontynuowanie tej rozmowy nie ma sensu.
- Uśmiechnął się i uniósł dłoń.
- Proszę się nie gniewać, Pani Kingsley, byłem tylko ciekaw pani reakcji. Jego uśmiech działał na jej zmysły, wkładała dużo wysiłku, żeby tego po sobie nie okazać.
- A więc zaspokoił pan swoją ciekawość, milordzie. Ale gdyby wyciągnął pan z tego wniosek, że jestem matką zbyt pobłażliwą, pragnę pana uspokoić, że trzymam mojego syna krótko. Po prostu nie akceptuję wysyłania małych dzieci daleko od domu. Uważam, że to okrutne.
- Nie musi się pani bronić, bo w pełni zgadzam się z pani zdaniem.
- Naprawdę?
- O, tak. Sam zostałem posłany do szkoły daleko od domu i nienawidziłem każdej chwili swego tam pobytu. Ciekaw byłem, jak bardzo... jak bardzo jest pani ambitna. - Znów odwrócił się do okna, by patrzeć na deszcz. - Pani Kingsley, czy wiadomo pani, że Genevra nigdy nie opuszcza Kornwalii?
- Że na stałe mieszka w zamku Carismont? Tak, wiem.
- Ja też tam mieszkam, ale interesy często zmuszają mnie do wyjazdów do Londynu. Teraz także sprowadziły mnie tutaj sprawy majątku. Genevra nigdy mi nie towarzyszy, chociaż mam dom przy Berkeley Square. Od śmierci matki odmawia opuszczania wyspy, nie chce nawet jeździć do Trezance, chociaż leży zaledwie kilkaset metrów od grobli. - Westchnął ciężko. - Trzeba jej przywrócić radość dzieciństwa.

- Rozumiem, milordzie.
- Co pani myśli o zamieszkaniu na małej, kornwalijskiej wysepce? - spytał.
- Nie przepadam za miejskim życiem.
- A pani syn?
- On też woli wieś. Myślę, że podobnie jak większość dzieci. Deszcz smagał szyby, kukulka zrędliwie kukłała na dachu.

Jeszcze raz wiatr zawył w kominie i węgle rozżarzyły się, zielone i różowe iskry uniosły się niczym robaczki świętojańskie po letniej ulewie. Kot usiadł prosto, a kiedy spojrział na ogień zjeżył lekko sierść. Kate kątem oka dostrzegła, że jedna skra była znacznie większa od innych - miała dwa centymetry średnicy, lawendowy kolor i unosiła się tak, jakby miała niewidzialne skrzydła. Kate zamknęła oczy, po chwili znów je otworzyła, ale lawendowa skra nie zniknęła. Kobieta, starając się znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie tego, co widzi, doszła do wniosku, że widocznie jest przemęczona i dostrzega rzeczy, których nie ma. Chociaż nie, to nie mógł być wytwór jej wyobraźni, bo kot także coś zauważył. A przecież kot, który prawie cały czas drzemie, nie może być przemęczony! Lord Carismont znów przemówił.

- Pani Kingsley, rozumiem, że zapoznała się już pani z pierwotnymi warunkami umowy o pracę?

Odniosła wrażenie, jakby podjął nagłą decyzję, bo dosłyszała w jego głosie zupełnie nowy ton.

- Pierwotnymi? Czy coś się zmieniło?
- Tak, proszę pani. Zaszła pewna poważna zmiana. Ale zanim wyjaśnię, chcę panią zapewnić, że wpadłem na ten po

mysł w tej chwili i dzisiejsza rozmowa z panią nie była żadnym podstępem z mojej strony.

- Żadnym podstępem z pana strony? - powtórzyła niepewnie i nieufnie.

- Otóż nagle uświadomiłem sobie, że nie powinienem pani proponować, by została pani guwernantką mojej córki, tylko... tylko moją żoną.

Rozdział 2

W chwili, gdy lord Carismont wystąpił ze swoją niesłychaną propozycją, w hotelowym salonie powstał prawdziwy zamęt. Płomienie w kominku wystrzeliły wysoko w górę i snop iskier wpadł do pokoju, a wielka lawendowa, wydając odgłos przypominający głośny pisk, jakby ogarnięta wściekłością krążyła jak szalona nad meblami, a za nią leciały jej znacznie mniejsze towarzyszki.

Kukulka znów sfrunęła na balkon, kukając zawzięcie i tańcząc matelota, co nieomal wytrąciło Kate z równowagi. Złożywszy skrzydła, ptak podskakiwał to na jednej, to na drugiej nóżce albo obracała się, rozkładając pióra ogona. Jeśli ptaki umiałyby się śmiać, to ten robił to z całą pewnością, trudno bowiem wyobrazić sobie większą radość od tej, która była od upierzonego stworzenia!

- Hejże ho! Hejże ha!

Kate, po raz trzeci usłyszawszy czyjś głos, stwierdziła, że nie jest zupełnie normalna, i to z całą pewnością. Powinno się ją zamknąć w najdalszym kąciaku jakiegoś domu wariatów! Miała przywidzenia i omamy słuchowe, a teraz jeszcze wydaje jej się, że najprzystojniejszy lord w Anglii poprosił o jej rękę! Tylko kobieta pozbawiona rozumu uwierzyłaby w coś takiego!

- Hejże ho! Na magiczny pas Gawaina! Jest, jednak sprawiedliwość na tym świecie! O, jest!

Kate stała z niewzruszoną miną. Nie będzie tego słuchała i tyle. Zwyczajnie uda, że nic nie słyszy!

Zaskoczony jej milczeniem Lord Carismont, który najwidoczniej wciąż pozostawał w błogiej nieświadomo-

ści, co się tutaj dzieje, uśmiechnął się nieco zażenowany.

- Czyżby moja propozycja była aż tak nieprawdopodobna? - spytał cicho.

- Ja.. - Nagle Kate doszła do wniosku, że tego już za wiele. - Lordzie Carismont, wokół nas dzieją się bardzo osobliwe rzeczy. Gromada dziwnych iskier krąży po pokoju niczym rój rozzłoszczonych owadów, na balkonie jest kukulka, co biorąc pod uwagę ulewę, nie jest normalne, i mogę przysiąc, że tańczy matelota. - Powstrzymała się przed powiedzeniem o głosach, które słyszała.

- Co tańczy? - Zdumiony odwrócił się, żeby spojrzeć za okno, ale właśnie w tej chwili podmuch wiatru rzucił o szybę falą deszczu, która wszystko przesłoniła. A kiedy po chwili trochę się uspokoiło i znów pojawiła się dokazująca kukulka, pokręcił tylko głową. - Nic nie widzę, pani Kingsley.

- Nic? Przecież jest tam! Proszę spojrzeć. - Wskazała ręką. Tym razem nawet nie odpowiedział.

Kate, zmieszana, podbiegła z determinacją do okna i otworzyła je. Na dworze było już zupełnie ciemno. Deszcz zaczął smagać jej twarz, a poryw wiatru wydał suknię, kiedy stała dwa kroki od zdumionego ptaka, który przestał dokazywać, przechylił lepek na bok, by spojrzeć na nią świdrująco, a potem wrócił do swych harców. Z całej jego postaci biła niewypowiedziana radość, jakby właśnie wydarzyło się coś wspaniałego.

Lord Carismont także podszedł do okna i wyjrzał, ale znów pokręcił głową.

- Nic nie widzę, pani Kingsley - powtórzył.

Kate ogarnięta zdumieniem zamknęła okno, ale zmuszona była zaakceptować fakt, że lord naprawdę nie widzi kukulki.

- A skry? - spytała, kiedy lawendowa iskierka przeleciała tuż przed jej nosem.

- Iskier też nie widzę. - Powiedział, ale tym razem nie zabrzmiało to przekonująco. Może rzeczywiście nie widział zwariowanej kukulki, ale Kate gotowa była założyć się o cokolwiek, że jest w pełni świadomy szalonego tańca lawendowej iskry. Lecz wszystko, co mogłaby teraz zrobić, to nazwać go kłamcą. Bez słowa mocno domknęła balkonowe drzwi i w tej samej chwili zniknęła zarówno kukulka, jak i rój iskier. Kot przeciągnął się i ziewnął, a następnie znów zwinął się na fotelu w kłębek i ponownie zapadł w drzemkę. Wszystko znowu wyglądało najnormalniej pod słońcem i Kate

zrobiło się okropnie głupio.

- To wszystko przez światła latarni, odbijające się w mokrej szybie - mruknęła zrezygnowana, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że to, co widziała, nie ma nic wspólnego z żadnymi refleksami światła.

Lord Carismont uśmiechnął się.

- Chyba ma pani rację. Jednak odbiegliśmy od tematu, bo rozmawialiśmy o małżeństwie, nieprawdaż?

Tym razem mówił szybko, za szybko, pomyślała Kate. Próbował zbagatelizować cały incydent, chociaż wiedział, że nawet jeśli nie wszystko, to jakaś część tego, o czym mówiła, była z pewnością prawdą. Przynajmniej nie zmyśliła sobie jego oświadczeń!

- Pani Kingsley - ciągnął - spróbuję wytłumaczyć powód, który skłonił mnie do złożenia pani takiej propozycji. Zamek Carismont jest odcięty od świata, wzniesiono go na małym skrawku lądu, oddzielonym od Kornwalii przesmykiem wodnym, jeśli nie liczyć okresów wyjątkowo niskiego odpływu. Podczas mojej nieobecności chciałbym mieć pewność[^] że Ge-nevra znajduje się pod opieką kogoś naprawdę kochającego i oddanego. Mam na względzie wyłącznie jej dobro, coraz wyraźniej widzę, że brak jej kobiecej opieki. Pani Pendern, gospodyni, stara się jak może, ale ma zbyt wiele obowiązków, by móc poświęcać Genevrze dużo uwagi. Mogłoby się wydawać, że idealnym rozwiązaniem było zatrudnienie guwernantki, ale taka osoba, nawet jeśli posiada wymagane kwalifikacje, nie cieszy się autorytetem, niezbędnym do wychowywania dzieci. Tymczasem lady Carismont posiadałaby taki autorytet.

Kate starała się z całych sił nie myśleć o tym, co się wyda/ rzyło w ciągu ostatnich kilku minut.

- Nie mogę zaprzeczyć, że pańskie rozumowanie jest logiczne, milordzie, ale czemu złożył pan taką propozycję akurat mnie? Obydwoje wiemy, że jestem ostatnią kandydatką do roli lady Carismont. Rozmawiamy ze sobą po raz

pierw-

szy w życiu, więc nic pan o mnie nie wie. Poza tym, jest pan bogatym wdowcem, arystokratą, który może przebierać wśród najlepszych partii w mieście. Dlaczego miałby pan poślubić ubogą wdowę z dzieckiem?

- Pani Kingsley, posiada pani to wszystko, czego potrzebuję. Genevrze potrzebna jest matka, a z pani słów wywnioskowałem, że na pierwszym miejscu stawia pani dobro dzieci. Nie chcę żony, która będzie pół roku spędzać w Londynie, myśląc wyłącznie o sezonie towarzyskim i o tym, na ilu balach i rautach uda jej się pokazać. Nie szukam też żony w pełnym znaczeniu tego słowa, tylko kogoś, kto odpowiednio zaopiekowałby się Genevrą. Innymi słowy, potrzebuję kogoś, kto byłby kimś więcej niż guwernantką, ale nie do końca żoną, choć otrzyma takie przywileje. Będzie pani miała w zamku swoje własne pokoje i nigdy nie będę się domagał pełni swych praw małżeńskich. Jako lady Carismont będzie się pani cieszyła całym szacunkiem i autorytetem i będzie pani mogła korzystać z pełni przywilejów, jakie wiążą się z tym tytułem. Jedyne, o co proszę w zamian, to otoczenie mojej córki taką opieką, jakby była pani rodzonym dzieckiem, i obdarzenie jej możliwie największą częścią tej miłości, jaką ma pani dla swego syna. Ogromnie się o nią martwię i muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, by uratować ją przed... - Urwał, najwyraźniej zrezygnowawszy z powiedzenia tego, co zamierzał.

- Przed czym, milordzie? - spytała Kate.

- Och, nieważne. To tylko figura retoryczna.

Znów mu nie uwierzyła. Lord Carismont był przystojny i pociągający, ale nie do końca szczery. Nie miała pojęcia, dlaczego tak jest, ale, prawdę mówiąc, wiele rzeczy w jego postępowaniu wymagało wyjaśnień, a wśród nich jego zamiar poślubienia Kate Kingsley.

- A jeśli odrzucę pańską propozycję? - spytała.

- Wtedy poszukam sobie kogoś innego. Obawiam się, że ślub jest teraz dla mnie warunkiem podstawowym. - W ciszy, która zapadła, dudnienie deszczu o szyby wydawało się niezwykle głośne. Przyglądał się wyrazowi jej twarzy. - Jeśli wyrazi pani zgo-

dę, może być pani pewna, że Justin będzie dobrze zabezpieczony na przyszłość, podobnie zresztą jak pani. Nigdy więcej nie będzie się pani kłopotać tym, skąd wziąć pieniądze na życie.

Niezależnie od tego, czy było to słuszne czy nie, przyjęcie niesłychanych oświadczeń lorda Carismonta bardzo ją pociągało. Nie miała nic do stracenia, a dzięki temu małżeństwu mogła zyskać więcej niż wiele - i Justin też. Ale jeśli zgodzi się, czy jej syn to zrozumie? Bardzo kochał swego ojca - za bardzo, by mogła podjąć decyzję nie rozmawiając przedtem z synem.

- Milordzie, zanim udzielię panu ostatecznej odpowiedzi, chyba... chyba powinnam porozmawiać ze swoim synem.

- Rozumiem.

- A Genevra? Czy nie powinien pan...

- Omówić tego z nią? Tak, w normalnej, uporządkowanej sytuacji zrobiłbym to, ale teraz nie mam na to czasu. Muszę spędzić w Carismont cały ostatni tydzień miesiąca, a chcę wziąć ślub przed wyjazdem z Londynu.

Kate aż otworzyła szerzej oczy.

- Tak szybko? Ale przecież...

- Pani Kingsley, ta sprawa nie podlega dyskusji. Jeśli postanowi pani przyjąć moją propozycję, za tydzień pobierzemy się, i natychmiast potem wyjedziemy do Kornwalii.

- Przecież ślubu nie można zorganizować tak...

- Szybko? Ależ można, pani Kingsley, szczególnie, gdy się ma odpowiednio ustosunkowanych przyjaciół. Specjalne zezwolenie będzie załatwione na czas. Jeśli chodzi o inne sprawy, nie planuję zbyt okazałego przyjęcia weselnego.

Wiosenny deszcz ustał tak niespodziewanie, jak się rozpoczął. Trawa i wiecznie zielone drzewa, zroszone jego kroplami, połyskiwały w blasku latarni. Lord Carismont przeszedł przez salon, zbliżył się do niej i uniósł jej dłoń do swych ust.

- Wydaje mi się, że dałem pani dużo do myślenia, pożegnaj się więc teraz i, jeśli pani pozwoli, pojawię się ponownie jutro w południe.

- Mam nadzieję, że pozna pan wówczas moją odpowiedź.

- Dobranoc, pani Kingsley.

- Dobranoc, lordzie Carismont.

Wziął ze stolika swoje rzeczy i podszedł do drzwi, ale jeszcze na chwilę przystanął.

- Być może jest jeszcze coś, o czym powinienem pani powiedzieć, zanim podejmie pani decyzję.

- To znaczy?

- Większość dżentelmenów ma ulubionego ogara, który wszędzie im towarzyszy. Ja jestem trochę inny, w Carismont trzymam oswojonego lamparta.

- La... lamparta? - słabo powtórzyła Kate.

- Tak. Wabi się Belerion, co w języku kornwalijskim znaczy Koniec Świata, i może swobodnie biegać po całym zamku i wyspie. - Uśmiechnął się na pożegnanie i opuścił salon.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Kate wyszła na balkon. Kwietniowy wieczór był chłodny i wilgotny, zapowiadał nadejście dalszych deszczów. Wciąż wiał wiatr, a turkot kół i stukanie podków o bruk przeplatały się z odgłosami rozbryzgiwanej w kałużach wody. Przechodnie, korzystając z tego, że przestało padać, spieszyli do domów, gazeciarz wykrzykiwał tytuły najświeższych wydań gazet, a kwiaciarka namawiała mijających ją ludzi do zakupu „słodko pachnących żonkili”. Na Piccadilly zawsze panował ruch, bez względu na pogodę i porę dnia.

Tuż pod balkonem, na stopniach hotelu, przemoknięty stajenny trzymał wodze wspaniałego - chociaż równie przemoczonego - bułanego konia czystej krwi. Kate spoglądała w dół, kiedy lord Carismont wyłonił się z głównego wejścia do hotelu, rzucił stajennemu monetę, a ten natychmiast zdjął derkę, którą przykryty był wierzchowiec. Lord Carismont dosiadł konia, ujął wodze i ruszył ulicą na wschód.

Patrząc za nim, Kate w pewnej chwili odniosła wrażenie, że stukot podków jego konia jest jedynym odgłosem, jaki dobiega z zatłoczonej ulicy. Nagle przeniosła się ze spowitego późnym zmierzchem Londynu do zamku i spoglądała za lordem z wychodzącego na północ okna w wykuszu, znajdującym się wysoko nad ziemią. Wiedziała, że patrzy na północ, ponieważ słońce zaczęło zachodzić po jej lewej ręce. Zamek

znajdował się na skalistym wzgórzu otoczonym dębowym lasem, ptasie trele były donośne i wesole. Długa polana, barwna od leśnych kwiatów, ciągnęła się od podnóża zamkowego wzgórza... Kate nie widziała dobrze, bo wszystko w oddali spowijała mgielka, ale odnosiła wrażenie, że dostrzega zatoczkę lub strumień i chyba jakąś żaglową łódź.

Lord Carismont odjeżdżał długą polaną. Nagle z mgielki w oddali wystrzeliła w jego stronę lawendowa iskra i Kate poczuła ukłucie niepokoju. Groziło mu niebezpieczeństwo! Powinien się odwrócić! Teraz! Natychmiast! Przyłożyła dłonie do policzków, pragnąc krzyknąć, żeby go ostrzec, jednak z jej ust nie wydobył się głos. Światelko przybliżało się szybko, ale wtem, kiedy wydawało się, że za chwilę osiągnie swój cel, nie wiadomo skąd wyskoczył lampart. Pomrukując i prychając nerwowo, rzucił się do przodu i światelko odplynęło, jakby ze stracha

Kate była niemal pewna, że usłyszała piskliwy okrzyk pełen wściekłości, kiedy światelko próbowało zbliżyć się do lorda Carismonta z innej strony, ale wtedy pojawiła się kukulka i zaczęła dziobać światelko swym ostrym dziobem. Za chwilę razem z lampartem gonili je wzdłuż polanki w stronę, gdzie wszystko ginęło we mgle. Kate wydawało się, że dostrzegła tam połyskliwą wodę. Może w oddali płynęła rzeka.

Wciąż wpatrywała się w Piccadilly, widząc to, czego - jak doskonale zdawała sobie sprawę - nie mogło tu być.

- Mamo...

Drgnęła i odwróciła się, słysząc za sobą głos Justina.

- Och, Justinie! Nie wiedziałam, że tu jesteś! Chłopiec wyszedł na balkon i zaintrygowany spojrział tam, gdzie przed chwilą utkwiała wzrok.

- Na co patrzyłaś?

- Och, na nic - powiedziała pospiesznie i czule przesunęła dłonią po jego jasnych włoskach. Był ładnym dzieckiem, niebieskor okim i jasnowłosym, jak jego ojciec. *Proszę, żebyś pozwolił mi w dorosłym wieku być obojętnym na pokusy gier karcianych..*

- Czy lord Carismont zaproponował ci posadę guwernantki? - spytał Justin.

Znów rzuciła okiem na Piccadilly, ale teraz widziała już jedynie ruchliwą ulicę. Lord Carismont zniknął w tłumie.

- Owszem, ale jeszcze nie podjęłam decyzji - odparła i razem z Justinem wróciła do pokoju.

Zamknęła drzwi balkonowe i znaleźli się w cichym, hotelowym salonie.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Nie podjęłaś jeszcze decyzji? Myślałem, że przyjmiesz tę posadę, mamo.

- Jest jeden warunek. - Działając pod wpływem impulsu, przykucnęła przed synem i delikatnie położyła mu dłonie na ramieniu. - Justinie, lord Carismont nie chce, żebym była tylko guwernantką, chce, żebym została jego żoną. Żeby jego córka Genevra znów miała matkę.

Justin cofnął się.

- Przecież nie możesz być jej matką, bo jesteś moją mamą!

- I zawsze nią pozostanę, kochanie, ale...

- I nie możesz być również jego żoną, ponieważ jesteś żoną tatusia! - Do oczu chłopca napłynęły łzy, wyrwał się jej i wybiegł z pokoju.

Kate spoglądała za nim z żalem. Powinna była się nieco zastanowić, nim rozpoczęła tę rozmowę. Nie przygotowała go odpowiednio na to, co miała mu do powiedzenia. Postąpiłaby znacznie rozsądniej, próbując synowi przedstawić wszystko stopniowo? Wyprostowała się wolno. Cóż, teraz już przepadło. Na razie zostawi tę sprawę, da Justinowi czas na oswojenie się z nią, a wróci do tego później.

Stojąc tak zupełnie samą w pokoju, uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie przyjąć propozycję lorda Carismonta. Nie знаła go prawie, a jednak chciała zostać jego żoną. Zamknęła oczy w nadziei, że kiedy znów je otworzy, rozsądek powróci. Nie stało się tak jednak, nadal czuła pragnienie poślubienia tego mężczyzny; skoku w nieznane. Odwróciła się, by spojrzeć na ogień w kominka Ujrzała jedynie rozżarzone węgle, lizane przez płomienie, ale oczami duszy widziała wciąż snop iskier, wykonujących swój szalony taniec, wirujących i migoczących, gdy podążały za swym lawendowym przywódcą.

Rozdział 3

Tamtej nocy Kate znów ujrzała las. Było już dobrze po północy, a kolejna, kwietniowa ulewa waliła w okna jej sypialni w hotelu „Pulteney”. Obróciła się we śnie i wciąż spała, kiedy fiakier przejechał Piccadilly, ale przyśniło jej się, że się obudziła, ponieważ w jej pokoju była kukulka. Mało tego, siedziała na jej łóżku!

Usiadła gwałtownie i stwierdziła, że znajduje się w zupełnie innej sypialni niż ta, w której położyła się spać. Znów była na zamku. Przez okno w wykuszu wpadały teraz jasne promienie wiosennego słońca. Okno było otwarte, ale zamiast odgłosów Piccadilly usłyszała głośnie świergotanie ptaków. Zamiast w zwykłym, hotelowym łóżku w biało-beżowe pasy, leżała w ogromnym łożu z baldachimem, nakrytym kapą z wyszywanego złotem czerwonego aksamitu. Mebel wykonany był z ciemnego, misternie rzeźbionego dębu, a materac tak gruby i miękki, jakby wypełniono go łabędzim puchem. Przypuszczała, że łoże powstało w czasach Tudorów, a może nawet jeszcze dawniej. Ktoś spał obok niej, ale nie widziała, kto.

Kukulka przysiadła w nogach łóżka, a po chwili sfrunęła na bogato haftowaną narzutę. Kate patrzyła na ptaka, doskonale zdając sobie sprawę, że bez względu na realizm otoczenia, wszystko to jest tylko snem. Spała w hotelu „Pulteney”, a to, co teraz oglądała, było jedynie wytworem jej wyobraźni. Kukulka podskoczyła w jej stronę, a ona odruchowo wyciągnęła do niej rękę. Kiedy ptak zgrabnie usiadł na mankietcie jej pełnej plisek i falbanek nocnej koszuli, rozległ się głos, który słyszała już poprzednio

- *Okno.*

Z siedzącą wciąż na ręku kukułką Kate wstała z łóżka i podeszła do okna w wykuszu.

Rozciągał się za nim ten sam widok, co poprzednio, na długą polanę w dębowym lesie, dalszy pejzaż spowijała mgielka. Kate wiedziała, że gdzieś w pobliżu jest morze, i była pewna, że wcina się w łąd przy końcu polany. Jedyne, co było tam wyraźnie widoczne, to lawendowe światelko. Mimo pełnego słońca widziała, jak unosi się w oddali, wyglądało to tak, jakby z zasłony mgły wyłonił się ktoś, trzymający kolorową latarnię.

Kukułka przechyliła łepkę i wpatrywała się w światelko, a Kate usłyszała jedno słowo:

- *Niegodźziwa.*

Czy głos należał do ptaka? Nie, to niemożliwe. Potrafią mówić papugi i gwarki, i jeszcze kilka gatunków, na przykład szpaki. Ale kukułki? Nie, z całą pewnością nie.

Wyjrzała przez okno ponownie, kiedy jej uwagę zwrócił stukot podków wolno stąpającego konia, który pojawił się na ścieżce.

- *Chron! Chron!*

Kukułka zachwiała się i zatrzepotała skrzydłami, kiedy Kate wychyliła się, żeby spojrzeć na stok skalistego wzgórza, stromo opadającego w dół. Nie zdołała dostrzec wjazdu do zamku, a jedynie mur obronny z małymi, łukowatymi oknami. U podnóża skały z lewej strójhy - czyli z zachodu - biegła wąska, kręta droga, prowadząca na polanę. Na niej właśnie pojawił się lord Carismont na swym bułanym koniu, obok kroczył lampart. Tak jak poprzednio, Kate ogarnął lęk, że coś mu zagraża.

- *Chron! Chron! Chron!*- rozbrzmiewało w jej głowie, a siedząca na jej ramieniu kukułka, tak energicznie trzepotała skrzydłami, że Kate nabrała pewności, iż głos należy do niej. Słowa wypowiedziane zostały w sposób tak nagły, że jej lęk o lorda Carismonta jeszcze się pogłębił. Nie wolno mu jechać do lasu, nie wolno! Zawołała do niego.

- Gerencie! Proszę, zostań! Błagam cię!

Zwróciła się do niego po imieniu, jakby знаła go od dawna. Kukułka rozpostarła skrzydła i pofrunęła w stronę jeźdźca,

jej kukanie odbijało się echem od muru zamku. Lord Carismont spojrział w górę na okno w wykuszu, a kiedy spotkały się ich spojrzenia Kate aż zadrżała. Miłość do niego przeszła ją niby włócznia. Za wszelką cenę pragnęła go ratować. Nie wiedziała przed czym, ale mimo to z jej ust popłynęły słowa:

- Nie wyjeżdżaj, Gerencie! Zostań ze mną! Ona chce cię skrzywdzić! Chce ci wyrządzić wielką krzywdę! - zawołała, ale on odwrócił głowę i nie zatrzymując się jechał dalej stromą, niebezpieczną drogą.

Kukulka przysiadła na grzbiecie lamparta, kukając niezmordowanie, jakby nawoływała wielkiego kota, by coś zrobił, ale on stulił tylko uszy i nie przerwał biegu. Zdesperowany, że nikt nie zwraca na niego uwagi, ptak sfrunął na drogę przed Gerentem i zaczął podskakiwać, machając skrzydłami i kukając, aby w ten sposób zawrócić mężczyznę z drogi. On jednak, obojętny na te wysiłki, jechał przed siebie i kukulka, by uniknąć stratowania, musiała odskoczyć na bok. Nie przyzwyczajona do takiego traktowania i poirytowana znów wróciła na środek drogi i obrzuciła jeźdźca, konia i lamparta kilkoma obraźliwymi epitetami.

Kate była zrozpaczona.

- Wracaj, Gerencie! - błagała. - Jeśli wyjedziesz, już nigdy nie wrócisz! Proszę, Gerencie! Na litość boską, usłuchaj mnie!

Ale on jak gdyby nigdy nic jechał przed siebie i teraz znajdował się już prawie u stóp zamkowego wzgórza. Powiał wietrzyk, pochylając nisko główki leśnych kwiatów. Lawendowe światełko poszybowało w ich stronę i Kate usłyszała łagodny i urzekający, kobiecy głos.

- *Jesteś zupełnie bezpieczny. Nic ci nie grozi. Przybądź do mnie, mój najdroższy, i zaznaj wyłącznie szczęścia.* - Kiedy światełko podплыnęło bliżej, przemknęło wokół jego głowy niemal pieszczotliwie, i było w tym coś tak urzekająco pięknego, że Kate zamarła w bezruchu.

Potem rozległ się nowy odgłos wzbudzający grozę, i zagłuszający ptasie trele w lesie. Nawet kukulka zamilkła na dźwięk donośnego szumu spienionej wody. Kate ocknęła się

z chwilowego odrętwienia i poczuła, jak ogarnia ją panika* Zostało tak mało czasu! Tak mało! Musi skłonić Gerenta do powrotu zanim będzie za późno! Bez przerwy wołała jego imię, a z rozpaczy jej głos przypominał chwilami szloch.

Kukulka podfrunęła do Gerenta i próbowała schwytać światełko dziobem. Lampart w końcu warknął, rzucił się na światełko i zamachnął się na nie łapą, uzbrojoną w ostre pazury. Kate mogła przysiąc, że usłyszała przerażony pisk -a może była to wściekłość? - i światełko czmychnęło wzdłuż polany w stronę zamglonego widnokregu. Kukulka i lampart rzucili się w pościg, ryk wody stał się jeszcze głośniejszy, chociaż Kate nie potrafiła określić, skąd dochodził.

Dopiero wtedy Gerent ściągnął wodze i zawrócił konia, by spojrzeć na okienko w wykuszu.

- Kate!

- Wracaj, Gerencie! Zostało ci już niewiele czasu!

- Przecież muszę ratować Genevrę...

Kate nie usłyszała nic więcej, ponieważ w tym momencie słowa mężczyzny zagłuszył głos Justina.

- Mamo! Mamo, proszę, wejdź do środka!

Wszystko zaczęło wirować - światła, odgłosy, obrazy -a potem Kate obudziła się nagle i zobaczyła, że stoi na hotelowym balkonie nad Piccadilly. Było ciemno i zimno, poczuła na twarzy deszcz. Chciało jej się płakać z bezsilnej złości, bo nie tylko nie poznała zakończenia tego, czego właśnie była świadkiem, ale musiała też stawić czoło bardzo niemiłemu faktowi: znów chodziła we śnie, tak, jak bardzo często przydarzało jej się to w dzieciństwie. Po tylu latach, wolnych od napadów lunatyzmu, ta przykra dolegliwość znów wróciła.

Przez chwilę czuła taki zamęt w głowie, że opierała się Justinowi, który próbował wciągnąć ją do środka. Po chwili jednak opanowała się i spojrzała w głąb ciemnego, hotelowego salonu. Skonsternowana dostrzegła na progu ludzi, ich sylwetki wyraźnie rysowały się na tle oświetlonego korytarza. Byli tam zarówno pracownicy obsługi hotelowej w nocnych strojach, jak i goście, a wszyscy gapili się na nią, jakby była wariatką. Poczowała na policzkach gorące wypieki i z ociąganiem opuściła balkon.

Trzymający lichterz lokaj zbliżył się do niej niepewnym krokiem.

- Czy dobrze się pani czuje?

- Tak... Zdaje się, że chodziłam we śnie.

- Czy mam wezwać lekarza?

- Nie, nie, to zupełnie niepotrzebne. Czuję się bardzo dobrze.

Gość, którego obudziły zaniepokojone nawoływania Justina, chrząknął z niezadowoleniem. Był to starszy wojskowy w czarnej szlafmicy na lysej głowie, w szlafroku ze szkarłatnego brokatu, tak długim, że zamiatał nim podłogę.

- Jeśli ma pani w zwyczaju spacerować w negliżu, proponuję, by na noc zamykała pani drzwi swego pokoju na klucz.

- Oczywiście, powinnam tak zrobić. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mogę chodzić we śnie. W dzieciństwie byłam lunaticzką, ale myślałam, że już dawno z tego wyrosłam.

- No cóż, jak widać, nie wyrosła pani, a co więcej, krzyczała pani jak potępieniec. Nie wiem, kto się pani przyśnił, ale...

Kate mu przerwała.

- Powiedział pan już to, co miał pan do powiedzenia. Przepraszam za zakłócenie spokoju i oświadczam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to się więcej nie powtórzyło.

- Dobrze - odparł niezadowolony mężczyzna, po czym odwrócił się na pięcie i oddalił, głośno stukając rannymi pantoflami o wypastowaną podłogę. Pozostali też wrócili do swych pokoi, zostawiając Kate i Justina samych w salonie recepcyjnym hotelu.

W słabym świetle, wpadającym przez otwarte drzwi, Justin spojrzał zaniepokojony na matkę.

- Na pewno dobrze się czujesz, mamo?

- Ależ naturalnie - zapewniła go i przykucnęła, by go objąć. - Bardzo cię przestraszyłam?

- Trochę - wyznał. - Usłyszałem, jak otwierają się drzwi twojego pokoju.

Wyszłaś przez nie w nocnej koszuli. Miałaś otwarte oczy, ale jakbyś mnie w ogóle nie słyszała, kiedy cię zawołałem. Byłaś bez szlafroka i rannych pantofli i bardzo się za-

niepokoilem. Poszedłem za tobą. Wyszłaś na balkon i zaczęłaś kogoś wołać. Bardzo głośno, jakbyś okropnie się zdenerwowała na tego kogoś. - Chłopiec się zawahał. - Wydawało mi się, że wołałaś „Gerencie”. Czy tak ma na imię lord Carismont?

Znów rumieńce wystąpiły jej na policzki.

- Och, na pewno źle zrozumiałaś. Nie pamiętam, co mi się śniło, ale nie zwracałabym się przecież do lorda Carismonta po imieniu.

- Myślę, że nie. - Justin spojrział na nią. - Nie wiedziałem, że kiedy byłaś mała, lunatykowałaś.

- Zupełnie o tym zapomniałam. Byłam wtedy trochę starsza od ciebie. Było to wielce kłopotliwe, ale skończyło się równie nagle, jak się zaczęło.

- A czemu teraz znów wróciło? Kate się wyprostowała.

- Sama chciałabym wiedzieć. Tak czy inaczej, postaram się, żeby to się więcej nie powtórzyło. Będę zamykała drzwi na klucz. Lepiej nie niepokoić generała-zrządy, prawda?

Ostatnie słowa wypowiedziała żartobliwie i Justin się uśmiechnął, wyraźnie uspokojony, że jego matka znów zachowuje się, jak zwykle. Ale po chwili spoważniał. - Mamo, naprawdę chcesz poślubić lorda Garismonta?

- Chcę zapewnić nam obojgu bezpieczeństwo - odparła, wiedząc, że nie jest to odpowiedź na jego pytanie. Gdyby była z synem zupełnie szczerą, powiedziałaby: tak, naprawdę chcę poślubić lorda Carismonta... a raczej Gerenta, bo w myśli nie potrafiła, go już inaczej nazywać. Niemal wbrew niej samej coś ją w nim pociągało, coś, co uderzyło ją jeszcze silniej teraz, gdy się jej przyśnił. We śnie kochała go do szaleństwa; może na jawie też nie był jej obojętny. Miłość od pierwszego wejrzenia? Być może. Z całą pewnością coś poczuła, kiedy ujrzała go pierwszy raz, stojącego przy kominku.

Justinowi nadal trudno było to zrozumieć.

- A tata? I jak możesz być nie tylko moją mamą, ale jeszcze czyjaś?

- Kochanie, nigdy nie zapomnę twojego taty, ale opuścił nas i już nigdy nie wróci. Jeśli chodzi o drugie pytanie, dla Genevry będę macochą, a to niezupełnie to samo, co być matką. Ona też miała mamę, ale ją straciła, tak jak ty straciłeś tatusia. Nigdy nie będę jej matką, tylko macochą. I jeśli poślubię lorda Carismonta, ón będzie twoim ojczymem, a nie ojcem.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko, na co mogę liczyć? Uśmiechnęła się.

- Coś w tym rodzaju. Kogoś, kogo się straciło, nikt nigdy nie może zastąpić. Nowi ludzie znajdują sobie w naszym życiu nowe, własne miejsce. Każdy swoje własne.

- Jak myślisz, jaka ona jest? Chodzi mi o Genevrę - po- i wiedział.

- Naprawdę nie wiem.

- Czy poznam jutro lorda Carismonta?

- Tak, jeśli chcesz.

- Uważam, że powinienem. Skoro ma zostać moim ojczymem...

Te słowa oznaczały zgodę i Kate się uśmiechnęła.

- Jesteś zupełnie pewien, że się na to zgadzasz, Justinie?

- Tak. Jeśli ty uważasz to za dobry pomysł, to ja też.

Przytuliła go z całych sił, a potem wrócili do swego apartamentu. Później leżała, rozmyślając o wszystkich tych dziwnych rzeczach, które się wydarzyły, odkąd kilka godzin temu Gerent Fitzarthur pojawił się w jej życiu. Wszystko zaczęło się, w chwili gdy do niego przemówiła, od dziwnych iskier w kominku. Będąc dzieckiem przyzwyczaiła się do chodzenia we śnie i niezwykle wyrazistych marzeń sennych. Ale wtedy była małą dziewczynką; naprawdę nie chciała, by teraz wszystko to znów wróciło. Może dzisiejszy epizo[^] spowodowany został przez napięcie i niepokój o przyszłość, jakże niepewną. Tak bardzo pragnęła znów być bezpieczna, że zachowywała się jak w gorączce.

- Czyli mamy przyczynę i skutek - powiedziała sobie z przekonaniem.

Ale w głębi duszy wiedziała, że oszukuje samą siebie.

Rozdział 4

Nazajutrz w południe Kate, nieco zdenerwowana, czekała razem z Justinem w salonie hotelu „Pulteney”. Znow miała na sobie suknię z zielonej welenki, chociaż żałowała, że nie włożyła białej, z muślinu haftowanego w stokrotki, jednak teraz było już za późno, żeby się przebrać.

Dzisiaj, w przeciwieństwie do wczorajszego wieczoru, w salonie siedzieli również inni hotelowi goście. Kate słyszała gwar rozmów, nie uszło też jej uwadze, że na widok jej i Justina kilka osób wymieniło znaczące spojrzenia. Widocznie rozeszła się wieść o jej ekscentrycznych, nocnych wędrówkach, ale na szczęście poruszenie wywołane jej pojawieniem się było tylko chwilowe. Niektórzy coś pisali, inni czytali gazety, ale największą grupę tworzyli ziemianie z Yorkshire, najwyraźniej spokrewnieni ze sobą i obdarzeni donośnymi głosami. Kate pomyślała, że przypominają osły, podekscytowane oczekiwaniem na swoje ulubione marchewki.

Czarny kot znow spał w fotelu przy kominku zamiast łapać myszy. Drzwi balkonowe zamknięto, więc gwar uliczny był stłumiony -ale Kate i tak słyszała wygrywane przez katarzyniarza skoczne melodie. Rozpoznała starą piosenkę ludową. Nie było ani kukułki, ani w ogóle nic niezwykłego, tylko śliczny, kwietniowy dzień, a park po ostatnich deszczach wyglądał bardzo świeżo.

Justin zaszurał nogami.

- Mam nadzieję, że lord Carismont się nie spóźni - powiedział.

- Ja także.

Chłopiec nie mógł usiedzieć spokojnie. Bawił się mosiężnymi guzikami przy swym krótkim, rdzawoczerwonym surduciku, potem zaczął coś skubać przy bucikach z cholewami, które miały zwyczaj marszczyć się na łydkach. Miał na sobie „dorosłe” ubranko, jak je nazywał, a nie kurteczkę do pasa i koszulę z dużym, falbaniastym kołnierzem, które zazwyczaj nosił.

- Czy w zamku naprawdę jest lampart? - spytał.

- Lord Carismont powiedział mi, że jest. - I nie skłamał, bo widziałam go w swym śnie, pomyślała Kate.

- Myślisz, że będę go mógł dotknąć?

- Tylko wówczas, jeśli lord Carismont ci pozwoli, i naturalnie pod warunkiem, że lampart jest oswojony i nikomu nie robi krzywdy.

- Spytam lorda Carismonta - powiedział Justin i zmienił temat rozmowy. - Mamo, nie tylko ty miałaś dziś w nocy dziwny sen.

- Czyżby?

- Tak. Kiedy znów usnąłem, przyśnił mi się lord Carismont. Byliśmy razem nad jeziorem w Green Parku. Wielu innych chłopców miało najróżniejsze żaglówki, a Lord Carismont dał mi piękną łódkę, trochę przypominającą długą łódź wikingów. Była pomalowana na złoto, miała srebrne wiosła, purpurowy żagiel i co najmniej pół metra długości. Wspaniale pływała i wszyscy chłopcy mi zazdrościli.

- Myślę, że to był bardzo miły sen.

- Tak, był miły, a przy tym wszystko wyglądało tak prawdziwie, jakby działa się naprawdę. Pamiętam nawet, że lord Carismont miał na sobie czarny surdut, beżowe spodnie, a w chustce pod szyją złotą spinkę.

Kate poczuła się nieswojo. Oto jeszcze jedna dziwna rzecz. Justin bardzo rzadko potrafił opowiedzieć swoje sny, więc zapamiętanie przez niego takich szczegółów było doprawdy zdumiewające, nie mówiąc już o tym, że przyśnił mu się Gerent Fitzarthur.

Głośny pomruk kota spowodował, że Kate odwróciła się

pospiesznie. Zwierzę wpatrywało się w ogień. Znów pojawiły się małe iskierki, a wśród nich jedna lawendowa, która tak dręczyła ją we śnie. Wszystkie unosiły się nad płomieniami niczym maleńkie gwiazdki. Kot się przyczaił, jakby obserwował grupkę zuchwałych myszy. Skry cofnęły się nieco, zupełnie jakby chciały uniknąć kociego ataku, ale nadal wirowały nad płonącymi węglami. Kate głośno przelknęła ślinę.

- Justinie, czy widzisz coś niezwykłego w ogniu na kominku? - spytała, bo poza nią nikt nie spojrział w tę stronę, a jej wydawało się, że skry są nienaturalnie jasne i rzucające się w oczy.

- W ogniu? - Justin odwrócił się. - Nie. A o co ci chodzi, mamó?

- Nie widzisz żadnych tańczących iskier? Spojrzal na nią dziwnie.

- Jakich tańczących iskier? - spytał.

- Och, nieważne.

W tym momencie do salonu wszedł lokaj i podszedł do niej.

- Przyjechał lord Carismont. Czy oczekuje go pani?

- Tak, dziękuję - odparła, a kiedy wyszedł, zaczęła poprawiać i wygładzać swą suknię.

Justin uśmiechnął się.

- Nie denerwuj się, mamó, wyglądasz wspaniale.

- Z całą pewnością nie, synku.

- W moich oczach tak - upierał się i szybko ją uściskał. Znów spojrz^{na} ogień.

Oprócz niej w tę samą stronę

patrzył tylko kot, stojąc z groźnie wyprężonym grzbietem. Ale właśnie w tej chwili do salonu wszedł Gerent. Ubrany był dokładnie tak, jak to się przyśniło Justinowi: miał na sobie czarny surdut i beżowe spodnie, a w miękką chustę, zawiązaną pod szyją, wpięta była złota szpilka.

Justin stał nieruchomo. Rozchylił usta, oczy zrobiły mu się okrągłe i zaniemówił, jakby ujrzał ducha. Kate też była zdumiona, ale zarazem powoli godziła się z tym, że widocz-

nie zawsze, kiedy ten mężczyzna znajduje się w pobliżu, dzieją się tajemnicze rzeczy. Ukłonił się jej.

- Witam panią, pani Kingsley.

- Witam, lordzie Carismont. - Serce zaczęło jej szybciej bić i w całym ciele poczuła dziwne podniecenie. Aż nadto dobrze zdawała sobie sprawę z faktu, że to oznaki zakochania, tak silnego i wszechogarniającego, jakby znów była podlotkiem. Spojrzała na niego i wiedziała już na pewno, że istnieje coś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia; jej przydarzyło się to wczoraj... Gerent spojrzał na Justina.

- Domyślam się, że to panicz Kingsley?

- Tak, wasza lordowska mość. Odwrócił się do Kate.

- Czy ma pani dla mnie odpowiedź, pani Kingsley?

Spojrzała mu prosto w oczy, tak jasne i spokojne, a równocześnie tak niezgłębione. Znów przyszły jej na myśl szare, zimowe morza, ale w tym mężczyźnie nie było nic zimnego i smutnego.

- Tak, milordzie. Mam dla pana odpowiedź. Przyjmuję pańską propozycję. Lawendowa skra wyskoczyła z kominka i Kate wyraźnie usłyszała kobiecy głos, który wykrzyknął jedno słowo.

- *Nigdy!*

Nagle kot rzucił się na iskrę, jakby to była mysz, i w salonie zapanował nieopisany rwetes, choć może raczej bardziej odpowiednim określeniem sytuacji byłyby słowa „istny koniec świata”. W szalonym pościgu za umykającym światelkiem kot potracił jakiegoś dżentelmena, który wylał na siebie zawartość filiżanki, jakaś kobieta krzyknęła, kiedy kot przebiegł jej między nogami, a pewien starszy urzędnik niemal zemdlął, kiedy zwierzę wylądowało na samym środku gazety „The Times”, którą mężczyzna właśnie rozpoczął czytać. Furia lawendowej iskry była nie tylko widoczna, ale również słyszalna; słyszała ją przynajmniej Kate.

- *Badź przeklęty! Zostaw mnie w tej chwili! Mówię ci, zostaw mnie!*

Ale kot wcale nie zamierzał zostawić jej w spokoju. Miaucząc głośno i prychnąwszy, gonił iskrę, jakby w tej chwili było to najważniejsze na świecie, chociaż nikt nie wiedział, za czym tak pędzi. Najprawdopodobniej wszyscy poza Kate uznali, że kot postradał zmysły. Spojrzała na Gerenta i zorientowała się, że on także widzi lawendową skrę. A więc jest nas dwoje, pomyślała, bo chociaż Justin był rozbawiony tą sytuacją, wiedziała, że chłopiec dostrzeże tylko kota, a nie światełko, za którym goni zwierzę. Przez chwilę w cichym do tej pory salonie zapanowało wielkie poruszenie, ale wnet nadbiegło kilku lokajów, złapano nieszczęsnego kota i wyniesiono go z pokoju, chociaż miauczał, prychnął i drapał. Iskra wróciła do kominka, gdzie unosiła się w taki sposób, jakby nie mogła zaczerpnąć tchu. Kierownik hotelu podchodził do każdego gościa z osobna, przepraszając i starając się wszystkich uspokoić, a kiedy wykonał już swoje zadanie, wyszedł razem z lokajami. Justin śmiał się bez opamiętania.

- Ale to było wspaniałe! Ciekaw jestem, co się stało temu kotu?

- Nie mam pojęcia - odparł Gerent.

Kate spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała. Uśmiechnął się i zmienił temat. Ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Zanim przerwano nam tak obcesowo, zdaje się, że zgodziła się pani przyjąć moją propozycję, pani Kingsley.

- Owszem.

Lawendowe światełko pulsowało nad płomieniami i Kate znowu wyraźnie usłyszała kobiecy głos, mówiący z naciskiem:

- *Nie możesz tego zrobić, Gerencie!*

Nadal w żaden sposób nie dawał po sobie poznać, że coś słyszy lub widzi. Znowu przemówił do Kate.

- Może wobec tego byłoby bardziej stosowne, gdybym zwracał się do pani po imieniu?

- Tak, chyba tak

- Proszę do mnie mówić Gerent.

- Spró... spróbuję. - Patrzył na nią, a ona z każdym uderzeniem serca coraz bardziej ulegała jego czarowi i było to bardzo miłe uczucie.

- *Och, jak słodko! Jak zachwycająco! Aż się zbiera na mdłości!* - rozległ się głos. Gerent ignorował go w dalszym ciągu.

- Kate, teraz trzeba wszystko zorganizować.

- Nie *dopuszczę do tego!*

- Zorganizować? - powiedziała Kate nie bez trudu. - Tak, masz rację. Muszę wyznać, że nie zastanawiałam się nad tym. Próbowała uporządkować myśli, ale nie było to łatwe, wciąż bowiem przeszkadzał jej głos niewidzialnej kobiety. Czyj to może być głos? - zastanawiała się. Wiedziała jedynie lub raczej domyślała się, że jego źródłem jest dziwne światelko.

- Jak powiedziałem wczoraj wieczorem - ciągnął - chcę, żeby ślub odbył się możliwie jak najszybciej, ponieważ bezwzględnie muszę wrócić do Carismont na ostatni tydzień kwietnia.

- *Jesteś w błędzie, jeśli ci się wydaje, że możesz mi pokrzyżować szyki Postawię na swoim, Gerencie, o czym dobrze wiesz.*

- Domyślając się twojej odpowiedzi, Kate, już poczyniłem pewne kroki, by ślubu udzielono nam w przyszły poniedziałek - ciągnął. - Obiecano mi, że wszystkie formalności uda się załatwić na czas. Światelko rozgorzało niemal do białości.

- *Nie będzie żadnego ślubu!* - wyszczało. Kate starała się także nie zwracać na nie uwagi.

- Tak, odpowiada mi ten termin, milordzie... chciałam powiedzieć Gerencie.

- Gerencie, ta naiwna *gaska może się cieszyć, jeśli chce, ale nic jej z tego nie przyjdzie! Nie, jeśli ja mam tu coś do powiedzenia!*

Gerent uśmiechnął się do Kate.

- Wkrótce zostaniesz lady Carismont, wtedy zarówno ty, jak i Justin znów będziecie się mogli czuć bezpieczni. Jestem pewien...

- *Z całą pewnością nie będzie się czuła bezpieczna* - przerwał mu kobiecy głos.

Nadal nie zwracając na niego uwagi, dokończył to, co chciał powiedzieć.

- Jestem pewien, że będzie nam ze sobą dobrze.

Na dźwięk tych słów głos zaczął śpiewać szydlerczo, obierając sobie tę samą starą piosenkę ludową, którą wygrywał katarzyniarz na Piccadilly.

- *Nasz maik zielony, pięknie ustrojony, co go ustroiły, co go umaiły nadobne dziewczętki.*

- Śpiew przemienił się w nieprzyjemny śmiech, a na skroni Gerenta zaczęła pulsować maleńka żyłka. Był to jedyny znak, że coś słyszy, ale to wystarczyło właścicielce głosu, podobnie zresztą jak Kate. Ta ludowa piosenka zdawała się być bardzo odpowiednia, bo wszystko kwitło i zieleniło się.

Śmiech umilkł i skra poszybowała w górę komina. Lecząc, nuciła sobie jeszcze, niczym mściwa kobieta, zadowolona, że ostatnie słowo i tak należy do niej. Kate poczuła ulgę, kiedy okropne światelko zniknęło, oznaczało to bowiem, że już nic im nie przeszkodzi. Przynajmniej na razie.

Zamyśliła się. Może dla Kate Kingsley wycofanie się także byłoby najlepszym wyjściem? Może powinna złapać Justina za rękę i uciec jak najdalej od zagadkowego, diabelnie przystojnego, najwyraźniej prześladowanego przez jakiegoś ducha Gerenta Fazarthura. Ale jak wszystkie zakochane kobiety na świecie postanowiła pozostać.

Nie odpowiedziała na jego ostatnie słowa, więc Gerent odchrząknął.

-Kate?

Drgnęła spłoszona.

- Przepraszam. Zamyśliłam się. Zastanawiałam się, gdzie... gdzie odbędzie się uroczystość?

- W moim domu na Berkeley Square. Nie zamierzam ogła-

szać tego wszem i wobec, nikt z londyńskiej śmietanki towarzyskiej nie będzie więc obecny. Zapewniam cię, że to nie oznacza braku szacunku dla ciebie ani pod żadnym względem nie świadczy, że wstydzę się swego kroku; raczej jest to wyraz mojej najszczerzej niechęci wobec złośliwych ludzkich języków, których nie brak w wyższych sferach. Niech sobie gadają, co chcą, ale wtedy, gdy my będziemy już w bezpiecznej Kornwalii.

Poczuła ulgę, że ślub będzie cichy, ale miała wyrzuty sumienia wobec Genevry. To niesprawiedliwe, że ona omówiła tę sprawę z Justinem, natomiast córka Gerenta dowie się o wszystkim po fakcie, w chwili, gdy Kate zostanie jej przedstawiona jako macocha.

- Milordzie... och, przepraszam, Gerencie. Wybacz, ale trudno mi zwracać się do ciebie po imieniu, prawie się nie znamy. Chciałam powiedzieć, że nic nie mogę w tej sprawie zrobić, ale uważam, że zanim dokonają się jakiegokolwiek nieodwołalne kroki, należałoby porozumieć się z Genevra.

Uśmiechnął się do niej.

- Kate, cieszę się, że to mówisz, ale nie martw się o Genevrę. Uwierz mi, że cię zaakceptuje.

Justin, który cały czas przysłuchiwał się rozmowie, w tym momencie odezwał się lekko zaniepokojony.

- Czy mnie też zaakceptuje?

Gerent przykucnął, by znaleźć się z nim twarzą w twarz.

- Zapewniam cię, Justinie, że tak. Jest bardzo samotna i bardzo potrzebuje przyjaciela.

- Postaram się zostać jej przyjacielem.

- Dziękuję. Mam szczerą nadzieję, że ona też się szybko z tobą zaprzyjaźni. ,

- Proszę pana...

- Słucham?

- Czy naprawdę ma pan w Carismont lamparta? Gerent się roześmiał.

- To najprawdziwsza prawda. Wołam na niego Belerion.

- Skąd go pan ma?

- Dwanaście lat temu w Zatoce Carismont rozbił się sta-

tek. Beleriono najwyraźniej był na jego pokładzie i udało mu się dopłynąć do brzegu. To wszystko, co o nim wiem. Przywiązał się do mnie i od tamtej pory jesteśmy razem. Jednak nigdy nie opuszcza wyspy.

- Czy jest bardzo dziki? - zapytał Justin z zachwytem szeroko otwartych oczach.

Gerent uśmiechnął się, zmierzwił chłopcu włosy, po czym się wyprostował.

- Tyłko wobec tych, których nie lubi. Przedstawię cię i postaram się dać mu do zrozumienia, że ty i twoja mama jesteście moimi przyjaciółmi.

- Naprawdę?

- Naturalnie. Powiedz mi, czy jest coś, co chciałbyś zrobić przed wyjazdem z Londynu? Może dokądś pójść?

- Bardzo chciałbym obejrzeć londyńską Tower, szczególnie Zbrojownię Królewską.

Gerent spojrział na Kate.

- Nie masz nic przeciwko temu, Kate?

- Cóż... chyba nie. Uśmiechnął się do Justina.

- A więc zwiedzimy Tower. Może być jutro? Justin nie posiadał się z zachwyty.

- O, tak, proszę pana, oczywiście!

- Przyjadę po was powozem o jedenastej. - Gerent przybrał figlarną minę. - Zeby wkraść się w twoje łaski, Justinie, kazałem zanieść do twojego pokoju prezent. Czeka tam na ciebie.

- Naprawdę? - Twarz chłopca rozpromieniła się. Spojrział błagalnie na Kate, która skinęła głową.

- Tak, możesz pójść.

- Dziękuję, mamie! - Justin rwał się do biegu, ale w porę przypomniał sobie o dobrych manierach i poważnie uklonił się Gerentowi. - Miło mi było pana poznać, lordzie Carismont.

- A mnie ciebie, Justinie.

Gdy tylko chłopiec wyszedł, Gerent poprowadził Kate w stronę kanapy, a kiedy usiadła, zajął miejsce obok niej.

- Kate, możesz być dumna ze swojego syna.

- Dziękuję. - Spojrzała na niego uważnie. - Gerencie, czy jesteś zupełnie pewny, że chcesz tego małżeństwa? Doskonale zdaję sobie sprawę z korzyści, jakie ten związek ma dla mnie i dla Justina, ale muszę jeszcze nabrać pewności, że w twoim życiu także spełni ważną rolę.

- Uwierz mi, że tak jest. Kate, jesteś dla mnie wprost idealną żoną.

A ty jesteś mężem, o jakim marzy każda dziewczyna, pomyślała. Mało tego, był mężem, o jakim mogła marzyć także każda dojrzała kobieta. Przystojny, czarujący, troskliwy, bogaty i utytułowany; czegoż więcej mogłaby sobie życzyć panna młoda?

- Czy jest coś, o co chciałabyś mnie spytać?

Och, miała tysiące pytań, ale zdołała zadać mu tylko jedno:

- Co chciałbyś, żebym włożyła na ślub? - Jakie to głupie pomyślała, i takie kobiece.

- Możesz włożyć, co zechcesz.

- Moja garderoba nie jest zbyt modna.

- Czy przywiązujesz dużą wagę do strojów, Kate?

- Cóż, myślę, że miło mieć piękne suknie, ale jestem przyzwyczajona do ograniczania się także w tym względzie.

- Lady Carismont nie będzie musiała się ograniczać, Kate. Selena... moja zmarła żona... miała w zwyczaju odwiedzać panią Camberton przy Golden Square i zawsze była bardzo z niej zadowolona. Naturalnie możesz pójść do krawcowej, którą sama sobie wybierzesz, ale jestem gotów posłać liścik do pani Camberton, żeby się ciebie spodziewała. Chcesz, żebym to zrobił?

- Tak, proszę.

- A więc załatwione. Zamów tyle sukien i dodatków, ile chcesz, wszystko zostanie odesłane do Carismont. Naturalnie trochę to potrwa, a do tego czasu...

- A do tego czasu będę nosiła to, co do tej pory. Obawiam się, że będzie pan miał bardzo zwyczajną pannę młodą, milordzie... chciałam powiedzieć Gerencie.

- Kate, jesteś nadzwyczajną kobietą - powiedział cicho. Czas jakby się zatrzymał. Odniosła wrażenie, że pochylił

się, by ją pocałować. Wrażenie to było tak silne, że czuła jego oddech na swym policzku. Jego usta były miękkie, a zarazem jędrne, całował z wprawą i bardzo czule, budząc w niej uczucia, które tłumila w sobie od śmierci Michaela. A przecież wcale jej nie pocałował. Nawet się do niej nie nachylił. Mówił o różnych sprawach, które należy załatwić przed wyjazdem do Kornwalii.

Ale usta i tak ją paliły od tego wyimaginowanego pocałunku.

*

Kiedy Gerent wyszedł, a ona wróciła do swojego pokoju, zastała Justina siedzącego na łóżku i bawiącego się prezentem od Gerenta - złotą łódką półmetrowej długości, ze srebrnymi wiosłami i purpurowym żaglem.

Przypominała łódź wikingów.

Justin spojrział na matkę, kiedy pojawiła się na progu pokoju. Żadne z nich nic nie powiedziało, ale Kate przebiegł dreszcz po plecach. Nie był to jednak dreszcz strachu, tylko pełnego emocji oczekiwania. Oto w jej życiu zaczynało się coś doniosłego, chociaż nie miała pojęcia, co to takiego będzie. Była gotowa na wszystko, co los jej przeznaczył...

Rozdział 5

Londyńska twierdza Tower wznosiła się na wschodnim skraju stolicy, gdzie na północnym brzegu Tamizy było niewielkie wzgórze. Z trzech stron otoczona fosą, a z czwartej rzeką, chroniona potężnymi murami, nadal była wspaniałą fortecą. Składał się na nią cały zespół budynków, z których najważniejszym był White Tower z czasów panowania Normanów.

Codziennie przybywało tu wiele osób, by obejrzeć między innymi królewskie klejnoty, zbrojownię i menażerię. Przy bramie stało już kilka powozów, kiedy Woźnica ściągnął lejce i deresze się zatrzymały.

Gerent wysiadł pierwszy i przystanął, by poprawić cylinder. Miał na sobie szary surdut, kamizelkę w szaro-czarne paski i kremowe spodnie, w fular pod szyją wpiął srebrną szpilkę. W ręku trzymał laseczkę, a juchtowe buty tak lśniły, że ktoś naprawdę musiał się mocno przyłożyć do ich glansowania. Jego elegancja była tak wyrafinowana, że Kate wątpiła, by w całym Londynie znalazł się drugi równie wytworny mężczyzna; ba, może nawet w całej Anglii. Aż trudno było jej uwierzyć, że nie tylko towarzyszy jej dzisiaj, ale wkrótce-zostanie jej mężem. Z pewnością za chwilę się obudzi i stwierdzi, że wciąż jest tą samą Kate Kingsley, co kilka dni temu, rozpaczliwie szukającą pracy, żeby zarobić na utrzymanie siebie i swego syna. Jednak kiedy wysiadła z powozu i ujęła go pod ramię, wiedziała, że wszystko to dzieje się naprawdę.

Żalowała, że nie ma na sobie czegoś bardziej modnego zamiast brzoskwiniowej sukni w margerytki, zbyt wysoko zebranej w stanie i zbyt wąskiej u dołu, nakrytej pelisą z brą-

zowego barchanu z chwastami i ozdobnym zapięciem w stylu militarnym. Jedno i drugie kupiła zimą, w styczniu 1814 roku. Brązowy kapelusz, pochodzący z tego samego roku, także miał militarny charakter. W pewnej chwili przeszło jej przez myśl, że wygląda, jakby wykradła go z koszar! Cały ten strój od czasu tej pierwszej zimy widział jeszcze trzy kolejne stycznie i mimo starań Kate, by utrzymać swoją garderobę w nieskazitelnym stanie, nic nie mogło przesłonić faktu, że z całą pewnością nie należała do kobiet modnie ubranych. Wiosną 1814 roku obrzucano ją spojrzeniami pełnymi podziwu; wiosną roku 1818 budziła wyłącznie zdumienie, towarzysząc w tym stroju takiemu arbitrowi elegancji, jakim jest lord Carismont. Nie mogła się powstrzymać od myśli, jakie zrobiliby miny, gdyby wiedzieli, że wkrótce zostanie lady Carismont. Niewątpliwie niektórzy zemdleliby z wrażenia.

Kiedy skierowali się ku bramie Tower, Justin pobiegł przodem. Kate wróciła myślami do przebytej przed chwilą drogi z hotelu do twierdzy. Zatrzymali się na Ludgate Hill, w sklepie jubilerskim, w którym rodzina Fitzarthurów zawsze zaopatrywała się w biżuterię. Niemłody już sprzedawca, który ich obsługiwał, mężczyzna o sowej twarzy i z wianuszkami siwych włosów, z gęsim piórem zatkniętym za ucho, znał Gerenta od wielu lat. Nie ukrywał zdumienia, kiedy usłyszał, że lord w najbliższym czasie bierze ślub. Życzył obojgu wiele szczęścia i uniósł dłoń Kate do ust. Jeśli nawet uznał ją za nieodpowiednią kandydatkę na żonę dla arystokraty takiego jak Gerent, wTładen sposób nie dał tego po sobie poznać.

Stało się już tradycją, że wszystkie oblubienice Fitzarthurów nosiły identyczne obrączki z czerwonego złota, z wygrawerowanym motywem róż i dębowych liści. Od czasu, kiedy prababka Gerenta zgubiła swoją podczas pobytu w majątku gdzieś w Szkocji, zawsze trzymano jedną taką w zapasie, więc teraz nie było problemu z zakupem obrączki dokładnie takiej, jaka była potrzebna. Okazała się trochę za duża, ale jubiler zapewnił Kate, że zdąży zmniejszyć ją na czas.

Następnie Gerent i Kate wrócili do powozu, gdzie czekał na nich Justin, wyraźnie zniecierpliwiony, bardzo bowiem chciał znaleźć się już w Tower. Gerent nie wsiadł jednak razem z Kate, tylko coś sobie nagle przypomniawszy, wrócił do sklepu. Przez okno wystawowe widziała, jak wyjął z kieszeni kartkę papieru i położył ją na kontuarze, a sprzedawca uważnie ją przestudiował i skinął głową. Dopiero wówczas Gerent wrócił do powozu. Nie powiedział, jaką sprawę uzgadniał, a Kate go o to nie spytała, jednak nie dawało jej to spokoju.

Kroki Justina odbiły się echem, kiedy chłopiec przebiegł przez bramę i znalazł się na dziedzińcu, gdzie czekali żołnierze królewskiej gwardii przybocznej w tradycyjnych mundurach, by oprowadzić chętnych po twierdzy. Kate najchętniej zobaczyłaby najpierw klejnoty koronne, ale Justin tak bardzo chciał obejrzeć zbroje i broń, że najpierw udali się do zbrojowni. Wszystko było tak ciekawe, że Kate zapomniała o dziwnych wydarzeniach ostatnich dwóch dni, ale niestety nie na długo. Znajdowali się właśnie w długiej sali, w której po jednej stronie wystawione były osobliwe modele dawnych władców na koniach. Ich zbroje lśniły w świetle, wpadającym przez ciągnące się naprzeciwko zakratowane okna, a ściany i belki były tak gęsto obwieszane różnymi hełmami, że przypominało to olbrzymi naszyjnik. Na nieco zakurzoną posadzkę padały smugi słońca, słychać było monotony głos przewodnika, wyjaśniającego coś grupce ludzi stojących obok średniowiecznych pik, eksponowanych w drugim końcu sali.

Coś, sama nie wiedziała co, skłoniło Kate do obejrzenia się za siebie, na drzwi, przez które dopiero co weszli. Za drzwiami były kamienne, kręcone schody, oświetlone jedynie przez wąskie okienka. W pierwszej chwili nic nie zauważyła i już miała powrócić do oglądania eksponatów, kiedy pojawiło się tam lawendowe światelko. Zawisło nad schodami, a ona usłyszała głos, w którym zabrzmiała groźna przestroga:

-Jeśli masz choć trochę rozumu, nie osmielisz się ze mną walczyć!

Głos był tak wyraźny, jakby nieznajoma stała tam we wła-

snej osobie, ale Kate widziała jedynie samotnie tańczącą iskrę, światełko, gwiazdę czy cokolwiek to było. Spojrzała na Gerenta i Justina, którzy podeszli w tym czasie do przewodnika, żeby posłuchać, co mówił o posagu Wilhelma Zdobywcy.

- *Me wyobrażaj sobie, że Gerent będzie twój. Nie jesteś go warta ani nie masz do niego żadnych praw!* - syczał głos, a lawendowe światełko zdawało się być jaśniejsze niż przed chwilą.

Ton, jakim wypowiedziane zostały te słowa, rozzłościł Kate. Nie pozwoli, żeby ktokolwiek zwracał się do niej w taki sposób! Cóż sobie wyobraża ta osoba czy rzecz? Nawet gdyby była to sama królowa Saby, Kate Kingsley miała to w nosie. Nie zważając na nic, pomaszerowała w stronę schodów, zamierzając powiedzieć, co o tym wszystkim myśli. Zatrzymała się dwa kroki przed światełkiem, które nie uciekło przed nią, tylko unosiło się nieopodal.

- *Zaczynam cię mieć dosyć! Czego chcesz?* - spytała Kate, starając się nie podnosić głosu.

- *Chcę tego, co należy do mnie.*

- *Niczego nikomu nie odbieram...* - zaczęła Kate, kiedy nagle przez jedno z wąskich okienek wleciała do środka kukulka. Jej ptasie oczy błyszczały, kiedy przysiadła na murze i zaczęła głośno kukać. Dźwięk ten odbijał się echem na schodsteh, ale kiedy Kate obejrzała się pospiesznie za siebie, stwierdziła, że poza nią nikt niczego nie słyszy.

Na widok kukulki lawendowe światełko jęknęło, nie kryjąc niezadowolenia.

- *O, nie! Wynos się stąd!*

Kate usłyszała teraz drugi głos i była pewna, że należy on do kukulki.

- *Ha! A więc znów tu jesteś? Na nagolenice Mordreda okropnie z ciebie uparta wiedźma!*

- Powiedziawszy to, kukulka sfrunęła z okna, próbując pazurkami złapać światełko, które uskakując przed ptakiem wrzasnęło:

- *Nie! Zostaw mnie!*

Kukulka, nie zważając na nic, rzuciła się w pogoń za

iskrą, a kiedy zrozumiała, że złapać jej nie uda się w tak małym pomieszczeniu, zadowolila się próbą pokłucia jej ostrym, zakrzywionym dziobem.

- *A masz! A masz! Chodź no tu, ty intrygantko!*

Kate przyglądała się temu z rozbawieniem, bo widok był rzeczywiście niezwykły. Przedstawienie zakończyło się dopiero wtedy, kiedy światelko zdecydowało się opuścić wąski korytarz. Przeleciało przez okienko, a kukulka pofrunęła za nim. Kate zobaczyła jeszcze, jak ptak przeciska się przez wąską szczelinę otworu i po chwili myśliwy i jego ofiara zniknęli. W ciszy, która zapanowała, słychać było już tylko głos przewodnika, opowiadającego o zbrojach z czasów panowania Edwarda I. Kate, wciąż nie mogąc ochłonąć ze zdumienia, wpatrywała się w okno, powtarzając sobie, że to niemożliwe, żeby naprawdę widziała to, co się przed chwilą wydarzyło. To było zbyt niesamowite, by w to uwierzyć!

- Co ty tam robisz, Kate? - dobiegło ją niespodziewane pytanie Gerenta. Podszedł do niej, by dowiedzieć się, co tak bardzo przykuło jej uwagę. Justin pozostał z grupą zwiedzających.

Zdając sobie sprawę z tego, że Gerent niczego nie widział ani nie słyszał, Kate uśmiechnęła się.

- Właściwie nic. Wydawało mi się, że ktoś się potknął na schodach i podeszłam, żeby pomóc, ale nikogo tu nie ma.

Uśmiechnął się.

- Miejmy nadzieję, że nikt się nie potknął, bo spadałby dość długo!

- Pomyślałam sobie to samo - odparła i roześmiała się. Gerent nagle spoważniał i spojrzał jej prosto w oczy.

- Kate, czy ogarnęły cię jakieś wątpliwości?

- Wątpliwości? Skądże znowu. Jeśli się obawiasz, 'ie spróbuję zająć miejsce Seleny...

- Znajdziesz sobie własne miejsce, Kate - przerwał jej łagodnie i dotknął dłonią jej policzka. Nie spodziewała się takiego czulego gestu.

- Postaram się być dobrą żoną, Gerencie - szepnęła.

- I uda ci się to. - Poglądził ją po policzku i zanim się zo-

rientowała, co zamierza, pochylił się i zrobił to, co nie tak dawno zaledwie wyobrażała sobie. Tym razem nie był to żaden miraż, całował ją naprawdę. Oddała mu pocałunek. Jak mogła tego nie zrobić, skoro wywierał na nią taki magiczny wpływ? Poczula, jak się zawahał, a potem objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Pocałunek stał się bardziej namiętny. Ogarnęło ją podniecenie. Skóra stała się gorąca, krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, gdzieś w środku poczuła rozkoszny ból. Obejmował ją mocno i całował tak, jak jeszcze nikt nigdy jej nie całował. Poczula mrowienie w całym ciele, miłe, jakiego nie czuła od tak dawna. Jeden pocałunek sprawił jej tyle przyjemności...

Cofnął się i ich spojrzenia się spotkały. W pierwszej chwili ujrzała w jego oczach jedynie czułość i pożądanie, ale później dostrzegła jeszcze coś. Skrępowanie? Niepokój? Cokolwiek to było, Gerent puścił ją, jakby został przyłapany na czymś niewłaściwym.

- Nie... nie powinienem tak się zachowywać. Wybacz mi, proszę. Zapewniam cię, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

- Gerencie...

- Nie wiem, co mną zawładnęło, Kate. Złamałem słowo, które ci dałem, prosząc, żebyś została moją żoną. Mam nadzieję, że zapomnisz o tym. Zapomnieć? Ależ wcale tego nie chciała! To był najwspanialszy, najbardziej namiętny, najcudowniejszy pocałunek w całym jej życiu. Nie tylko nie chciała udawać, że nigdy się nie wydarzył, pragnęła, żeby się powtórzył. Ale z zakłopotania Gerenta wynikało wyraźnie, że wyznaczył granicę, której już nigdy nie zamierzał przekroczyć.

Zmusił się do uśmiechu.

- Uważam, że powinniśmy wrócić do małego Justina, który wkrótce zacznie myśleć, że o nim zapomnieliśmy. - Podał jej ramię i poprowadził przez długą salę.

Rozdział 6

Czas płynął tak szybko, że nie wiadomo kiedy nadszedł dzień ślubu. Przez tych kilka dni nie wydarzyło się już nic szczególnego, nie było żadnych przywidzeń ani snów, lunatykowania, lawendowych światełek, głosów czy rozdokazywanych kukulek; prawdę mówiąc, wszystko wyglądało aż nadto zwyczajnie. W końcu nadeszło późne popołudnie, cienie się wydłużyły. Oto za kilka minut Kate zejdzie do czekającego na dole powozu, który zabierze ją z hotelu „Pulteney” na uroczystość w londyńskim domu Gerenta przy Berkeley Square.

Spojrzała na swoje odbicie w dużym tremo, stojącym w kącie pokoju.

Wyobraziła sobie poruszenie, gdyby wieść

o niespodziewanym ślubie lorda Carismonta rozeszła się w mieście. Ale nikt o niczym nie wiedział. Jubiler i pani Camberton, krawcowa, zachowali dyskrecję, tak jak ich o to poproszono, podobnie jak najrozmaitsi urzędnicy, z którymi Gerent musiał się skontaktować w związku z załatwianiem ślubnych formalności. W rezultacie nikt z wyższych sfer nie będzie świadkiem, jak Kate Kingsley, kobieta bez żadnych koneksji, zostanie żoną jednego z najprzystojniejszych i najbogatszych lordów w Anglii.

Kate mogła sobie tylko wyobrazać, jak londyńskie elegantki zareagowałyby na jej strój. Włożyła suknię spacerową

i pelisę, zakupione trzy lata temu. I jedno i drugie uszyte było z gładkiego, zielonego jedwabiu, bez żadnych ozdób, nie licząc ślicznych ruszek. Suknia miała głęboki, kwadratowy dekolt, a wysoki stan podkreślony był paskiem z tego samego materiału, zapiętym na podłużną, pozłacaną klamerkę.

Długie i szerokie rękawy, zebrane były u dołu, tworząc falbankę. Kate jak zwykle poświęcała bardzo dużo czasu na fryzurę. Jej twarz okalały śliczne, miodowobrazowe loki, na głowie miała kremowy, słomkowy kapelusik, ozdobiony niezapominajkami ze ślubnego bukietu.

Justin kupił bukiet od kwiaciarki, stojącej przed hotelem. Świeży zapach drobnych kwiatków unosił się w ciepłym pokoju, kiedy Kate zakładała jeden z nielicznych pozostałych jej klejnotów - małe, brylantowe kolczyki, które dostała od Michaela w prezencie zaręczynowym. Wróciła myślami do tamtych czasów.

Była niezbyt posażną panną z Herefordshire i wprost nie posiadała się ze szczęścia, że zakochał się w niej jeden z najbogatszych i najprzystojniejszych kawalerów w całym hrabstwie. Zamieszkali w Kingsley Park, ślicznej posiadłości z czasów panowania króla Jakuba I. Michael był kochającym mężem. Rzadko wyjeżdżał do Londynu, z przyjemnością spędzał czas na wsi ze swoją żoną i małym synkiem. Ale później wszystko się popsuło.

Podczas jednego z nielicznych pobytów w Londynie poznał ludzi, spędzających noce w jaskiniach hazardu. Niemal z dnia na dzień Michael zaczął się bardziej interesować tym, jak mu pójdzie karta, niż cokolwiek innym, i coraz więcej czasu spędzał w mieście.

Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Justin coraz rzadziej widywał swego ojca, którego majątek topniał w oczach. Michael nigdy nie przestał kochać żony i syna, ale nie potrafił zerwać z grą w karty i kości. Krąg, w którym się teraz obracał, składał się z dżentelmenów, którzy dużo pili i prowadzili hulaszcze życie. Pewnego wieczoru na początku maja 1816 roku w oberży nad Tamizą doszło do jakiegoś konfliktu z nieznanym mężczyzną.

Wyzwali się na pojedynek i nazajutrz tuż po wschodzie słońca stanęli naprzeciwko siebie na Putney Heath. Przeciwnik Michaela, zimny, wyrachowany i bez sumienia, wystrzelił nim padła komenda, po czym ulotnił się z miejsca pojedynku bez śladu. Tamtej nocy Michael zmarł. Nie zostawił nawet listu pożegnania do

żony i syfta. Kate dowiedziała się, że jest wdową, dopiero, kiedy do Kingsley Park przyszedł krótki liścik od jednego z przyjaciół jej męża, niejakiego Denzila Portreatha, który zresztą dowiedział się o pojedynku zupełnie przypadkowo.

Te okropne wydarzenia sprzed dwóch lat stały się początkiem dramatycznych kłopotów Kate. Nie dość bowiem, że została wdową, to jeszcze długi męża zmusiły ją do sprzedania posiadłości. Aby utrzymać siebie i Justina, musiała poszukać jakiejś pracy. I taka sytuacja trwała aż do teraz.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Jaką drogą wkrótce podąży? Szeroką, pełną kwiatów, czy wąską, najeżoną kamieniami? Nagle dotychczasowa pewność siebie opuściła ją. Czy postępuje słusznie? Czy nie powinna raz jeszcze wszystko to rozważyć? I to teraz, zanim sprawy zajdą za daleko.

Justin zapukał do drzwi.

- Mamo, zajechał powóz.

- Jestem gotowa - odpowiedziała, a potem spojrzała na palec serdeczny, na którym wciąż błyszczała złota obrączka, symbol jej małżeństwa z Michaeliem. Przez chwilę znów ogarnął ją smutek. Nigdy nie przestanie kochać Michaela Kingsleya; ale nigdy też nie przestanie mieć do niego żalu. Wszystko stało się z jego winy. Wolno zdjęła obrączkę i położyła ją na stojącej obok toaletce. Od dziś Michael przechodzi do przeszłości, teraz w jej życie wkraczał Gerent. Włożyła rękawiczki z białego jedwabiu, wzięła bukiet i wyszła z pokoju.

Pół godziny później, w urządzonym ze smakiem i kosztownie niebiesko-złotym salonie w domu Gerenta przy Berkeley Square, Kate Kingsley została drugą lady Carismont. Obecna była jedynie służba pana młodego, ale Kate czuła na sobie wzrok jeszcze kogoś. Odnosiła nieodparte wrażenie, że ten ktoś stoi za jedwabnymi zasłonami w najodleglejszym oknie. Raz czy dwa nawet się obejrzała, ale oczywiście nikogo nie zobaczyła. Nie było też żadnych iskier ani dziwnych, lawendowych światełek. Ogień na kominku płonął spokojnie, małe płomienie lizały rozżarzone węgle. Zupełnie tak, jakby wszystko, co wydarzyło się wcześniej, było jednak wytworem jej fan-

tazji. Kate niemal pragnęła, żeby tak było, szczerze nie chcąc, żeby to się jeszcze kiedykolwiek powtórzyło.

Po zakończeniu ceremonii Gerent pocałował swoją nowo poślubioną żonę w policzek, poprosił, żeby rozgościła się w domu, którego teraz jest panią, po czym wyszedł. Była to ostatnia rzecz, której Kate się po nim spodziewała, mimo że dał jej jasno do zrozumienia, iż będzie to małżeństwo z rozsądku. Była tym kompletnie zaskoczona, chociaż, prawdę mówiąc, nie wiedziała, czy nie odczuwać raczej ulgi w związku z jego wyjściem, bo teraz, kiedy na palcu błyszczała obrączka Carismontów, czuła się w jego obecności dziwnie skrępowana. Ale było już za późno. Mogła się rozmyślić, zanim opuściła hotel „Pulteney”, a nie teraz, kiedy już przysięga małżeńska została złożona. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać po tym niezwykleym małżeństwie, i chętnie wykorzystalaby teraz te niespodziewane chwile samotności na zebranie myśli. Okazało się to jednak niewykonalne. Po pierwsze, trzeba się było zająć Justinem, a po drugie wkrótce stało się oczywiste, że musi zapewnić sobie posłuch u służby.

W oczach służących Gerenta w domu przy Berkeley Square fakt, że ich pan postanowił noc poślubną spędzić poza domem, niekorzystnie świadczył o jego nowej żonie, która - jak wkrótce odkryli - jeszcze do niedawna była guwernantką. Kate stwierdziła to ku swemu przerażeniu, kiedy niechcący podsłuchiwała na schodach rozmowę dwóch chichoczących pokojówek. Wyśmiewały się z jej sukni ślubnej i dawały jasno do zrozumienia, że ich zdaniem nie jest lepsza od nich. Wiedziała, że musi działać zdecydowanie. Była przecież panią Kingsley Park, więc była pewna, że doskonale sobie z tym poradzi, wskazując służbie, gdzie jest jej miejsce. Autorytet bił z każdego jej słowa, wypowiedzanego ostrym tonem. Pokojówki szybko uciekły do kuchni ostrzec pozostałych służących, że z nową panią nie ma żartów, niezależnie od tego, czy była guwernantką czy nie. Wieczorem, kiedy Justin położył się już spać i w końcu została sama, lokaj, który przyniósł jej filiżankę gorącej czekolady, był grzeczny i pełen szacunku.

W salonie, gdzie wcześniej odbył się ślub jej i Gerenta, siedziała teraz zupełnie sama, pogrążona w lekturze, oczekując na powrót męża. Właściwie nie wiedziała, co powinna zrobić. Czy ma się udać do swojego pokoju? Czy też grać rolę wzorowej żony i czekać na powrót małżonka? Prawdę mówiąc nie miała pojęcia, czego się od niej oczekuje. Wyraziła zgodę na to małżeństwo, nie domagając się żadnych wyjaśnień. Gerent powiedział jej tylko jedno: że będzie żoną wyłącznie formalnie. Może z powodu tamtego lunatycznego snu tak się pospieszyła z decyzją, pomyślała ponuro, kiedy chyba po raz setny rozglądała się po pokoju.

Jak reszta domu, urządzony był w stylu klasycznym, czyli zgodnie z najnowszą modą. Kate pomyślała jednak, że jest bezosobowy, stanowi całkowite przeciwieństwo przytulnego Kingsley Park, pochodzącego z czasów króla Jakuba I. Tutaj, wszystko było tak precyzyjne i wyważone, że miała niemal wrażenie, iż jej obecność niszczy tę harmonię. Udałoby się zachować symetrię wnętrza, tylko gdyby stała na samym środku pokoju. Tak więc fakt, że siedziała w fotelu przy kominku, tyłem do drzwi, zupełnie psuł efekt.

Doszła do wniosku, że jest to również pokój męczyzny. Ani tutaj, ani w pozostałych pomieszczeniach domu nie było najmniejszych śladów tego, że kiedyś mieszkała tu pierwsza lady Carismont. Wszystko wskazywało na to, że jest to dom kawalera, co Kate mogłaby zrozumieć, gdyby pierwsza żona Gerenta zawsze pozostawała ze swoją córką w Kornwalii, ale było inaczej. Kate wiedziała z gazet i magazynów dla pań, że Selena, lady Carismont, była jedną z najcenniejszych ozdób beau *monde*, chodziły nawet słuchy, że wejdzie do grona dam, ustalających listę gości na balach u Almaieka. Musiała więc często przebywać w tym domu, ale z jakiegoś powodu wszystkie ślady jej obecności zniknęły. Nie było tu nawet jej podobizny, chociaż nie brakowało najrozmaitszych obrazów i rycin. Tylko w tym jednym pokoju Kate dostrzegła kilka widoków Aten, różne rysunki greckich bogów i bogiń, leśny krajobraz z nimfami i satyrami oraz dwa róż-

ne ujęcia sceny budowania labiryntu przez Dedala. Nie było jednak żadnego portretu. Kiedy się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że w całym domu nie widziała ani jednego portretu, nawet Genevry, córki Gerenta. Może po prostu nie lubił portretów.

Kate zdjęła ślubną obrączkę, by przyjrzeć się zdobiącemu ją ślicznemu wzorowi. Jubiler ją zmniejszył, ale niewystarczająco, nadal była za luźna i Kate obawiała się, że jeśli nie zachowa największej ostrożności, prędzej czy później obrączka zsunie się jej z palca nie wiadomo gdzie i kiedy. Gdy teraz obracała ją w świetle świecy, spostrzegła nagle, że również od wewnątrz znajdował się jakiś grawerunek. Nie były to róże i liście dębu ani jakieś motto, tylko pięć malutkich symboli: **TT X i K**

Niepewna, czy dobrze widzi, przysunęła ją bliżej do stojącej na małym stoliku obok fotela płonącej świecy. Tak, po wewnętrznej stronie obrączki wyraźnie było widać pięć symboli, każdy starannie wygrawerowany. Co oznaczały? Miała wrażenie, że coś jej niewyraźnie przypominają, nie potrafiła jednak ich rozszyfrować. Jeszcze jakiś czas zastanawiała się nad tym, a potem włożyła obrączkę na palec i próbowała kontynuować lekturę książki.

Czas płynął. Cichymi ulicami Mayfair czasem przejechał jakiś powóz. Tykanie zegara na kominku sprawiło, że Kate poczuła senność. Sama nie wiedziała, kiedy oczy jej się zamknęły i zmorzył ją sen. Świeca na stoliku wypaliła się i zgasła, a ponieważ fotel z wysokim oparciem odwrócony był tyłem do drzwi, pokojówka, zajrzawszy, pomyślała, że nowa pani domu udała się do siebie.

Panowała zupełna cisza, Kate spała płytko, nic nie śniąc, kiedy nagle gdzieś z tyłu dobiegł ją podniesiony głos Gerenta.

- Na litość boską, pozwól mi żyć, jak chcę. Proszę!

Otworzyła oczy, ale nie poruszyła się w fotelu. W pokoju było tak widno, jakby oświetlało go pół tuzina ogromnych żyrandoli, chociaż wiedziała, że jest tutaj tylko jeden, co więcej, tego wieczoru nie zapalono w nim świec.

Kiedy się do

końca rozbudziła, zdała sobie sprawę z jeszcze czegoś... nowa obrączka ślubna parzyła jej palec. Zrobiła się też bardzo ciasna, jakby w czasie snu dłoń Kate spuchła i palec był teraz dwa razy grubszy. Co się działo? Czy nadal spała i śniła? Wiedziała, że nie. Nie był to też sen lunatyczny, bo czuła się całkiem rozbudzona.

Gerent znów przemówił, tym razem spokojniejszym tonem, jakby opierał się jakiejś silnej pokusie.

- To też na nic się nie zda, pani, więc proszę pozbyć się złudzeń. Czasy pocałunków i pieszczot minęły.

Był z kobietą! Kate poczuła ukłucie bólu i gniew, ale nadal bez słowa siedziała w fotelu. Dziś po południu wzięli ślub, a on wieczorem sprowadził do domu jakąś kobietę! Czy w ten właśnie sposób chciał dać do zrozumienia swojej nowej żonie, żeby nie wiązała z tym małżeństwem zbyt wielu nadziei? Różne myśli zaczęły jej się kłębić w głowie. Skąd się wzięło to oślepiające światło? I dlaczego obrączka stała się tak ciasna i gorąca, że za chwilę krew przestanie jej dopływać do palca?

Kobieta musiała mu coś szepnąć na ucho, bo odpowiedział drżącym, pełnym przejęcia głosem:

- Dlaczego musisz mnie tak dręczyć? Wiesz, że klamka zapadła. Kości zostały rzucone i musisz się z tym pogodzić. - Wolno wypuścił powietrze z płuc, jakby został obsypany pieszczotami, którymi nie do końca wzgardził. Kate była w rozterce. Miał wszelkie powody uważać, że udała się do swojej sypialni, i że jest tutaj sam na sam ze swoją kusicielką, kimkolwiek była. Zdaje się, że dawną kochanką. Najprawdopodobniej takie incydenty będą się powtarzały i chociaż było to coś, czego Kate nie przewidziała, najwyraźniej musi się do tego przyzwyczaić. Nie miała pojęcia, jak się z tym upora. Wiedziała, że im dłużej siedzi cicho Jak przysłowiowa myszka pod miotłą, tym sytuacja będzie trudniejsza i bardziej kłopotliwa, kiedy w końcu zdradzi swoją obecność, a jest to przecież nieuniknione. Jednak nie potrafiła się zdobyć na to,

żeby wstać, odezwać się, chrząknąć, może ziewnąć, jakby dopiero co się obudziła... zrobić cokolwiek, by jej mąż i jego fla-ma zorientowali się, że nie są w pokoju sami! Nowa lady Ca-rismont była zdolna jedynie do tego, by siedzieć tutaj niczym ciele, jak miała w zwyczaju mawiać jej stara ciotka. Kate położyła głowę na oparciu fotela, a kiedy zacisnęła dłonie na poręczach, obrączka zaczęła ją parzyć tak bardzo, jakby wypalała ślad na jej palcu. Zagryzła usta, by powstrzymać okrzyk bólu, a potem zamknęła oczy, zmęczone zbyt jasnym światłem.

Przyjaciółka Gerenta znów musiała coś mu szepnąć, bo westchnął.

- Dobry Boże, czy nie masz za grosz sumienia? Nie chciałem tego, co się stało, i nie była to moja wina. To wszystko przez ciebie, a teraz chcesz znów zdobyć moje serce? - Przez kilka chwil panowała cisza, a potem szepnął: - Teraz nadszedł koniec. Nie interesuje mnie szczęście, które mi obiecujesz, mam nowe zobowiązania.

Kate była skonfundowana. Jeśli tak czuł, czemu, na Boga, przyprowadził tę kobietę do domu? I o jakich „zobowiązaniach” mówi? Jako męża? Jeśli tak, to wszystko nie ma żadnego sensu!

Nagle w kominie rozległo się trzepotanie skrzydeł. Kukulka! Kate usłyszała znajome kukanie, potem posypały się sadze, a po chwili ptak spadł z góry, wydając okrzyk przerażenia. Trzepocząc skrzydłami pospiesznie uciekł przed płomieniami, potem nastroszył piórka i stanął nieco przygarbiony, patrząc na Kate, jakby czekał, aż kobieta coś zrobi. Ale ona mojjfo^przecież tylko patrzeć na niego, bo naprawdę nie miała pojęcia, czego się po niej spodziewano.

Niezwykłe i - według Kate - głośnie pojawienie się kukulki pozostało niezauważone przez dwoje obecnych poza niąV salonie ludzi. Czyżby tylko ona widziała i słyszała kukulkę?

-No, nie siedźże tak! Na włócznie Parsifala, czy zawsze ja muszę wszystko robić?

Te słowa powiedziała kukulka! Kiedy Kate spostrzegła bystre oczy ptaka, nagle sobie to uświadomiła, wcześniej tylko

się domyślając. Ale czy niemądre ptaszysko nie rozumie, że gdyby wiedziała, co robić, to nie siedziałaby tak beczynnie? Gerent jeszcze raz zwrócił się do swojej towarzyszki.

- Ile razy mam ci powtarzać, że wszystko skończone? Twój los jest przypieczętowany, a ja mam swoje własne życie, z którym mogę zrobić, co chcę. To samo dotyczy Genevry. Obydwoje wolimy zostać tutaj, a nie podążać za tobą.

Kate uznała takie oświadczenie za oburzające. Jak może być taki pompatyczny i mówić kobiecie, że wszystko skończone, jeśli dopiero co przyprowadził ją do swojego domu? To nie była uczciwa gra, dużo stracił w oczach swej nowo poślubionej żony.

Wciąż jeszcze o tym myślała, kiedy znów wykrzyknął.

- Nie, do diaska! Nie chcę tego! Moje życie znów będzie należało tylko do mnie!

Kukulka przechyliła łepkę i spojrzała na Kate.

- *No, dalejże! Nie ma się co wahać! Trzeba to załatwić!* Kate zgadzała się z tym całym sercem. Gerent postąpił

źle, sprowadzając jakąś kobietę do domu w ich noc poślubną. Nieważne, że ich małżeństwo było zawarte z rozsądku, chodziło o zasadę. Druga lady Carismont nie zamierza potulnie akceptować korowodu jego dawnych kochanek, obecnych kochanek, przyszłych kochanek czy przelotnych *belles de nuit!* Kate, zdenerwowana, ocknęła się z odrętwienia i postanowiła wstać, żeby stanąć twarzą w twarz z Gerentem.

W chwili, gdy tylko się poruszyła, oślepiające światło zgasło; nie, niezupełnie zgasło, bo trwało to przez moment, Kate zdążyła zauważyć, jak malejąc przemieniło się w lawendowe światełko, które poszybowało następnie ku kominkowi. Ale nie zauważyło czujnej kukulki, która tym razem zręcznie schwytała je dziobem! Światełko krzyknęło i zaczęło się tak rozpaczliwie szamotać, że uwolniło się i błyskawicznie śmignęło w górę komina. Kukulka pospieszyła za nim. Posypały się sadze, ogień zaczął dymić i Kate usłyszała głośne szuranie. Kiedy sadze przestały lecieć, Kate wiedziała, że ptak wydobył się i odleciał.

Wszystko trwało bardzo krótko i nie była to dobra pora, żeby się teraz nad tym zastanawiać, bo Kate musiała stawić czoło Gerentowi. Zebrała myśli. Pokój znów oświetlała tylko jedna świeca, jej ślubna obrączka znów była trochę za luźna, a Gerent stał sam obok stolika, oparłszy się na rękach. Głowę miał pochyloną, oczy zamknięte, jakby z jakiegoś powodu jego duszę przepelniał ból. Sprawiał wrażenie, że nie wie, co się przed chwilą wydarzyło. Z całą pewnością nie zdawał sobie sprawy z obecności Kate.

- Gerencie... - odezwała się niepewnie.

- Nie, powiedziałem! - oświadczył kategorycznym tonem, uniósł głowę i odwrócił się w kierunku, skąd dobiegł go głos. Przez chwilę oczy mu błyszczały, a potem zaszła w nich zmiana. - Kate? Nie wiedziałem, że tu... - Nie dokończył.

- Usnęłam w fotelu i obudziły mnie jakieś głosy. Co się stało? Z kim rozmawiałeś?

Nie odpowiedział od razu, a później roześmiał się lekko.

- Z nikim. Obawiam się, że byłaś w półśnie. Czasem mówię do siebie, kiedy wypiję za dużo koniaku.

Wiedziała jednak na pewno, że była świadkiem rozmowy i pamiętała jej treść. Z całą pewnością nie wypił też za dużo koniaku, podobnie zresztą jak ona. Ale w pokoju poza nimi rzeczywiście nie było nikogo.

Uśmiechnął się.

- Nie powinnaś na mnie czekać, Kate.

- Uznałam, że... że to mój obowiązek - odparła trochę nieprzekonująco. Jego uśmiech ujmował ją za serce tak samo, jak przed oRjijiał jego cierpienie.

- Nie ma takiej potrzeby. Jesteśmy małżeństwem, ale każde z nas żyje własnym życiem.

- Wiem, tylko.. -Tylko co?

Przyjrzała mu się.

- Gerencie, co to jest to lawendowe światełko? - spytała cicho. Lekko rozchylił usta, jakby skonsternowany, że o tym wie, ale po chwili pokręcił głową.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Chociaż jego oświadczenie było spokojne i wyraźne, sam zrozumiał, że zabrzmiało fałszywie, spojrzał więc jej prosto w oczy w taki sposób, żeby rozwiązać wszelkie wątpliwości co do tego, że nie życzy sobie dalszych pytań. Jakoś udało jej się lekko uśmiechnąć.

- Pójdę teraz do swojego pokoju. Dobranoc. Ale kiedy mijala go, złapał ją za ramię.

- Kate...

- Słucham? - Ich spojrzenia znów się spotkały, w jego oczach dostrzegła niepewność i cierpienie, dwa uczucia, które ujmowały ją za serce. - O co chodzi, Gerencie? Czy coś jest nie tak?

- Nigdy nie zdejmuj obrączki ślubnej.

- Obrączki ślubnej? Dlaczego, Gerencie? Proszę powiedz mi, co...

- Nie ma o czym mówić - przerwał i puścił jej ramię. Zawahała się.

- Wiesz, że możesz mi ufać?

- Wiem. - Uśmiechnął się. Wprawdzie lekko, ale to wystarczyło, żeby całkowicie nią zawładnąć. Potem pochylił się i ich usta lekko się musnęły. - Dobranoc, Kate.

Uniosła suknię i pośpiesznie wyszła.

Rozdział 7

Z powodu okropnej pogody podróż do Kornwalii trwała znacznie dłużej, niż zazwyczaj, więc chociaż Gerent chciał spędzić w Carismont cały ostatni tydzień kwietnia, dotarli do celu dopiero dwudziestego dziewiątego dnia miesiąca.

Najpierw padały ulewne deszcze, przez co drogi były rozmiękle i błotniste, a potem wszystko spowila tak gęsta mgła, że widoczność spadła do kilku metrów. W takiej właśnie mgle powóz pokonywał szczególnie ponurą i niebezpieczną część Dartmoor, więc zamiast upierać się, by dotrzeć do wygodnej gospody w Tavistock, Gerent postanowił, choć niechętnie, zatrzymać się w samotnym, przydrożnym zajęździe, który zwykle omijał. Denerwowały go te wszystkie opóźnienia i sprawiał wrażenie, że naprawdę bardzo chce być już w Carismont. Kate zastanawiała się, jakie znaczenie ma w życiu zamku właśnie ostatni tydzień miesiąca, bo Gerent ani słówkiem nie napomknął, dlaczego to takie istotne.

Zajazd stał na rozstaju dróg, przytulony do zbocza wzniesienia, *które* osłaniało go przed silnymi wichurami, często szakjącymi-snad wrzosowiskiem. Nazywał się „Pod Sokołem”, chociaż Kate nie to sobie pomyślała, kiedy spojrzała na szyld, wiszący nieruchomo we mgle. Ptak, którego przedstawiono na zniszczonej desce, niewątpliwie był kukulką. Kiedy powóz wjechał na dziedziniec, była pewna, że taką właśnie nietypową nazwę nosi zajazd. Wkrótce miała się przekonać, że się myli i że jest jedyną osobą, która widzi kukulkę na szyldzie. Jednak kiedy wysiadała, pomyślała, że spotkanie tutaj wymalowanej wprawdzie, ale jednak kukulki stanowi dziwny

zbieg okoliczności i że nie wszystkie osobliwe rzeczy pozostały za nimi w Londynie.

Po raz pierwszy od dwóch lat znów była ubrana zgodnie z najnowszą modą. Miała na głowie kapelusz zwany budką uszyty z oliwkowego jedwabiu, bogato udekorowany koronkami i wstążkami w kolorze cytrynowym. Do tego założyła spencer z także oliwkowego aksamitu i suknię z białego muszlinu, haftowanego w cytrynowe kwiatki. Dół sukni obszyty był takimi samymi wstążkami, jakie zdobiły budkę. Pani Camberton nie szczędziła trudu, by szybciotko wykonać przynajmniej część strojów, zamówionych dla nowej lady Carismont. Dostarczono je w przeddzień wyjazdu z Londynu i teraz, starannie zapakowane, leżały w powozie. Reszta zamówionych rzeczy zostanie wysłana, gdy tylko będzie gotowa.

Główne pomieszczenie zajazdu było niską, skromnie urządzoną izbą. Przy kominku stały skrzynie-lawy, a wokół stołów odwrócone beczki, pełniące funkcję siedzisk. Chociaż był to koniec kwietnia, na kominku buzował ogień, a z kuchni dobiegał smakowity zapach pieczystego, przygotowywanego na obiad. Niewiele osób wyruszało w taką pogodę w podróż i poza nimi gośćmi zajazdu była jedynie grupka rolników w drodze z Tavistock do Crediton. Śmiali się i rozmawiali wesoło, grając w domino.

Właściciel zajazdu zajęty był przy jednej z beczek, stojącej na kozłach w głębi izby, ale na widok nowych gości wyprostował się. Pospiesznie wycierając ręce w długi fartuch, wyszedł im na powitanie. Był przysadzistym mężczyzną blisko pięćdziesiątki, o czerwonych policzkach, jasnobrązowych oczach i szorstkich rękach, wyraźnie przyzwyczajony do ciężkiej pracy. Na szyi miał luźno zawiązaną chustkę, a do skórzanej kamizelki przypiął żonkil.

Proste, brązowe włosy pętała sztywna, brązowa wstążka.

- Witam panią, witam pana - powiedział z wyraźnym akcentem mieszkańców Devonshire.

Gerent skłonił głowę.

- Jestem lordem Carismont. A to lady Carismont i panicz Kingsley.
Lord z żoną? Właścicielowi zajazdu oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia, że spotkał go taki zaszczyt. Ukłonił się z szacunkiem.

- A ja nazywam się Daniel Livesey i jestem właścicielem zajazdu „Pod Sokołem”.

Kate była zaskoczona.

- „Pod Sokołem”? Przecież... - Urwała, bp nagle przyszło jej do głowy, że może znowu tylko ona zobaczyła kukułkę.

Pan Livesey spojrział na nią pytająco.

- Czy coś się nie zgadza, proszę pani?

- Nie, nie, wszystko w porządku. - Lekko się zarumieniła i nie powiedziała nic więcej, ale była już pewna, że dziwne wydarzenia nie zostały w Londynie, jak się tego spodziewała.

Wkrótce przygotowano dla nich dwa wygodne pokoje, jeden dla Kate i Justina, drugi dla Gerenta. Jeśli nawet pan Livesey dziwił się, że lord i lady Carismont postanowili spać osobno, to był zbyt doświadczonym właścicielem zajazdu, by to okazać, ale Kate czuła się zażenowana, ponieważ wiedziała, że musiało się to wydawać niecodzienne. Ona i Gerent byli mężem i żoną, najwyraźniej panowały między nimi poprawne stosunki, a jednak spali oddzielnie.

Tamtego wieczoru, po obfitym posiłku, na który składała się pieczona baranina i młode warzywa, a na deser słodki budyń i konfitura agrestowa, trójka znużonych podróżnych z Londynu udała się na spoczynek. Gerent odprowadził żonę i pasierba do ich drzwi, a potem poszedł do siebie. W kącie pokoju za małym przepierzeniem stała umywalka, Kate i Justin umyli się więc w zimnej wodzie z dzbanka, po czym chłopiec wdrapał się na duże łóżko i niemal natychmiast usnął.

Kate również się umyła, potem zdmuchnęła świecę i położywszy się do łóżka, zaczęła nasłuchiwać dobiegających z zewnątrz odgłosów. Jakieś skrzypnięcie, jakiś chrobot, głosy, trzask zamykanych drzwi, szczekanie psa. Zmęczona, uniosła rękę, by odgarnąć włosy z twarzy. Zauważyła, że po

umyciu się zapomniała włożyć na palec obrączkę. Ale w łóżku było jej tak ciepło i wygodnie, że nie miała ochoty wstawać po nią. Zrobi to rano. Obserwowała cienie, rzucane przez ogień na powalę, i w końcu zaczął ją morzyć sen. Ale... sennym wzrokiem spojrzała na kominek akurat w chwili, kiedy małe iskierki wystrzeliły z płomieni. Migocząc i mieniając się, zaczęły sunąć w stronę łóżka. Serce mocno jej zabiło, ale nie mogła się poruszyć; nie mogła zrobić niczego!

Światelka tańczyły wokół niej, wpadały jej we włosy i wsuwały się pod koldrę. Próbowwała obudzić Justina, ale głos też odmówił jej posłuszeństwa. Iskierki zaczęły wirować wokół jej serdecznego palca, na którym powinna być obrączka. Potem zobaczyła lawendowe światelko, sunące w jej stronę, i była pewna, że usłyszała niski śmiech kobiety.

Nagle światelka zniknęły, pokój wyglądał tak, jak przedtem, ale na dworze nastąpiła gwałtowna zmiana pogody. Przynajmniej Kate się wydawało, że zmiana jest gwałtowna, ponieważ wcześniej nie słyszała silnego wiatru, który teraz wyl za oknem. Zmieszana i trochę przestraszona, rozejrzała się po mrocznym pokoju. Justin spał na boku, oddychając równo i głęboko. Potem usłyszała kobietę, wołającą gdzieś z oddali. Kim była? Deszcz uderzał o szyby, na wrzosowisku wiatr wyl jak potępieniec. Kobieta znów zawołała i Kate usiadła, teraz już przerażona na dobre, uświadomiwszy sobie, że to wołanie o pomoc. Zsunęła się z łóżka i podeszła do okna, małej lukarny w pochylonym dachu. Trochę musiała się mocować z haczykiem, który stawiał opór, ale w końcu udało jej się okno otworzyć. Do pokoju wpadł podmuch wiatru, rozwał jej nocną koszulę i włosy, a deszcz zmoczył twarz, kiedy się wychyliła.

Noc była bardzo ciemna, ciężkie chmury przesłaniały gwiazdy i księżyc. Kate nic nie widziała poza mokrym sztyldem gospody, kołyszącym się na skrzypiących zawiasach. Przez głowę przebiegła jej myśl, że wciąż widzi na nim kukulkę, ale jej uwagę przykuło blade światło latarni sygnaliza-

cyjnej w oddali, poruszające się w górę i w dół. Ktoś dawał jakieś znaki. Znów usłyszała wołanie kobiety,

- *Ratunku! Na pomoc! Proszę mi pomóc! Proszę!*

Kate zamknęła okno, szybko włożyła szlafrok z brzoskwiniowej wełny, a potem wyszła pospiesznie z pokoju, zamierzając obudzić Gerenta. Ale chociaż kilka razy zapukała do drzwi jego sypialni, nie odpowiedział jej. Zaczęła pukać do innych drzwi, ale żadne się nie otworzyły, więc zdesperowana zbiegła po schodach i wyszła przed zajazd. Deszcz zacinał, dzwoniąc w rynny i rozbryzgując kałuże, wiatr ani na moment nie ucichł, zawodząc żałością. Kate uderzył zapach mokrej ziemi, kolcolistów i wrzosów. Słyszała konie, niespokojnie poruszające się w stajni. W pobliżu nie było nikogo, nawet chłopca stajennego. Kobieta wciąż nawoływała, w jej głosie dało się teraz słyszeć rozpacz.

- *Na litość boską, niech mi ktoś pomoże!*

- Już idę! Już idę! - krzyknęła Kate i zebrawszy fałdy szlafroka, rzuciła się na oślep w stronę ciemnego wrzosowiska, smaganego strugami deszczu.

Latarnia poruszała się w różne strony, kiedy Kate biegła, potykając się o mokre kępy wrzosów. Szlafrok zaczepiał o kolce zarośli, wkrótce była przemoczona do suchej nitki, ale nie przestawała biec w kierunku latarni.

Kobieta w kółko krzyczała:

- *Czy ktoś mnie słyszy? Ratunku! Pomocy!*

Kate zmuszała się do kontynuowania biegu, ale z każdym krokiem wzrastał jej niepokój. Coś było nie tak, przez głowę przemknęły. Jej myśli o morskich rozbójnikach, zwabiających statki na brzeg podczas burz... Nie wiedziała, dlaczego

o tym pomyślała, ale ziarenko wątpliwości zostało zasiane. Obejrzała się za siebie, na zajazd, który zniknął w mroku

i ciemnościach, żadna latarnia nie znaczyła miejsca, gdzie stał, Nagle ogarnęły ją złe przeczucia. Gdzieś w pobliżu czaiło się niebezpieczeństwo, czuła to!

Kobieta szlochała i błagała.

- *Ratunku. Pomocy! Tu jest ranny człowiek...!*

Kate znów pobiegła, ale nagle usłyszała znajome kukanie i walcząc z wiatrem sfrunęła na ziemię kukulka. Złapała w dziób skraj jej szlafroka, zaparła się pazurkami w mokrej ziemi i zaczęła ciągnąć, jakby za wszelką cenę chciała powstrzymać Kate.

- *Ratunku! Pomocy!* - Ton głosu nawołującej kobiety zmienił się, była teraz rozgniewana i nie błagała już, tylko rozkazywała.

Kukulka zawzięcie szarpała skraj szlafroka Kate, o mało się nie przewróciła, starając się powstrzymać ją przed zrobieniem jeszcze jednego kroku. Kate posłuchała ptaka.

- Dobrze już, dobrze, nie pójde dalej! - krzyknęła i ptak puścił jej szlafrok, uspokojony. Przycupnął na kępie wrzosów, zupełnie wyczerpany wysiłkiem, a jego wdzięczność nie mogłaby być wyraźniej okazana, nawet gdyby miał chustkę, którą mógłby wytrzeć spocone czoło.

Nieznajoma kobieta wrzasnęła z furia.

- *Dalej, Kate. Staw mi czoła, jeśli potrafisz! Walcz o niego, jeśli masz odwagę!*

Kiedy Kate wreszcie rozpoznała ten głos, skupiła uwagę na latarni. Ku swemu przerażeniu zobaczyła nie jedno, tylko wiele świateł. Małe i jasne, wirowały i sunęły w jej stronę, prowadzone przez duży lawendowy ognik. Z rozchylonych ust Kate wyrwał się okrzyk przerażenia, kukulka skoczyła na równe nogi. Ale kiedy napierające światelka niemal ją dosięgły, ktoś złapał ją mocno za ramiona.

- Kate! Obudź się!

Otworzyła oczy. Spowijała ją cisza mglistej nocy w Dartmoor.

- Obudź się, Kate. - Gerent trzymał ją od tyłu za ramiona, a jedynym źródłem światła była latarnia, trzymana wysoko przez właściciela zajazdu, pana Liveseya.

Odwróciła się zmieszana, Gerent z niepokojem spojrział w jej oczy.

- Kate, nie wolno ci zrobić ani jednego kroku dalej, bo stoisz na skraju głębokiego jeziora.

Zdumiona, patrzyła się na niego, próbując zrozumieć, co jest jawą, a co snem. Wichura tak szybko minęła? Gdzie są światełka? A kukulka? Głos...? Dostrzegł jej spłoszone spojrzenie i przemówił do niej łagodnie.

- Znów chodziłaś we śnie. Odzyskała mowę.

- Nic.

- Obawiam się, że tak.

- Przecież nawet nie usnęłam. - Ale chociaż zaprotestowała, wiedziała, że Gerent ma rację. Wszystko, co się właśnie wydarzyło, było sennym majakiem, wynikiem jeszcze jednego lunatycznego snu.

- Wydawało mi się, że... że słyszę kobietę wzywającą pomocy - szepnęła. - Brzmiało tak prawdziwie, a jednak...

- A jednak co?

Zamilkła, bo jak mogła wytłumaczyć, że nawet kiedy śniła, wiedziała, że to tylko sen?

- To był tylko sen, Kate.

Spojrzała tam, gdzie przed chwilą była poruszająca się latarnia, ale niczego nie zobaczyła poza grubą zasłoną zimnej, lepkiej mgły.

- Przecież była burza, wyl wiatr i siekł deszcz, byłam przemoczśha do suchej nitki... - Spojrzała na swój szlafrok. Był trochę wilgotny od mgły, ale z całą pewnością nie był mokry, może tylko na samym skraju zamoczył się od traw i wrzosów. Wrzosy. Szybko spojrzała na kępkę, gdzie przysiadła kukulka. W świetle, rzucanym przez latarnię pana Liveseya, zobaczyła w tym miejscu jedno szare piórko.

- Nie było żadnej burzy - powiedział Gerent i próbował przytulić Kate do siebie, ale stawiała mu opór.

- Skąd mam wiedzieć, czy teraz nie śnię? Pan Livesey zachichotał.

- Nie śni pani, milady, ale na pewno grozi pani, że skręci sobie pani swój śliczny kark. Green Pool często zabiera nieostrożne duszyczki.

- Green Pool?

- Proszę zrobić jeszcze jeden krok w tamtą stronę, milady, a przekonasz się pani o tym na własnej skórze, o ile zdąży pani o tym w ogóle pomyśleć. Urwisko ma wysokość przynajmniej siedmiu metrów i wznosi się nad wodą tak głęboką, że nikt nie wie, gdzie jest dno.

Kiedy spojrzała tam, gdzie wskazywał mężczyzna, przebiegl ją dreszcz zgrozy. Rzeczywiście ziemia nagle się kończyła, a kiedy Kate ostrożnie się wychyliła, by spojrzeć w dół, dostrzegła światło latarni, odbijające się w wodzie. Wydała stłumiony okrzyk. Gerent pospiesznie odciągnął ją od skraju przepaści, owinał swoim płaszczem i przez chwilę tulił do piersi.

- Już dobrze, Kate, jesteś bezpieczna.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Obudziłem się, kiedy usłyszałem, jak ktoś woła „Już idę! Już idę!”

Rozpoznałem twój głos, wyjrzałem i zobaczyłem, jak biegniesz przez wrzosowisko. Szybko się ubrałem, obudziłem obecnego tu pana Liveseya i ruszyliśmy za tobą. Dogoniliśmy cię w ostatniej chwili, bo z całą pewnością spadłabyś z urwiska do jeziora.

Nie spadłabym, pomyślała Kate. Jeszcze zanim się pojawili, uratowała ją kukulka. O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego kukulka pospieszyła jej na pomoc? Czyj głos słyszała, kiedy pojawiło się lawendowe światełko? Seleny?

Kiedy tylko ta nieprawdopodobna myśl przyszła jej do głowy, wiedziała, że się nie myli. Tą kobietą w salonie w domu przy Berkeley Square była pierwsza żona Gerenta i to ona zwabiła ją tutaj tej nocy.

Rozdział 8

Kiedy Gerent i pan Livesey prowadzili ją do zajazdu, Kate wciąż była pod wrażeniem swojego odkrycia. Gdy znaleźli się na miejscu stwierdziła, że teraz na szyldzie jest niewątpliwie sokół, ale była tak przygnębiona tym, co się wydarzyło, że jedynie przyjęła ten fakt do wiadomości.

W środku było ciepło i przytulnie po okropieństwach tego, co się działo na wrzosowisku... tyle tylko, że naturalnie nie było żadnej burzy, która się Kate po prostu przyśniła. Noc była cicha i spokojna, pozostali goście spali nieświadomi tego, co przed chwilą spotkało drugą lady Carismont.

W kuchni pełnej jak cały dom zakamarków, były pobielone ściany, a podłoga pomalowana ochrową farbą. Na grubych belkach pod sufitem wisiały szynki, owinięte w gazę, suszone zioła, głowa cukru i warkocze cebuli, natomiast nad pobielonym wapnem tylnym wejściem - kilka serów, zawiniętych w tkaninę. Obok drzwi był kamienny zlew z nowoczesną ręczną pompą, którą pompowano wodę ze studni, znajdującej się na podwórzu.

Naprzeciwko drzwi stał pojemny kredens do samego sufitu, w którym trzymano biało-niebieską zastawę stołową. Kominiek był naprawdę bardzo duży, liczne rondle stały równiutko na palenisku, przygotowane na następny dzień. Drzwi pieca chlebowego były osadzone w pobielonej ścianie pośród błyszczących, miedzianych rondli, a zapach chleba zdawał się stanowić integralną część pomieszczenia; może było tak rzeczywiście, bo pieca niewątpliwie używano od kilku pokoleń.

Gerent posadził Kate na rzeźbionej, dębowej ławie-skrzy-

ni obok kominka, potem zapalił kilka świec i spróbował nieco rozniecić ogień. Gdy pojawiły się nowe płomienie, dorzucił jeszcze bierwion na tłące się węgle. Tak długo dmuchał miechem, aż płomienie zaczęły lizać suchą korę. Ubierał się w takim pośpiechu, że miał na sobie jedynie koszulę, spodnie i buty. Był nieogolony, włosy miał zmierzwione. Pomyślała, że wygląda na przemęczonego - chyba nie z jej powodu?

Pan Livesey zgasił lampę, postawił ją na półce, a potem poszedł do spiżarni, by nalać mleka do rondla, który następnie ostrożnie umieścił nad ogniem. Wciąż miał na sobie nocną koszulę, na którą narzucił płaszcz, i buty, których nie miał czasu zasznurować. Czekając, aż mleko się zagrzeje, zwrócił się do Kate.

- Bardzo niebezpiecznie chodzić nocą po wrzosowisku, milady, szczególnie w tych okolicach - powiedział z mocą. - Green Pool pochłonął więcej niż jedno życie, więc jeśli istnieje obawa, że znów może pani błąkać się we śnie, lepiej, jak będzie pani zamykała drzwi na klucz.

Mleko w rondelku zaczęło się podnosić, więc właściciel zajazdu zestawil je z ognia i rozlał biały płyn do dwóch biało-niebieskich kubków, które wyjął z kredensu. Potem mruknął pod nosem, że rano musi wstać razem ze skowronkami, i zostawił ich samych. Gerent zaczekał, aż zamkną się za nim drzwi, a potem podsunął Kate jeden z kubków.

- Napij się, to pomoże ci się odprężyć. Spojrzała na niego, biorąc do ręki kubek z mlekiem.

- Jestem twoją dłużniczką. Gdyby nie ty, już bym nie żyła.

- Jaką znowu dłużniczką. Jesteś moją żoną.

Żoną? Za jego żonę mogła się uważać Selena; druga lady Carismont była żoną jedynie z nazwy. Kate musiała unikać wzroku Gerenta wiedząc, że pragnie więcej, niż jest gotów jej dać. Odkąd została wdową, bardzo jej brakowało tej intymnej strony małżeństwa; obecności Michaela obok niej w ippicy, sposobu, w jaki wzdychał, przewracając się z boku na bok, radości, jaką dawało jej współżycie z nim... Wpraw-

dzie pod koniec nie przebywali ze sobą zbyt dużo, bo ciągle siedział w Londynie, pochłonięty hazardem...

Gerent podszedł do kominka i wsparł but na osłonie paleniska, a rękę na gzymsie.

- Kate, czy przedtem chodziłaś we śnie? Wzięła głęboki oddech.

- Zdarzało mi się to, kiedy byłam dzieckiem, i myślałam, że jestem już z tego wyleczona, ale w hotelu „Pulteney” przytrafiło mi się raz. A teraz znowu tutaj. - Urwała. - Gerencie, jeśli chodzi o tę noc...

- Przy odrobinie szczęścia nie przytrafi ci się to nigdy więcej -przerwał jej pospiesznie, ale wiedziała, że w ten sposób próbował tylko przeszkodzić jej w zadawaniu niewygodnych pytań.

- Gerencie, wiem, że nie chcesz o tym mówić, niemniej jednak...

- Kate, chodziłaś we śnie i to wszystko.

- Nie, to nie wszystko, i doskonale o tym wiesz. - Przyjrzała mu się uważnie.

- Kiedy pierwszy raz spotkałam się z tobą w hotelu „Pulteney”, patrzyłeś w ogień tak jak teraz. Ale inaczej niż teraz, wówczas nad płomieniami unosiły się małe światełka, niczym małe gwiazdki, tańczyły i wirowały. Jedno z nich było szczególne, miało lawendowy kolor i...

-Z pewnością węgiel kiepskiej jakości - przerwał jej.

- Możesz sobie ze mnie kpić, jeśli chcesz, ale mówię prawdę.

- Nie kpię sobie z ciebie, Kate. Sny potrafią być bardzo przekonujące.

- Nie spałam, kiedy rozmawiałam z tobą - spokojnie zwróciła uwagę, a potem zaczęła pić mleko i pozwoliła, by zapadło milczenie. Sen mógł mieć coś wspólnego z niektórymi wydarzeniami, ale na pewno nie ze wszystkimi. Pomijając ich rozmowę, była zupełnie rozbudzona, *kiedy* pierwszy raz stała na balkonie nad ciemną, mokrą Piccadilly i widziała, jak Gerent wjeżdża do zalanego słońcem lasu. Była również zupełnie przytomna w twierdzy Tower. Gerent wolno westchnął, potem nieco się przygarbił i skinął głową.

- Och, Kate, wybacz mi to wszystko. Przyznaję, że jest wiele rzeczy, o których ci nie powiedziałem, a teraz boję się, że wciągnąłem cię w coś, z czym nikt nie potrafi się uporać.

Serce Kate zabiło mocniej. Zamierzał jej o tym powiedzieć! Wpatrywał się w ogień.

- Ale musisz mi uwierzyć, że naprawdę myślałem, że dobrze cię zabezpieczyłem.

- Zabezpieczyłeś? Przed czym, Gerencie? - spytała szybko. Z ociąganiem spojrzął jej w oczy i już otworzył usta, by odpowiedzieć, kiedy jego spojrzenie padło na jej dłoń.

- Obrączka! Gdzie ją masz? - zapytał.

- Zdjęłam ją, kiedy się myłam, i zapomniałam włożyć z powrotem. .

- A więc wszystko jasne! Kate, nie wolno ci jej nigdy zdejmować! Szczególnie w kwietniu, kiedy przybywa księżyc!

- Kiedy przybywa księżyc? Gerencie, ja...

- Po prostu rób to, o co cię proszę - przerwał jej. - Nie zdejmuj obrączki.

- Ale czemu? Dlaczego to jest takie ważne? I co znaczą te malutkie symbole po wewnętrznej stronie?

- Symbole? - powtórzył z ociąganiem.

- Proszę nie udawaj, że nic o nich nie wiesz, bo nie jestem głupia. Poprosiłeś jubilera, żeby je wygrawerował, kiedy wróciłeś na chwilę do sklepu, prawda?

- Wydało jej się to teraz takie oczywiste, że dziwiła się, iż wcześniej na to nie wpadła. Wstała i podeszła do kominka. Przykucnęła przed paleniskiem i palcem narysowała na popiele znaki. - Wyglądają mniej więcej tak - powiedziała.

Z ociąganiem skinął głową.

- To są znaki runiczne, Kate.

- Znaki runiczne? Ależ naturalnie! Co oznaczają? - Wyprostowała się.

Zawahał się, a potem wyjaśnił.

- To tylko kornwalijskie zaklęcie, ponoć przynoszące szczęście. Tak przynajmniej przysięgała moja stara niania. Y to Ehwaz, najsilniejszy znak dający ochronę. T to Tiwaz,

dający wewnętrzną moc. X to Gebo, który wspomaga miłość i przyjaźń. (to Sowilo, wzmacniająca duszę. A < to Kenaz, wskazujący drogę przez nieznane. Rzeczywiście kazalem je wygrawerować na obrączce, podobnie jak na złotym medalionie, który kupilem dla Genevry. - Ujął jej dłoń i przytulił ją do ust. - Zaufaj mi, Kate. Teraz, kiedy wiem, że w nocy nie miałaś obrączki, myślę, że rozumiem, dlaczego przytrafiły ci się niektóre rzeczy. Zaciśnęła palce na jego dłoni.

- Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi, Gerencie -poprosiła.

- Daj mi trochę czasu... Puściła jego rękę.

- W takim razie powiedz mi tylko jedno, chociaż wiem, że to nie moja sprawa i nie powinnam cię o to pytać, ale nie pomyśl, proszę, o mnie źle. - Spojrzała mu w oczy. - Czy bardzo kochałeś Selenę? - spytała cicho.

Ani trochę się nie oburzył, słysząc pytanie, które z łatwością mógł uznać za impertynenckie.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Po tym wszystkim, co wydarzyło się dzisiejszej nocy, myślę, że wiesz, dlaczego - odparła z lekką naganą w głosie. - Lawendowe światełko, o którym wspomniałam wcześniej, ma coś wspólnego z Seleną, prawda? Nie zaprzeczył, ale również nie odpowiedział na jej pytanie.

- A więc, chcesz się czegoś dowiedzieć o mojej miłości do Seleny z powodu tego, co się wydarzyło? Nie dlatego, że...

- Dlatego ze co? - Spojrzała głęboko w jego oczy koloru zimowego morza. Przez długą chwilę wytrzymał jej wzrok, a potem się odwrócił.

- Kiedy brałem ślub z Seleną, kochałem ją całym sercem. Czy ta odpowiedź zaspokaja twoją ciekawość?

- Trochę. - Cóż mogła powiedzieć innego, skoro w tak oczywisty sposób odpowiedział jej wymijająco? Początkowo kochał Selenę, ale pod koniec być może nie. Chciała mu za-

dać tyle pytań, chciała się dowiedzieć tylu rzeczy, ale nie potrafiła ująć tego w słowa. - Chyba pójdę teraz do swojego pokoju. Mam mokre buty i ubranie...

- Ależ naturalnie. - Zrobił jej przejście.

Byli wyraźnie skrzepowani. Kate spojrzała na ogień i zobaczyła pojawiające się tam iskierki. Podskakiwały i sunęły, wirowały i podrygiwały. Gerent też je zobaczył, słyszała, jak głośno zaczerpnął powietrza. Potem powiedział ponaglająco:

- Idź już, Kate. -Ale...

- Idź! - Chwycił ze stołu zapaloną świecę i włożył jej do ręki. Bez jednego słowa wyszła z izby, ale zanim drzwi się za nią zamknęły obejrzała się. Stał tam, gdzie go zostawiła, głowę odrzucił do tyłu, oczy zamknął, a iskierki, szczególnie ta lawendowa, krążyły wokół niego. Zauważyła, jak mocno zacisnął dłonie w pięści, i jak poruszał ustami, szepcząc coś. Potem drzwi się zamknęły i nie zobaczyła nic więcej. .

Ale kiedy się odwróciła, by odejść, lawendowe światełko, które zdążyło precyzyjnie się przez szparę w drzwiach, natarło na Kate.

- On jest *mój*, *słyszysz?* *Mój!* *Nim się księżyc odmieni, będzie musiał na zawsze do mnie wrócić, a ty go już nigdy więcej nie zobaczysz!*

Kate krzyknęła z bólu i strachu, bo światełko klęło i żądliło ją z taką zaciekłością, że rozplakała się i osunęła na kolana. Lichtarz z brzękiem wypadł jej z ręki, świeca zgasła i w korytarzu zapanowały ciemności. Prawie natychmiast Gerent otworzył szeroko drzwi i korytarz znów zaala światło. Pochylił się i wziął ją w ramiona. Wściekłość światełka była wprost namacalna.

- Me, Gerencie? *Należysz do mnie, a nie do niej!*

Nie zwracał na to uwagi, obejmując Kate. Przesunął delikatnie palcami po jej włosach i szepnął jej prosto do ucha:

- Nie bój się, Kate, teraz jesteś bezpieczna. Lawendowa iskierka rozbłysła i zniknęła. Kate i Gerent

znów zostali sami. Poglądził ją po karku.

- Kate, odprowadzę cię do twojego pokoju i przypilnuję, żebyś włożyła na palec obrączkę. Może cię chronić tylko wtedy, kiedy ją nosisz.

Uniosła wzrok.

- Proszę, powiedz mi, co się dzieje...

- Powiem ci, obiecuję. Ale jeszcze nie teraz. Zaufaj mi, Kate, jestem pewien, że runy cię ochronią.

- Przed Seleną?

Nie odpowiedział, ale z taką goryczą zacisnął usta, że nie musiał nic mówić. A więc naprawdę chodziło o Selenę.

- Gerencie, powiedz mi chociaż tyle!

- Masz moje słowo, że wszystko ci powiem, kiedy będę gotów. Do tego czasu pamiętaj, że jeśli zobaczysz coś dziwnego, wiedz, że to złudzenie. Jeśli noc przemieni się w dzień zima w lato, mgła w burzę, jakkolwiek postać to przybierze, nie wierz swoim oczom. Kiedy masz obrączkę na palcu nie ci nie grozi. Coś na pewno przyjdzie ci na ratunek, jak to się stało dziś w nocy na wrzosowisku.

- Kukulka? Ją masz na myśli? Zrobił zdumioną minę.

- Nic nie wiem o żadnej kukulce, Kate. Teraz ona była zaskoczona.

- Ale przecież...

- Naprawdę nic nie wiem o żadnej kukulce - powtórzył a potem spojrzał na nią poważnie. - Co się tyczy reszty - Proszę, nie nalegaj teraz na wyjaśnienia, bo jeszcze nie jestem gotów do rozmowy o tym. Ale wkrótce wszystko ci powiem, masz moje słowo honoru.

Musiała się tym Zadowolić.

- Gerencie, wiesz, że chcę ci pomóc, prawda?

- Nawet jeśli cały świat uzna, że zwariowałem?

- Jeśli ty zwariowałeś, to ja razem z tobą - powiedziała i nawet udało jej się uśmiechnąć. - Pamiętaj, jestem wariatką, która widzi kukulki.

Też się uśmiechnął i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nigdy się nie dowiesz, jak wielką pocięgą jest mieć cię

blisko siebie. Nie miałem prawa cię w to wciągać, czegokolwiek od ciebie oczekiwać, ale...

- Nie miałeś prawa? Gerencie, mylisz się, jeśli myślisz, że wyszłam za ciebie za mąż wyłącznie z egoistycznych pobudek. Przysięgałam ci i dotrzymam przysięgi. Pozostanę przy tobie...

Spojrzał na nią.

- Szekspir napisał słowa, które idealnie pasują do naszej sytuacji, chociaż z całą pewnością nie jesteś złością - powiedział cicho, a potem przytoczył cytat z *Poskromienia złościcy*. - „A zatem Kasiu, Kasienko, Kasiuniu, pieszczoto moja, bo w Kasi, Kasiénce jest w każdym razie coś pieśczośliwego...” - Ujął jej twarz w obie ręce i pocałował ją w usta.

Tym pocałunkiem jej los został przypieczętowany raz na zawsze. Oddała mu serce; teraz gotowa była również oddać za niego życie.

Rozdział 9

Kilka dni później, podczas pięknego, słonecznego popołudnia minęli kornwalijskie wrzosowisko, zupełnie nie przypominające ponurych krajobrazów Dartmoor, i znaleźli się w małej dolinie, opadającej do morza. Droga wila się wśród kobierców pierwiosnków, dzwonków i czosnków niedźwiedzich, po obu jej stronach rosły żywopłoty z głogu, obsypane słodko pachnącymi kwiatami i tak gęste, że niemal stykały się w górze, tworząc barwny tunel.

Była czwarta po południu, środa, ostatni dzień miesiąca, słońce aż oślepiało. Kornwalia pod koniec kwietnia to najpiękniejsze miejsce na świecie, pomyślała Kate, wciągając w płuca wonne powietrze. Siedziała przodem do kierunku jazdy, okna w powozie były opuszczone, co pozwalało jej Wszystkimi zmysłami chłonać dźwięki i zapachy tego pięknego, ciepłego, wiosennego dnia. Kiedy wszystko wyglądało tak zwyczajnie, spokojnie i przyjaźnie, wprost trudno było uwierzyć, że jeszcze tak niedawno jej życie było zupełnie inne.

Kate ostrożnie położyła głowę na tapicerowanym oparciu, żeby nie pdgnieć budki z oliwkowego jedwabiu, którą dziś włożyła. Przez całą podróż bardzo dbała o swoje nowe stroje; spencer z oliwkowego aksamitu i suknia z białego muslinu wyglądały równie nieskazitelnie teraz, jak w dniu, w którym opuścili dom przy Berkeley Square. Rozmarzona wyglądała przez okno, ciepłe, wonne powietrze działało usypiająco.

Od tamtej nocy w zajeździe już nic się nie wydarzyło, a Gerent nie powiedział jej nic więcej poza tym, co już wiedziała. Nie wątpiła, że wszystko jej wyjaśni, tak jak obiecał,

ale było jej bardzo trudno powstrzymać się od pytań i czekać na chwilę, którą on uzna za stosowną. Na razie bardzo się pilnowała, żeby nosić obrączkę. Nie zdjęła jej ani na moment od tamtej nocy w zajeździe, kiedy w obecności Gerenta wsunęła ją na palec.

Powóz kołysał się na nierównej drodze, od czasu do czasu przerwa w żywopłocie pozwalała Kate rzucić okiem na zbocza doliny. Na szczycie niewielkiego pagórka zobaczyła grupę sosen, wśród nich wznosił się jeden z licznych kamiennych słupów, które napotykała, odkąd znalazła się w tym najdalej na południowy zachód wysuniętym zakątku Anglii, Każdy z tych kamieni stanowił osobliwą pamiątkę tajemniczej przeszłości. Na ten, który zauważyła teraz, promienie słońca padały pod takim kątem, że zobaczyła na jego po, wierzchni bardzo dużo jakichś symboli. Runy! Z jednej z sosen sfrunęła kukulka i przysiadła na kamiennym słupie. Wiedziała, że to „jej” kukulka. Po chwili gęsty żywopłot znowu przesłonił widok.

Teraz, kiedy pogoda się poprawiła, a Londyn zostawili dobrych trzysta kilometrów za sobą, Kate nie miała ani cienia wątpliwości, że postąpiła słusznie, poślubiając Gerenta, Zresztą, czy mógłby to być błąd? Wiedziała, po prostu wiedziała, że od tej pory wszystko ułoży się dobrze...

Nie mogła doczekać się chwili, kiedy jej wszystko powie, bo pragnęła mu pomóc w każdy możliwy sposób, Miłość płonęła w niej niczym płomień, zawładnęła bez reszty jej ciałem i duszą. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Gerenta. Miał na sobie surdut w odcieniu błękitu, podkreślającym kolor jego oczu, szpilka z rubinem połyskiwała od czasu do czasu, gdy przez baldachim głogu przedarł się promień słońca. Idealnie skrojona, obcisła kamizelka z szarego jedwabiu lekko się marszczyła na jego szczupłym, ale muskularnym torsie, kremowy materiał spodni sprawiał wrażenie dnfgiej skóry, opinając szczupłe biodra i długie nogi i nie pozostawiając miejsca na domysły.

Musiała pogodzić się z faktem, że Gerent ogromnie ją pocią-

gał. Budził w niej uczucia, które próbowała tłumić, odkąd stosunki między nią i Michałem się pogorszyły, teraz uczucia te towarzyszyły jej cały czas, ale nadal musiała je skrywać, chociaż mężczyzna, którego tak pożądała, był jej mężem. Cóż za ironia! Była jego żoną, wiedziała, że nie jest mu obojętna, sądząc po pocałunku w Tower. Nic nie stało na przeszkodzie, by przyszedł nocą do jej sypialni; a jednak pozwalał jej spać samej, Zarumieniła się zmieszana i szybko odwróciła wzrok. Spojrzała na wolne miejsce obok niego, gdzie leżała łódka Justina. Złoty kadłub i srebrne wiosła błyszczwały, a purpurowy żagiel stanowił plamę żywego koloru pośród spokojnych odcieni wiosny.

Justin siedział obok Kate, pogrążony w lekturze książki z legendami o dawnej Kornwalii. W pewnej chwili spojrzał poważnie na Gerenta.

- Proszę pana, czy to prawda, że kiedyś Carismont wcale nie było wyspą, tylko częścią lądu?

Gerent przyjrzał mu się uważnie.

- A dlaczego pytasz?

- Bo piszą tutaj, że Robin Hood, Tristan i niektórzy rycerze króla Artura pochodzili z Lonii, mitycznej krainy, teraz znajdującej się pod wodą, która kiedyś rozciągała się od wysp Scilly na zachodzie do zatoki Carismont na wschodzie.

Gerent się uśmiechnął,

- Z całą pewnością zatoka Carismont kiedyś była lądem stałym. Nawet dziś, przy bardzo niskim poziomie wody, widać pozostałości pni drzew, bo na terenie tym rósł las. Zamek wznosi sięfferaz na wyspie, ale dawno temu było to wzgórze pośród drzew. Czy była to mityczna Lonia i czy stąd pochodzili Robin Hood i Tristan, tego nie mogę powiedzieć z całym przekonaniem. - Gerent się uśmiechnął, ale Kate wydało się, że jakiś cień pojawił się w jego spojrzeniu. Dlaczego?

Justin chciał usłyszeć więcej.

- Piszą tutaj także, że czasem można nawet usłyszeć dźwięk kościelnych dzwonów, dochodzący spod wody.

Kate przebiegł dreszcz.

- Przestań, Justinie, to zbyt straszne, by o tym mówić. Gerent znów się uśmiechnął.

- Są tacy, którzy twierdzą, że słyszeli te dzwony. Podobno ich bicie rozlega się przez kilka dni podczas szczególnie wysokiego przypływu Takiego, jak wtedy, kiedy utonęła Seleną? - Kate się zamyśliła.

Gerent mówił dalej o dzwonach.

- Niektórzy ludzie nawet przysięgają, że widzieli w oddali wieże zatopionych kościołów, ale warto mieć na uwadze, że to zazwyczaj efekt zbyt dużej ilości rumu mnichów, wypitego w gospodzie „Pod Wodnicą” w Trezance.

Kate nie chciała słuchać o zatopionych kościołach.

- Co to takiego rum mnichów? - spytała, próbując zmienić temat rozmowy.

- Rum, słodzony kordialem korzenno-ziolowym. Potrafi być bardzo mocny, szczególnie ten, przyrządzany w gospodzie „Pod Wodnicą”.

Justin zmarszczył czoło.

- Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby gospoda nazywała się „Pod Wodnicą”.

- Ale mogę się założyć, że słyszałeś o kilku gospodach „Pod Syreną”. W Kornwalii zamiast Syrena mówią Wodnica - wyjaśnił Gerent.

Justin pochylił się do przodu z takim zainteresowaniem w oczach, że jego matka domyśliła się, że chłopiec chciałby dowiedzieć się więcej o zatopionych dzwonach, więc postanowiła szybko zmienić temat:

- Co to za dom? - spytała, wskazując duży budynek z szarego kamienia, stojący za wzgórzem. Otoczony był wiecznie zielonymi drzewami, stanowiącymi osłonę przed wiatrem, ale nad ich czubkami widoczne były zwieńczone blankami wieże. Na początku podjazdu stały dwa kamienne słupy, tym razem wyraźnie zobaczyła na nich znaki runiczne.

Dostrzegła niechęć na twarzy Gerenta.

- To Polwithiel.

Kate pomyślała, że mieszkańcy zamku Carismont i Polwithiel najwyraźniej nie czują do siebie sympatii i nie kontynuowałyby dalej tego tematu, ale Justin nie okazał się tak taktowny.

- Kto w nim mieszka, proszę pana? - spytał. Zapadło milczenie.

- Kto tam mieszka, proszę pana? - spytał ponownie, niewinnie, ale natarczywie, jak mają w zwyczaju pytać dzieci.

Gerent musiał mu odpowiedzieć.

- Człowiek, którego kiedyś uważałem za swego przyjaciela, a który teraz jest moim największym wrogiem. Nazywa się Denzil Portreath.

Oczy Kate zrobiły się okrągłe. Denzil Portreath? Czyżby ten sam, którego podpis widniał pod listem, informującym ją o śmierci Michaela? Czy możliwy byłby taki zbieg okoliczności?

Justin, który nic nie wiedział o liście od przyjaciela swego ojca, w końcu się zreflektował i umilkł. Kate była zmuszona zrobić to samo, chociaż teraz to ona bardzo chciała zadać pytanie. Może wkrótce nadarzy się lepsza okazja i wówczas na pewno to zrobi.

Dolina stała się nieco szersza i po obu stronach drogi pojawiły się poletka, a potem niespodziewanie ujrzeni w oddali wielką, turkusową zatokę Carismont, a na jej brzegu małe miasteczko Trezance. Nieopodal wyrastała stroma, kilkudziesięciometrowej wysokości skalista wysepka. Jej zbocza pokrywały wspaniałe ogrody, a na szczycie wznosił się najbardziej romantyczny zamek, jaki Kate widziała w życiu. Wiedziała od Gerenta, że zbudowano go w XII wieku i że mieścił się w nim klasztor benedyktynów, a po kasacie zakonu w Anglii stał się siedzibą rodu Fitzarthurów. Na przestrzeni wieków powiększany i udoskonalany, obecnie prezentował się niezwykle okazale.

Godzinę później powóz wjechał do Trezance i skierował się wąskimi, brukowanymi uliczkami ku nabrzeżu. Pierwsze, co zobaczył Justin, to pięknie przystrojony maik pośrodku rozległego placu, który zdawał się pełnić rolę targowiska,

rynku i nabrzeża. Kilku mężczyzn stawiało maik, posługując się linami. Przejęte dzieciaki zaczęły klaskać i wiwatować, gdy maik stanął pionowo, a długie wstążki powiewały i trzepotały w podmuchach morskiej bryzy. Staruszek z jedną nogą wygrywał na fujarce jakąś melodię. *Nasz maik zielony*,.. Akurat był przyływ i granitowa grobla, łącząca wysepkę z lądem, znajdowała się pod wodą. Gerent powiedział Kate i Justinowi, że muszą zatrzymać się w gospodzie i poczekać na odpływ. Oceniał, że droga będzie przejezdna o zachodzie słońca. Na brzegu panował duży ruch, z turkotem przejeżdżały wozy i ruchome stragany, kręcili się rybacy i ich żony oraz dzieci, biegały psy, koty wygrzewały się w słońcu. Kate zobaczyła przycumowane do brzegu wszelkiego rodzaju łodzie rybackie: lugierzy o skośnych żaglach, kutry i szkunery. Powóz torował sobie drogę wśród stosów sieci, więcierzy do połowu krabów i homarów, zwojów lin i łodzi wiosłowych, leżących do góry dnem, beczek i skrzyń, nim w końcu zatrzymał się przed gospodą. Podniecone mewy skrzeczały i krążyły nad lugierem, który dopiero co przybił do brzegu i akurat trwał jego wyladunek, ale Kate nie zwracała uwagi na to, co się dzieje wkoło, oszołomiona widokiem cichej i tajemniczej wyspy, wylaniającej się z wód zatoki. Justin wyciągnął szyję, by obejrzeć gospodę. Był to trzypiętrowy budynek z dwuspadowym dachem i krzywymi kominami, na zniszczonym przez wiatry i deszcze szyldzie namalowano dość szpetnie syrenę, czeszącą włosy i przeglądającą się w lusterku. Justin szepnął do Kate, że to musi być miejsce spotkań przemytników. W głębi duszy się z nim zgadzała, ale powiedziała, że z pewnością jest to zbyt szanowaną gospoda, by ją wykorzystywano do takiego celu. Natychmiast pomyślała, że zabrzmiało to okropnie sztywno. Wyszli, Gerent podał jej ramię i skierowali się w stronę wejścia do gospody. W panującym na nabrzeżu zgiełku, i wśród nawoływań mew rozległ się nagle znajomy dźwięk. Kate odwróciła się szybko w stronę, skąd dobiegał, i zobaczyła kukułkę, lecącą w kie-

runku głównego masztu lugiera. Przez chwilę ptak chwiał się niezgrabnie, nim złożył skrzydła. Potem przechylił swój łśniący, szary łepiek na bok i spojrzał poważnie na Kate. Natychmiast poczuła się nieswojo, bo przyzwyczaiła się kojarzyć obecność kukułki z niebezpieczeństwem. Czy w pobliżu było lawendowe światełko? Czy znów zamierzało ją zaatakować? Jakiś rybak oglądał sieć na pokładzie lugiera, a jego mały brązowo-biały terier siedział spokojnie obok niego, póki nie pojawiła się kukulka. Na widok ptaka pies zerwał się, podbiegł do masztu i zaczął ujadać. Stał na tylnych łapach, przednimi drapał maszt i robił tyle hałasu, że w końcu rybak się zdenerwował. Kate słyszała, jak uciszał zwierzę.

- Bądź cicho! Niczego tam nie ma! Nagle Kate usłyszała głos kukułki.

- *Strzeż się!*

Strzec się czego? - pomyślała Kate, rozglądając się wkoło niepewnie.

- Wejdziemy do środka? - spytał Gerent, podając jej ramię. Ale w chwili, kiedy zamierzali wejść do gospody, na progu

pojawił się jakiś dżentelmen, zagradzając im drogę. Na widok Gerenta zatrzymał się zaskoczony. Był wysoki, miał jasne włosy i zimne, niebieskie oczy. Brwi miał tak białe, że były prawie niewidoczne, blada cera obsypana była piegami, przez jeden publicznie biegła szrama. Jednak ubrany był niezwykle modnie i starannie. Zielony surdut i białe spodnie do jazdy konnej bardziej pasowałyby do Hyde Parku niż ulic kornwalijskiego portu gdzieś na końcu świata. Nieznajomy obudził niepokój Kate. Była pipyna, że to właśnie przed nim ostrzegła ją kukulka. Mężczyzna utkwiał zimne spojrzenie w Gerencie.

- Carismont, co cię sprowadza do domu właśnie o tej porze? Według mnie teraz nie dzieje się tu nic ciekawego.

- Co robię i gdzie jeżdżę, to nie twoja sprawa, tak jak mnie nie interesuje, co ty robisz. Może z wyjątkiem jednego: że nadal widzę cię po tej stronie wody. Kate spojrzała na niego zaintrygowana. Po tej stronie wody? Cóż za dziwne wyrażenie.

- Czyżby powodem tego były poważne wątpliwości? A może płomienie miłości przypadkiem zgasły? - ciągnął Gerent.

- Wolę być tu, niż tam. Gerent uśmiechnął się zimno.

- Chociaż raz w swym nędznym życiu bądź uczciwy, Portreath. Zwyczajnie jesteś zbyt tchórzliwy, by zdecydować się na ten krok w nieznanne.

Portreath? Właściciel Polwithiel i być może dobry znajomy Michaela? Kate przyjrzała się mężczyźnie uważnie. Nie wyglądał na człowieka, z którym mógłby przyjaźnie się Michael. Michael zawsze był serdeczny, wesoły, czasem zanadto nierozważny, ten zdecydowanie trzymający się na baczności, pozbawiony poczucia humoru nieznajomy zdawał się być z lodu. Zapytałaby go jednak o Michaela, ale powstrzymała ją nieukrywana pogarda, z jaką traktował go Gerent. Portreath spojrział na nią.

- Gdzie się podziały twoje dobre maniere, Carismont. Nie przedstawiś mnie swojej czarującej towarzysze.

Gerent uśmiechnął się.

- Jak sobie życzysz, Portreath. Pozwól, że przedstawię ci moją żonę, lady Carismont.

Portreath zmienił się na twarzy.

- Swoją żonę?

Gerent odwrócił się do Kate.

- Kate to jest Denzil Portreath z Polwithiel, człowiek, któremu 'nie można ufać, którego nie można lubić, na kogo rym nie można polegać. Chyba na drugie imię ma „zdrajca”.

Portreath włożył cylinder na głowę i bez jednego słowa minął ich. Ale Kate zauważyła, jak zwolnił, kiedy znalazł się obok otwartych drzwiczek powozu. Spojrział na złotą łódkę Justina, po czym jeszcze mocniej wcisnął kapelusz na głowę i pomaszerował tam, gdzie jeden ze stajennych trzymał wodze smukłego kasztanka. Wskoczył na koma, spiął ostrogi i ruszył ulicą w kierunku Polwithiel.

- *Krzyżyk na drodze! Krzyżyk na drodze.* - zawołała za nim kukulka.

Justin nie słyszał ptaka, ale zgadzał się z jego opinią.

- Jaki niewychowany pan - zauważył.

Gerent skinął głową, a potem spojrzał przeproszająco na Kate.

- Wybacz mi, Kate, moją obcesowość, ale nie potrafię się zdobyć na uprzejmość wobec tego człowieka.

- Czy ma to jakiś związek z Seleną?

- O, tak, wiąże się z Seleną i stanowi część tego, co wiem, że muszę ci powiedzieć.

Justin zaczął się niecierpliwić i spojrzał na matkę.

- Mamo, możemy wejść do środka? Umieram z głodu, a jestem pewien, że czuję zapach gorących pasztecików z mięsem i warzywami. Naprawdę je lubię.

Gerent się roześmiał i puścił go przodem. Kate już miała wejść za nimi, kiedy jeszcze raz rozległo się pełne irytacji skrzeczenie kukulki.

- *Cicho, ty bałaśliwy kundlu! Ty pospolity mieszkańcu! Och, na kaftan sir Kaya, cicho!* Terier na lugierze mało nie oszalał i rozdrażniony ptak nie mógł już znieść jego ujadania. Rybak też miał dość tego harmideru.

- Przekłety lapsie, co się z tobą dzieje? Masz jakieś przywidzenia? -

Wykrzyknął stare, kornwalijskie przekleństwo, które prawdopodobnie nie dałoby się przetłumaczyć, chwycił wiadro* z wodą i chlusnął na psa. Terier zaskomlał i uciekł na rufę. Z tej stosunkowo bezpiecznej odległości dalej czekał.

Kukulka miała już tego dosyć. Rozłożyła skrzydła i pofrunęła w kierunku psa. Kiedy przelatywała nad jego łbem, zrobiła coś wy4i>cę niestosownego. Wycelowała idealnie, należy jednak przemilczeć, co wylądowało między uszami nieszczęsnego teriera. Nagle zapanowała cisza, czyli kukulka osiągnęła zamierzony cel. v

- To dopiero celny strzał - mruknęła ironicznie Kate sama do siebie, ciekawa, czy tylko ona i pechowy terier świadomi byli poważnej zniewagi, jakiej się właśnie dopuszczono.

Weszła za Gerentem i Justjmem do gospody.

Rozdział 10

Tak, jak przypuszczał Gerent, była prawie ósma wieczorem i zachodziło już słońce, kiedy morze cofnęło się wystarczająco, by móc pojechać na wyspę. U wejścia na wyłożoną granitem groblę stał kamienny rzeźbiony słup, który bardzo przypominał Kate ten, który widziała wcześniej umiejscowiony na porośniętym sosnami pagórku. Morze było spokojne i gładkie jak stół. Powóz wjechał z nabrzeża na groblę, która podczas przyływu znajdowała się półtora metra pod wodą.

Czekając w gospodzie, Kate zastanawiała się, dlaczego w czasie odpływu przycumowane do nadbrzeża łodzie rybackie nie przechylają się, osiadając na dnie. Z okna gospody wydawało się, że odsłaniane przez cofającą się wodę łachy piasku, między którymi gdzieniegdzie połyskiwały płytkie sadzawki i sterczały pokryte wodorostami skały, podchodzą tuż do kamiennego obwałowania brzegu. Teraz zorientowała się, że nabrzeże ciągnęło się wzdłuż wąskiego, głębokiego toru wodnego, który skręcał na wschód, a potem na południe, w stronę otwartego morza.

Kiedy podzieliła się swoim spostrzeżeniem, Gerent skinął głową.

- Kilkaset lat temu, kiedy tu, gdzie dziś jest zatoka, był ład stały, płynęła w tym miejscu żeglowna rzeka. Dlatego właśnie Trezance jest tu, gdzie jest. Serce Kate zabiło trochę szybciej. Dziś zamek Carismont położony był na wyspie, ale kiedyś pobudowano go na wzgórzu. Już z gospody zobaczyła okno w zamkowym wykuszu, wychodzące na północ, podobnie jak to, przez które wyglą-

dała podczas swego dziwnego snu w hotelu „Pulteney”. Czyli, że grobla biegła tam, gdzie w jej śnie znajdowała się polanka, a obecny tor wodny, nad którym leżało miasteczko, to właśnie ten akwen, którego obecności się domyślała, a który skrywała mgielka.

Spojrzała na Gerenta.

- Co to za pokój, którego okno widać tam, w wykuszu? - spytała, pokazując ręką.

- To moja sypialnia. Dlaczego pytasz?

- Och, tak sobie. Pomyślałam, że... że jest bardzo oryginalne - wymamrotała. Poczula na sobie jego zdumione spojrzenie, ale nie odważyła się unieść wzroku, ponieważ przypomniała sobie, jak w swym śnie obudziła się na okazałym łożu z purpurową, aksamitną narzutą, haftowaną złotem. Ktoś leżał obok niej, kiedy wstała, żeby wyrzucić przez okno w wykuszu...

W pobliżu wyspy grobla zaczęła lekko opadać i wjechali do płytkiej wody, która jeszcze nie do końca odsłoniła granitową drogę. Kręgi od końskich kopyt i kół powozu poruszyły taflę tak gładką, że Kate trudno było uwierzyć, że dwa lata temu - rocznica przypadała jutro wieczorem - gwałtowna fala przyływu spowodowała śmierć Seleny. Była ciekawa, gdzie to się dokładnie stało. Spojrzała na Gerenta. Siedział tyłem do wyspy i patrzył na drogę, którą już przebyli. Pomyślała, że spogląda w kierunku Polwithiel, a sądząc po jego zaciśniętych ustach, ciągle jeszcze był zdenerwowany po spotkaniu z Denzilem Portreathem.

Słońce zeszło poniżej linii wyspy i powóz znalazł się w rzucafrynft przez nią cieniu. Nagle Justin spytał:

- Proszę pana, gdzie jest zatopiony las?

- Z tego miejsca go nie widać. Prawdę mówiąc, dopiero latem poziom wody podczas odpływu będzie na tyle niskie żeby móc zobaczyć las. Chociaż i wtedy nie zawsze jest widoczny, bo pozostałości drzew znajdują się dość daleko od brzegu. Teraz, podczas pełni księżyca i niedługo po zrównaniu wiosennym woda wszystko zakrywa. Przyływ jest wyjątkowo wysoki.

Jak ten, który zabił Selene, pomyślała Kate. Justin był wyraźnie rozczarowany, że nie zobaczy zalanego lasu, ale szybko pocieszył się inną myślą, od której aż zalśniły mu oczy.

- Naprawdę? To może usłyszę bicie zatopionych dzwonów?

Kate się wzdrygnęła.

- Mam nadzieję, że nie - powiedziała kategorycznie. Gerent się nie odezwał, ale przeniósł wzrok na ciemniejące, nieruchome wody, które jeszcze nie ustąpiły z zatoki.

Byli coraz bliżej wyspy, w cieniu której ciepłe i balsamiczne do tej pory powietrze, stało się chłodne. Przez opuszczone okna wpadł zapach roślin z ogrodów wokół zamku. Była to upajająca mieszanka woni wiosennych kwiatów; gdyby ją zamknąć we flakoniku, z pewnością byłaby poszukiwana przez wszystkie kobiety w Anglii. Kate rozpoznała chłodną świeżość żonkili i narcyzów, a także ciepłą, korzenną słodycz laków, nad którą dominował bogaty zapach hiacyntów, rosnących u podnóża murów zamkowych.

Niektóre drzewa były w pełni kwitnienia, inne zielone, jeszcze inne nie zdążyły wypuścić pąków, ale Kate nie miała wątpliwości, że wszystkie wybrano ze względu na ich wyjątkową urodę. Nawet glóg wydawał się emanować egzotyką w tym zaczarowanym miejscu. Zaczarowanym?

Uwzględniając okoliczności, słowo to mogło wywoływać lekki niepokój.

Niespodziewanie koła powozu i końskie podkowy przestały rozpryskiwać wodę i zadudniły na suchym lądzie; zjechali z grobli na wyspę. Niemal w tej samej chwili rozległo się skrzypienie wysokiej bramy z kutego żelaza, za którą zaczynała się kręta droga do zamku. Kate odwróciła się, by spojrzeć za siebie, i zobaczyła, że brama jest osadzona w wysokim murze, otaczającym całą wyspę. Obok niej była wartownia, a na drodze stał strażnik, spoglądając na przejeżdżający powóz.

- To konieczne z powodu Beleriona. Nie można dopuścić, żeby uciekł z Carismont - wyjaśnił Gerent, widząc, gdzie Kate patrzy. - Pozwalam mu biegać swobodnie, więc

nietrudno byłoby mu zawędrować do Trezance i wywołać tam panikę. Prowadząca do zamku droga, biegła głównie od strony lądu stałego, bo od strony morza skała niemal pionowo opadała do wody. Powóz pokonał mniej więcej połowę odległości, kiedy nagle Justin wykrzyknął z przejęciem:

- Mamo, spójrz! To Belerion!

Lampart biegł wzdłuż szeregu drzew jarzębiny, z których jedno było dziwnie ogołoczone z gałęzi, jakby ktoś je poucinał, ale Kate nie zastanawiała się teraz nad tym, obserwując zbliżające się do powozu zwierzę. Kiedy wielki kot zrównał się z nimi, usłyszała nieznamy głos. Musiała uwierzyć, nie było bowiem innej możliwości, że należy do lamparta.

- *Niech to! Zaczynam być za stary na te powitalne rundy honorowe!*

A więc, pomyślała z rezygnacją Kate, mamy tu złośliwe lawendowe światełko ze skłonnościami do niemiłych pogroźek, gadatliwą kukułkę, a teraz jeszcze ten zrzędlawy lampart? Nie miała nawet odwagi myśleć, co jeszcze czeka ją w Carismont. Może kotka, mieszkająca na zamku, okaże się trudną do zniesienia trajkotką? Psy mówiące płynnie po francusku? A może tutejsze myszy lubią o północy śpiewać chórem? Uznała, że wszystko jest możliwe.

Żmęczone konie pokonały ostatni odcinek drogi, która prowadziła pod okienkiem w wykuszu, a potem zakręcała, bo główna brama do zamku znajdowała się od strony zachodniej, Wszystko tonęło w słońcu, wiszącym nisko nad widnokretem. Kate zobaczyła okazały, szesnastowieczny barbakan i most zwodzony nad wąskim, skalistym rowem.

Spodziewała się, że lampart będzie im towarzyszył aż do domu, ale po jakimś czasie został z tyłu.

- *Na dziś wystarczy tego treningu* - mruknął, a potem zniknął w ogrodzie.

Powóz z głośnym turkotem przemknął przez zwodzony most, a po chwili przejechał także przez bramę w barbakanie. Znaleźli się na rozległym, czworokątnym dziedzińcu;

promienie zachodzącego słońca wpadały przez bramę, rzucając długie cienie na zadbane gazony i kwiatowe klomby. W ozdobnej sadzawce z fontanną starszy ogrodnik razem ze swym młodym pomocnikiem sadził lilie wodne. Na widok powozu obaj się wyprostowali i zdjęli czapki.

Kate starała się teraz zapomnieć o wszystkim i skupić na pierwszym spotkaniu ze służbą. Gerent zapewnił ją, że wiadomość o przyjeździe powozu do gospody dotrze do zamku. Faktycznie, cała służba czekała w szeregu przed eleganckim portem *cocherem* południowo-zachodnim rogu dziedzińca. Kiedy powóz się zatrzymał, Kate wyobraziła sobie, jakie zdumienie ogarnie zebranych, gdy dowiedzą się, że kobieta i chłopiec, z którymi przyjechał Gerent, to jego druga żona i pasierb.

Przygotowując się na poruszenie, którego za chwilę stanie się powodem, zauważyła, że drzwi do zamku udekorowano gałęziami leszczyny, głogu i jarzębiny. Dlaczego? - zastanawiała się. Co dziwniejsze, na trzech prowadzących do wejścia stopniach rozsypane były liście laurowe. Czyżby jednak spodziewano się jej przyjazdu? Czy była to swego rodzaju pospieszna dekoracja, przygotowana specjalnie na jej powitanie? Ktoś z gospody miał przypłynąć łodzią na wyspę i uprzedzić służbę, że mają nową panią.

Gerent, który jeszcze nie spojrział w stronę drzwi, uśmiechnął się do Kate. , - Witaj w domu, lady Carismont - powiedział cicho. A więc to jest jej dom? I pozostanie nim na zawsze? Kiedy wysiadał, kobieta w średnim wieku ubrana w szarą

suknię pospieszyła, by go powitać. Jej rzadkie włosy przykrywał czepek, miała sympatyczną twarz o różowo-białe, cerze mieszkańców wsi; jednak teraz na jej obliczu rwał się niepokój i kobieta miała w dłoniach chusteczkę.

- Och, milordzie, milordzie, jak się cieszę, że w końcu pan przyjechał! - zawołała.

W tym momencie Gerent dostrzegł zielone przybranie.

- Co się stało, pani Pendern? - spytał. - Co jest powodem wszystkich tych środków ostrożności?

Środki ostrożności? Kate aż rozchyliła usta ze zdumienia.

- To jedyne, co mi przyszło do głowy, milordzie - odparła kobieta, która była tu, zdaje się, gospodynią. - Och, tak się martwiłam, odkąd księżyc znów zaczęło przybywać. Byłam pewna, że przyjedzie pan do domu na czas, ale kiedy się pan nie pojawił... W ten sposób zabezpieczyłam wszystkie drzwi do zamku. Zna pan to stare powiedzenie. *Po trzecie leszczyna, głóg i jarzębina; po czwarte laur żło wykłina.*

Gerent odpowiedział cierpliwie, ale w tonie jego głosu słychać było lekką irytację.

- Tak, tak, dobrze je znam, ale chcę, żeby mi pani powiedziała, dlaczego uciekła się pani do takich zabezpieczeń. Co się właściwie wydarzyło?

- Najpierw, kiedy na niebie świecił nów, słychać było dzwony, jak o tej samej porze rok i dwa lata temu. Potem, przedwczoraj w nocy, panienska Genevra znów weszła do wody, milordzie.

Zapadła kompletna cisza i Kate wydawało się, że słyszy gdzieś w oddali kukulkę. Pierwsza część oświadczenia gospodyni sprawiła, że Justin rozszerzył oczy z przejęcia, ale druga zaniepokoiła go. Genevra usłyszała dzwony i weszła do morza? Kate lekko ucisnęła ramię synowi, by dodać mu otu-za co podziękował jej uśmiechem. Gerent szybko się opanował i zwrócił się ostrym tonem do pani Pendern:

- Genevra weszła do wody? - powtórzył za kobietą.

- Tak, milordzie. Z tego samego powodu, co poprzednio –szepnęła gospodyni.

- Dobry Boże, czy ta... ta wiedźma nie cofnie się przed niczym, żeby dopiąć swego? - szepnął Gerent.

Gospodyni była zdenerwowana nie tylko tym, że Genevra weszła do wody, ale bała się również, że ojciec dziewczynki zarzuci niedbałość jej i całej służbie.

- Proszę uwierzyć, że nie było to wynikiem zaniedbania ze strony kogokolwiek, milordzie, Panienska Genevra wyszła w nocy i nikt o tym nie wiedział. Gdyby nie lampart...

- Tak? Proszę mówić dalej.

- Narobił takiego hałasu, że postawiłby na nogi nawet umarłego, I zaraż się okazało, że panienka Genevra zniknęła. Lampart zaprowadził nas do małego pomostu Stała tam po pas w wodzie i nawoływała swoją mamę. Biedactwo! Jeden z ludzi wyciągnął panienkę i natychmiast zanieśliśmy ją do zamku. Kazałam jej wypić szklanekę rumianku i położyłam ją do łóżka.

- Czy teraz dobrze się czuje?

- Tak, milordzie, wydaje mi się, że tak.

- Tylko się pani wydaje?

Pani Pendern nieco się zmieszala.

- Dostała napadu złości, milordzie, ale to nic nowego.

Gerent skinął głową.

-Poza tym nic więcej się nie wydarzyło?

- Nie, proszę pana. Jak powiedziałam, od kilku dni slychac dzwony, jutro będzie pełnia księżyca, więc wiem, że zbliża się kolejny wyjątkowo wysoki przypływ, jak te, które mieliśmy podczas kwietniowej pełni księżyca przez ostatnie dwa lata.

I dlatego pomyślałam sobie, że muszę odpowiednio ubezpieczyć dom. Więc wczoraj o pierwszym brzasku posłałam kilku ludzi, by narwali w ogrodzie gałęzi. Byli na tyle głupi, że ogołocili jedno drzewo jarzębiny tak, że zupełnie je zniszczyli. Zbesztalam ich za to, milordzie, ale przynajmniej zamek jest chroniony jak należy. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam?

Justin, siedzący ciągle w powozie, gapił się ze zdumieniem na Gerenta i gospodynię. Zielone gałęzie jako zabezpieczenie? Co za pomysł! Do obrony zamków służą armaty, a nie gałęzie! Kate była nie mniej zaskoczona. Cóż za nedorzeczne przesady. Ale najbardziej zaszokowało ją to, że Gerent wyraził się o swej córce „ta wiedźma”, chociaż nie była pewna, czy rzeczywiście miał na myśli Genevrę. Zebrała fałdy sukni i wysiadła, a za nią Justin, niosąc swą łódkę.

Kiedy się pojawili, natychmiast wśród zebranej na dziedzińcu służby zapanowało poruszenie. Pani Pendern zupełnie się nie spodziewała, że Gerent nie jest sam i aż cofnęła się

zaskoczona, nim przypomniała sobie o zasadach dobrego wychowania i szybko się ukloniła.

- Witam panią i młodego panicza. Proszę mi wybaczyć, ale nie zdawałam sobie sprawy z państwa obecności.

Gerent poinformował ją, kim jest towarzysząca mu kobieta.

- Pani Pendern, to jest lady Carismont. Chcę, żeby tak się pani do niej zwracała.

Służącym na moment odjęło mowę, a po chwili zaczęli coś między sobą szeptać, ale trwało to krótko. Pani Pendern była tak zdumiona, że stała bez słowa.

Następnie Gerent spokojnie przedstawił Justina.

- A to mój pasierb, panicz Justin. Gospodyni gapila się na Kate.

- Witam, milady. Dobry wieczór, paniczu Justinie. A więc mamy nową lady Carismont - wykrzyknęła. - Nigdy nie myślałam, że dożyję tego dnia...

- Jak widać, dożyła pani - powiedział Gerent. - A teraz chyba powinienem zobaczyć, jak się czuje Genevra po tym, co przeżyła. - Kończąc rozmowę zwrócił się do pozostałej służby. - Dziękuję, że powitaliście nas w domu.

Służący zaczęli się kłaniać i dygać, a potem Gerent spojrział na Justina.

Widząc niepewną minę chłopca, dał mu szansę odłożenia chwili spotkania z przyrodnią siostrą na później.

- Justinie, myślę, że może będzie lepiej, jeśli najpierw przedstawię Genevrę tylko twojej mamie. Chyba że wolisz być obecny...

- Ochl. tak, uważam, że pan i mama powinni najpierw pójść sami do Genevry

- szybko przerwał mu Justin. W tej chwili o wiele wolał puszczanie łódki w sadzawce z fontanną, niż spotkanie z Genevrą, łatwo wpadającą w złość.

- Przez ten czas zaopiekuje się tobą pani Pendern.

- Dobrze, proszę pana. Gerent podał Kate ramię i razem weszli do zamku.

Kiedy

zniknęli, służący znów zaczęli szeptać.

Rozdział 11

Odgłosy napadu złości Genevry słyhać było już z daleka. Jej szloch na przemian z wrzaskami, a także błaganie udręczonej pokojówki, odbijały się echem wzdłuż ślicznie umeblowanych korytarzy o białych ścianach. Dawno temu były tu gołe mury, a mnisi w czarnych kapturach zajmowali się swymi codziennymi sprawami. Obecni właściciele nie szczędzili starań, by przekształcić zamek Carismont w tak okazałą i wygodną rezydencję, jak to tylko możliwe. We wszystkich pomieszczeniach stały eleganckie meble. Okna przesłaniały śliczne witraże, na ścianach wisiały wspaniałe obrazy i tkaniny. Za każdym z mijanych przez Kate okien rozciągał się cudowny widok. Pomyślała, że w takim miejscu można tylko kochać i pragnąć być kochanym. Kiedy dotarli do otwartych drzwi pokoju dziewczynki, Kate przystanąła, by Gerent wszedł pierwszy. Genevra była w łóżku, wrzeszcząc, kopiąc i waląc piąstkami swą nieszczęsną pokojówkę. Dziewczynkę ogarnął taki szal, że Kate wątpiła, czy jej pasierbica w ogóle wie, dlaczego tak się zachowuje, i jak nad sobą zapanować. Kate zetknęła się już kiedyś z takimi napadami złości u dzieci. Przez jakiś czas po śmierci Michaela identycznie zachowywał się Justin. W jego przypadku przyczyną hysterii były żal z powodu straty ojca, strach i poczucie zagrożenia, a co za tym idzie domaganie się całkowitej uwagi ze strony pozostałego rodzica. Gdyby ktoś zapytał w tej chwili Kate, co się dzieje z Genevrą, powiedziałaaby, że powody takiego, a nie innego zachowania dziewczynki są identyczne, jak w przypadku jej syna. Patrzyła, jak Gerent podbiega do łóżka córki. Zapłakana

pokojówka nie kryła ulgi, kiedy została odprawiona. Wyszła natychmiast i nawet nie zauważyła Kate. W chwili, gdy Gerent objął Genevrę, dziewczynka przestała się rzucać i krzyczeć. Już tylko cicho pochlipping, z całych sił objęła ojca, jakby chciała się stać jego częścią. Przez kilka minut Kate słyszała jedynie jej zduszony płacz i cichy, uspokajający głos Gerenta. Nie widziała, jak wygląda Genevra. Zauważyła jedynie, że jest ciemnowłosa, jak ojciec. Jej długie, kręcone włosy były teraz splątane od rzucania się na łóżku. Kate podziwiała łagodność i wyrozumiałość Gerenta. Wielu ojców za takie zachowanie najpierw podniosłoby głos na swoje dziecko, a on miał dla swojej córeczki tylko niezwykłą serdeczność i miłość. Kate czuła, że z każdą chwilą staje się jej coraz bliższy. Coraz też wyraźniej docierało do niej, że kierując do pani Pendern słowa „czy ta wiedźma nie cofnie się przed niczym”, nie miał na myśli Genevry. W takim razie - kogo?

Od progu, gdzie stała Kate, roztaczał się widok na pokoje z oknami wychodzącymi na południe, na otwarte morze. Wyraźnie widziała wody zatoki, połyskujące jak roztopiony metal. Okna znajdowały się wysoko nad stromym urwiskiem, opadającym wprost do morza, które w tym miejscu zawsze było głębokie. W pomieszczeniu z lewej strony była umywalnia, z prawej gotownia, w której stała wielka, masywna szafa. "Kate pomyślała, że to średniowieczna szafa na liberie.

W samej sypialni dominowała biel i jasna żółć, okna osłonięte były zasłonami w kwiaty, nad łóżkiem wisiał baldachim z identycznej tkaniny. Na podłodze leżał niezwyklej urody dywta; a w kącie pokoju stał śliczny parawan, ozdobiony chińskimi scenkami. Na kominku płonął ogień, po obu jego stronach ustawiono fotele, obite granatowym brokatem. Pod ścianą biblioteczka z książkami dla dzieci, a w kącie stół, na którym było wszystko, co jest potrzebne do rysowania i malowania, dopełniały umeblowanie pokoju. Genevra nie mogła też narzekać na brak zabawek; był tu okazały domek dla lalek, koń na biegunach, kot z różowego aksamitu, który wyglądał, jakby był bardzo kochany i często

tulony, a także kilka różnych lalek. Był to pokój dziewczynki bogatej i kochanej, której nie brakowało niczego... prócz matki i stałej obecności ojca. Kiedy Gerent w końcu ujął Genevrę za ramiona i delikatnie ją od siebie odsunął, Kate zobaczyła, że dziewczynka jest bardzo ładna. Miała delikatne rysy i wielkie, brązowe oczy, z pewnością odziedziczone po Selenie, bo oczy Gerenta były zupełnie inne. Wyjął niewielki medalion, który jej przywiózł, i zawiesił na jej szyi.

- To prezent dla ciebie z Londynu. Nigdy go nie zdejmuj.

- Nigdy? - Genevra pociągnęła noskiem i wytarła oczy rękawem nocnej koszuli.

- Nigdy przenigdy.

Genevra spojrzała na niego zaintrygowana, ale posłusznie skinęła głową.

- Obiecuję, że go nigdy nie zdejmę, tatusiu - powiedziała. Jeszcze ciągle nie zauważyła stojącej w drzwiach Kate.

Czule odgarnął jej loki z gorącego czoła, a potem ujął jej twarz w obie dłonie.

- Co cię tak zdenerwowało, skarbie? Co się stało? - spytał łagodnie.

- Wkrótce umrę, tatusiu - oświadczyła z powagą.

W ustach dziecka były to tak straszne słowa, że Kate aż znieruchomiała.

Gerent także był wstrząśnięty.

- Nie, skarbie, wcale wkrótce nie umrzesz. Skąd ci to przyszło do głowy?

Genevra zacisnęła usta i nie odpowiedziała, ale Kate zauważyła, jak dziewczynka zwróciła swoje ciemne oczy w stronę okna i spojrzała na skrzące się morze.

Gerent koniecznie chciał usłyszeć odpowiedź.

- Genevro, czy ktoś ci powiedział, że umrzesz? Może twoja pokojówka? Bo nie wierzę, żeby zrobiła to pani Pendern...

- Nie, to żadna z nich.

- Ale ktoś ci to powiedział? - nalegał delikatnie.

- Tak, ale nie mogę ci powiedzieć kto, tatusiu. To tajemnica. Słyszac te słowa, westchnął ciężko i opuścił ręce.

- Chyba wiem, kto to taki, skarbie. Nie wolno ci jej wierzyć. Nie mów prawdę.
- Nie, tatusiu, ona nie kłamie.
- Mylisz się, skarbie. Obiecuj mi, że nigdy więcej nie będziesz jej słuchała.
- Ale...
- Przyrzeknij - przerwał jej zdecydowanie.

Przez chwilę Genevra miała nieco zbuntowaną minę, ale w końcu skinęła głową.

- Dobrze, przyrzekam. Przynajmniej...
- Co przynajmniej?
- Spróbuję nie słuchać.
- Chyba muszę się tym zadowolić - mruknął, a potem się uśmiechnął i przesunął palcem po jej policzku.

Genevra szybko położyła na jego dłoni swoją małą rączkę.

- Tatusiu, zostaniesz teraz w Carismont?
- Tak, na kilka miesięcy.
- Proszę zostań na zawsze. Nienawidzę, kiedy wyjeżdżasz.
- Kochanie, muszę od czasu do czasu wyjeżdżać. Jest wiele spraw, których muszę doglądać. - Gerent się uśmiechnął. - Ale możesz być przynajmniej pewna, że z każdego wyjazdu przywiozę ci jakiś prezent. Tym razem kupiłem dla ciebie

_ śliczny, złoty medalion. " Genevra spuściła wzrok

- Wiem, tatusiu, że kupujesz mi prezenty, ale zawsze się boję...
- Czego się boisz? - spytał.
- Zawsze się boję, że już nie wrócisz.
- Naturalnie, że wrócę - powiedział z pełnym przekonaniem.
- Mama nie wróciła - przypomniała mu.

Gerent zabrał rękę i wstał z łóżka. Szybko spojrzał na Kate. Dostrzegła w jego oczach pytanie. Czy to odpowiednia chwila, żeby ją przedstawić? Kiedy tak na siebie patrzyli przez chwilę, Genevra zauważyła jej obecność.

- Kim pani jest?

Kate z wahaniem weszła do pokoju, a Gerent odchrząknął.

Nie istniał żaden bezbolesny sposób zakomunikowania takiej nowiny, nie mógł szepnąć jej tego cicho na ucho, łudząc się, że wówczas łatwiej przyjmie to do wiadomości. Musiał powiedzieć jej o tym zwyczajnie i po prostu.

- Genevra, to jest moja nowa żona, a twoja macocha... Genevra wpatrywała się w Kate, jakby spod jej sukni z haftowanego muszlinu dostrzegła wystające czarcie kopyta.

Gerenta ogarnęła niepewność.

- Genevra...

- Nie! - krzyknęła nagle dziewczynka. - Nie! Nie może być twoją żoną! Ani moją matką! Nienawidzę jej! Nie chcę jej tutaj! - Schowała twarz w poduszkę i zaczęła histerycznie płakać.

Gerent był przerażony, ale Kate wiedziała, co należy zrobić. Skinęła, by wyszedł z pokoju, co, ufając jej, zrobił. Zamknęła za nim drzwi, podeszła do łóżka Genevry i usiadła na nim. Nic nie mówiła, pozwalając dziewczynce płakać. Genevra pomyślała, że Kate też wyszła z pokoju, nagle przestała płakać i usiadła. Widok Kate stanowił dla niej prawdziwy wstrząs.

Otworzyła buzię, by znów wybuchnąć łkaniem, ale wtedy Kate przemówiła.

- Naturalnie możesz dalej płakać, jeśli dzięki temu czujesz się lepiej, ale myślę, że jesteś już tym zmęczona.

- Nie lubię pani!

- Rozumiem, co czujesz. Justin zachowywał się dokładnie tak samo, kiedy się dowiedział, że twój tata ma być jego ojczymem.

Genevra spojrzała podejrzliwie.

- Kto to jest Justin?

- To mój syn. Jest twoim rówieśnikiem. - Kate podeszła do kominka, by zapalić świecę, którą następnie postawiła na stoliku obok łóżka. Słońce zbliżało się ku zachodowi i szybko zapadał zmierzch. Znów usiadła.

Genevra spojrzała na nią niechętnie.

- Dlaczego Justin miałby czuć to samo, co ja? On będzie miał mojego tatusia, podczas gdy ja będę tylko miała...

- Podczas gdy ty będziesz miała tylko mnie? - Kate się uśmiechnęła. - Cóż, to oczywiście prawda, ale kiedy powiedziałam, że Justin czuł to samo, co ty, „nie miałam na myśli tego, że będzie miał ojczyzna, chociaż przyznaję, że początkowo niezbyt mu się to podobało. Nie, chciałam powiedzieć, że czuł to samo, co ty, kiedy zmarł jego tata. Widzisz, bardzo go kochał, tak bardzo, jak ty z pewnością kochałaś swoją mamę.

Genevra badawczo przyglądała się Kate swymi wielkimi oczami.

- Kocham mojego tatusia - powiedziała w końcu, co wydało się Kate dość dziwną odpowiedzią. Spodziewała się, że Genevra oświadczy, że na pewno bardziej kochała swoją mamę niż Justin swego tatę. Tymczasem stwierdziła jedynie, że kocha Gerenta.

Kate powiedziała, starannie dobierając słowa:

- Justin był okropnie zły, kiedy jego tata umarł. Był taki nieszczęśliwy, że nie chciał robić nic, o co go poprosiłam. A wszystko dlatego, że bał się, że mnie też straci. Chciał, żebym cały czas była przy nim, żeby cały czas mógł mnie widzieć, bo tylko wtedy był pewien, że jestem bezpieczna. Czy ty również chcesz, żeby tatuś był zawsze z tobą?

Genevra nie odpowiedziała, ale świeże łzy potoczyły się po jej zaróżowionych policzkach.

- To naturalne, że tak się czujesz - powiedziała łagodnie Kate i podała dziewczynce do rączki chusteczkę. - Wszystkim nam potrzebne jest poczucie bezpieczeństwa i chcemy być kochani, nawet kiedy jesteśmy już dorośli.

- Czy pani też tak się czuje?

- O, tak.

Genevra wytarła oczy.

- Okropnie chcę, żeby tatuś tu został - przyznała. Za każdym razem, kiedy wyjeżdża, wydaje mi się, że widzę go ostatni raz w życiu.

- Dlaczego po prostu nie pojedziesz z nim? - spytała Kate. Genevra wzdrygnęła się.

- O, nie, nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego? Jestem pewna, że nie miałby nic przeciwko temu.
- Nie mogę opuścić wyspy.
- Dlaczego?- spytała zaintrygowana Kate, przypomniawszy sobie słowa Gerenta, że od śmierci Seleny Genevra odmawia opuszczenia wyspy. Czyżby bała się drogi przez groble?
- Nie mogę i już. Muszę tutaj zostać. - Genevra zakończyła ten temat i przyjrzała się jej Badawczo. - Czy Justin też tu jest? - spytała niespodziewanie.
- Tak.
- Mam nadzieję, że nie uważa pani, że powinnam być dla niego miła? - Pytanie zabrzmiało jak rzucenie wyzwania.
- Cóż, z pewnością cię na to stać i chyba twój tata ma taką nadzieję, ale nikt nie będzie cię do niczego zmuszał. Justin jest jedynakiem tak jak ty i potrafi bawić się sam. Myślę, że chętnie będzie spędzał czas z Belerionem. Genevrze nie spodobało się to.
- Nie wolno mu!
- Dlaczego?
- Belerion należy do tatusia. Kate się uśmiechnęła.
- Może kiedy będziesz w lepszym nastroju, zmienisz zdanie o Justinie. Może wtedy sama mu powiesz, co mu wolno, a czego nie.
- O, tak, bardzo chętnie mu powiem, czego mu nie wolno. Kate ukryła uśmiech.
- A co będzie, jeśli wyda ci się sympatyczny? W końcu miałabyś kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać, kogoś, kto dokładnie rozumie, jak się czujesz. Możecie sobie pomagać nawzajem.
- Dlatego, że stracił tatusia? Kate skinęła głową.
- Tak, i ponieważ jego mama poślubiła twójego tatę. Justin o wiele bardziej wolałby mieć z powrotem swojego prawdziwego tatę, tak jak ty wolałabyś mieć swoją prawdziwą mamę.

Oczy Genevry zrobiły się okrągłe.

- O, nie! Chciałarn powiedzieć... - Uniosła ręce do głowy i mocno zacisnęła powieki, jakby nie mogła sobie poradzić ze wszystkimi myślami, kłębiącymi się w jej głowie.

Kate dotknęła ją delikatnie.

- Przepraszam, Genevro. Naprawdę nie chciałam cię zdenerwować. - Stało się dla niej oczywiste, że myśl o powrocie Seleny napawała dziewczynkę lękiem. - Słuchaj, wiem, że dziś wieczorem nie czujesz się najlepiej...

- Nie zejdę na kolację! - szybko oświadczyła Genewa, postanowiwszy nie spotykać się z Justinem, póki nie będzie to absolutnie konieczne.

Kate uśmiechnęła się.

- Jeśli tak wolisz, to oczywiście nikt cię nie zmusi, żebyś do nas dołączyła. Może rano, jak się dobrze wyśpimy, spotkamy się wszyscy przy śniadaniu? Może polubisz Justina.

- Nie.

- Twój tata ucieszyłby się, gdyby jednak tak się stało. Wiesz, że bardzo cię kocha. - Kate urwała, zastanawiając się, jak najlepiej poruszyć kolejny trudny temat, sprawę lekcji. Była zwolenniczką gry w otwarte karty. - Genevro, poznałam twojego tatę, kiedy umówił się ze mną na rozmowę, chcąc mi zaproponować posadę twojej guwernantki, Gerievra wprost osłupiała.

- Czy to znaczy, że jest pani guwernantką? - Dziewczynka nie mogłaby mieć bardziej przerażonej miny, nawet gdyby na miejscu Kate ujrzała ropuchę o trzech głowach.

- Byłam przez pewien czas. Kiedyś mieszkałam w wielkim domu, podobnym do tego, ale po śmierci ojca Justina wszystko się zmieniło. Musiałam poszukać pracy, żeby zarobić na siebie i Justina. A potem poznałam twojego tatę, który zaproponował mi małżeństwo. I chociaż jestem teraz jego żoną, a twoją macochą, mam również uczyć ciebie i Justina.

Wzmianka o wielkim domu udobruchała nieco Genevrę, ale i tak dziewczynka zrobiła odpychającą minę.

- Lekcje? O, nie...

- Obawiam się, że tak. - Kate uśmiechnęła się w duchu, bo w reakcji dziewczynki było coś bardzo naturalnego i szczerego. Znow wstała z łóżka.

- Pójdę teraz i pozwolę ci odpocząć, jestem pewna, że masz wiele rzeczy do przemyślenia. - Podeszła do drzwi, przystanąła i odwróciła się. - Genevra, dlaczego przedwczoraj w nocy weszłaś do wody?

- Bo usłyszałam dzwony, a potem mamusia zaczęła mnie wołać - odparła zwyczajnie dziewczynka. Genevra wskazała na okno. - Była tam, między drzewami, widziałam ją.

Kate podeszła do najbliższego okna i wychyliła się, by wyrzec przez nie. Naturalnie nie zobaczyła tam drzew, tylko morze... a nad połyskującymi wodami krążyła kukulka, Zapadał wieczór, powietrze było jakieś dziwne. Poczula, że dostała gęsiej skórki.

Nieoczekiwanie Genevra znow się odezwała.

- Coś mnie obudziło i podeszłam do okna. Mama machała do mnie ręką, a potem zawołała, żebym poszła z nią do lasu. Więc poszłam.

- Ale przecież tu nie ma lasu, Genevra - wolno powiedziała Kate.

- Ależ jest. Tam jest Lonia. To tam mieszka teraz mama.

Kate nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale na szczęście nie było takiej potrzeby, bo dziewczynka, wyraźnie zmęczona przeżyciami wieczoru, wtuliła się w poduszkę i zamknęła oczy.

Kate postanowiła zostać, póki Genevra nie uśnie, i nie musiała na to długo czekać. W pewnej chwili, kiedy odwróciła się od okna, a Genevra już spała, usłyszała głuchy, dudniący dźwięk dzwonów, dobiegający od strony zatoki. Stłumiony i zniekształcony, zdawał się wydobywać gdzieś z głębi wody. Kate przeszedł dreszcz. Ile dzwonów słyszała? Trzy? Cztery? Zupełnie jakby to był niedzielny poranek w kilku pobliskich wioskach. Zatopionych wioskach. Nagle do okna podfrunęła kukulka. Kate szybko się cofnęła, żeby ptak nie wpadł na nią. Kukulka jak zwykle wylądowała tak niezgrabnie, że musiała chwycić się dziobem zasłony, by nie wpaść na podłogę pokoju. Przez dłuższą chwilę chwiała

się, ale w końcu utrzymała równowagę, złożyła skrzydła, a potem spojrzała na Kate.

Chociaż ptak znajdował się na wyciągnięcie ręki, Kate go nie dotknęła. Nie wiedziała dlaczego, ale wydało jej się to niestosowne. Natomiast, o dziwo, odezwanie się do niego uznała za coś jak najbardziej naturalnego.

- Na kaftan sir Kaya, nie jesteś zbyt zwinnym ptaszkiem, co? Kukulka zdawała się tak kompletnie zaskoczona, że aż wytrzeszczyła oczy.

- *Tak dobrze mnie słyszysz?* - spytała w końcu.

- O, tak. Słyszę też, jak mówi lawendowe światelko i Be-lerion.

Kukulka gapiała się na nią.

- *Na moją duszę i pigułki przeczyszczające Lancelota!* - szepnęła, będąc pod wielkim wrażeniem.

- Powiedz mi, czego chcesz? Dlaczego tylko ja cię widzę i słyszę? Nie licząc naturalnie nieszczęsnego psa rybaka.

Kukulka rozpromieniła się, najwyraźniej rozkoszując się wspomnieniem, w jaki sposób ukarała psa. Ale po chwili znów spojrzała na nią poważnie.

- *Musisz być bardzo ostrożna.*

- Dlaczego? Czy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

- *O, tak. Cały czas miej się na baczności.* - Ale...

Zanim zdążyła coś powiedzieć, zdumiewająca kukulka wzbila się do lotu, trzepocząc skrzydłami z wyrzuconymi do przodu jogami, co wcale nie wyglądało wdzięcznie. Poleciała przed siebie i zniknęła na tle purpurowego skrawka słonecznej tarczy.

Rozdział 12

Genevra mocno spała, kiedy Kate cicho wyszła z jej pokoju. Zaraz za drzwiami natknęła się na Gerenta, czekającego niecierpliwie w korytarzu bez okien, oświetlonym jedynie jedną zapaloną świecą, stojącą na konsolce, obok małej czarki z serwskiej porcelany z pierwiosnkami.

Belerion leżał na dywanie u jego stóp, ale na widok Kate wstał.

- *A więc też słyszysz mój głos, tak? To dobrze, bo będę miał mniej roboty* - zauważył lampart. Potem ziewnął, wyciągnął przed siebie przednie łapy i odszedł wolnym krokiem. - *Nie wiem, dlaczego musiałem tu tkwić tyle lat* - powiedział zrzędliwie. - *Ta głupia kukułka powinna zostać już dawno tu wezwana. Dlaczego wszystko jest na mojej głowie? To niesprawiedliwe. Tak, na me cętki i wąsy! To wielce niesprawiedliwe.*

Wciąż mruczając pod nosem, naburmuszony lampart zniknął za zakrętem korytarza, a Kate niepewnie spojrzała na Gerenta.

- Słyszałeś to? - spytała.

- Co?

- Och, nic takiego... Płomień świecy poruszył się lekko, a kremowe pierwiosnki przybrały różowy odcień.

- Jak się czuje Genevra? - spytał Gerent.

- Śpi.

Odwrócił się, wzdychając z ulgą.

- Te napady złości zawsze ją wyczerpują.

-Wcale się nie dziwię. Gerencie, to bardzo nieszczęśliwe dziecko. Po stracie matki boi się, że może stracić również ciebie, szczególnie, kiedy wyjeżdżasz na dłużej.

Zgarbił się lekko i skinął głową.

- Wiem - powiedział cicho. - Ale wiesz równie dobrze jak ja, że utrzymanie majątku zmusza do załatwiania różnych spraw i nie mogę całego czasu spędzać w wiejskiej rezydencji.

O tak, bardzo dobrze o tym wiedziała, bo pod koniec swego życia Michael bardzo rzadko już bywał w Kingsley Park. Ale spowodowane to było jego uzależnieniem od hazardu, a nie załatwianiem spraw, związanych z posiadłością, które wymagałyby obecności w Londynie.

- Gerencie, wciąż powtarzasz, że interesy tygodniami trzymają cię w Londynie, ale czy to do końca prawda? Wybacz mi, ale jak wiesz, orientuję się nieco w zarządzaniu majątkiem. I jestem pewna, że nie musisz wyjeżdżać na tak długo. Co jest prawdziwym powodem twoich pobytów w Londynie?

Odwrócił się i przyjrzał się jej dość zagadkowo.

- Skąd ten podejrzliwy ton, Kate? Myślisz, że w jakimś dyskretnym miejscu, za wysokim murem ukrywam kobietę?

Lekko się zarumieniła.

- Nie, nie to miałam na myśli. Uśmiechnął się smutno.

- Szkoda. Zastanawiałem się, czy taka ewentualność nie wzbudziłaby w tobie zazdrości.

- Chcesz, żebym była zazdrosna? Skinął głową.

Chyba tak.

Rozmowa przybrała dość nieoczekiwany obrót i Kate poczuła się nieco zbита z tropu.

- Mówiliśmy o... o twoich nieobecnościach w domu. -Masz rację, Kate. Jeśli mam być szczery, mieszkam

w Londynie, żeby uciec przed nieprzyjemnymi... wspomnieniami, związanymi z wyspą i zamkiem. Genevra nie chce mi towarzyszyć, więc wyjeżdżam sam. Odczuwam potrzebę ucieczki od wszystkiego, co wiąże się z tym miejscem.

Za jego słowami, kryły się sprawy, o których Kate nie miała pojęcia i nie potrafiła się ich nawet domyślić. Wiedziała jedno: że muszą one mieć związek z Seleną. Cóż, nieistotne, co to takiego, najważniejsza jest Genevra.

- Gerencie, musisz mi obiecać, że będziesz częściej i dłużej przebywał w Carismont.

- Zaczynasz mnie pouczać, moja pani?

Czyżby dosłyszała w jego głosie gniew? Kate nie była tego pewna, ale nie dała się zbić z tropu.

- Chyba rzeczywiście, milordzie. Poślubił mnie pan, żebym mogła we właściwy sposób zająć się Genevrą. I właśnie to robię.

- Wyobrażałem sobie, że właśnie zaopiekujesz się nią podczas moich nieobecności - mruknął.

Jakie to typowo męskie podejście, pomyślała.

- Cóż, czasem zawodzą nawet najlepsze plany, milordzie. Właśnie tak jest w tym przypadku, bo nie zamierzam traktować swoich obowiązków lekko. Ani ty, Gerencie, nie powinienesz ich tak traktować, dodała w myślach.

Starła się, żeby to, co mówiła, brzmiało łagodnie, ale problem był w jej pojęciu naprawdę bardzo poważny. Przez chwilę patrzył na nią, jakby nie wiedział, czy wybuchnąć gniewem, czy też nie, w końcu jednak uśmiechnął się nieznacznie.

- Uważam się, Kate, za skarconego, i podziwiam twoją determinację. .

- To nie determinacja, Gerencie, to kwestia sumienia. Zaproponowałeś mi małżeństwo, żebym otoczyła Geneyrę taką troską, jaką otaczam Justina.

Zgodziłam się na te warunki i postaram się wywiązać z podjętego zobowiązania na tyle, na ile potrafię. Ale jeśli będzie to oznaczało konieczność zwrócenia ci uwagi na coś, czego, być może, sam nie dostrzegasz, zrobię to, czy ci się to podoba, czy nie.

Roześmiał się cicho.

- Wielkie nieba, pani, przeistoczyła się pani w istną heterę, ale cóż, już za późno, żeby jeszcze raz przemyśleć kwestię naszego związku - mruknął.

- Wie pan, że to nieprawda.
- Co nie jest prawdą? Że jest pani heterą? Czy, że już za późno, by przemyśleć wszystko raz jeszcze?
- I jedno, i drugie, milordzie, bo z całą pewnością nie jestem heterą, a ponieważ nasze małżeństwo jest tylko formalne, może pan w każdej chwili się wycofać. Przypuszczam, że fakt, iż nie zostało skonsumowane, jest wystarczającym powodem do jego unieważnienia?
- Nie wiem, ale muszę zwrócić pani uwagę, że w takim samym stopniu, jak ja, ma pani prawo nie dotrzymać przysięgi małżeńskiej. - Spoważniał. - Kate, czy chcesz się wycofać?
- Nie.
- Ja też nie, więc nasze rozważania na temat *non consum-matum* są bezprzedmiotowe. - Przesunął ręką po ciemnych włosach. - Może lepiej od razu spytam, czy jest coś jeszcze, co chciałabyś mi powiedzieć, a co dotyczy Genevry?
- Cóż, jutro zje z nami śniadanie, a przy okazji poinformuje Justina, czego nie wolno mu robić.
- W to nie wątpię - odparł kpiąco.
- Ponieważ on też nie należy do dzieci, pozwalających łatwo sobą kierować, więc chyba możemy spodziewać się sprzeczki. Może się oczywiście okazać, że jednak się polubią. Prawdopodobnie zjednoczą siły, jeśli chodzi o sprawę lekcji, o których też jej powiedziałam. - Urwała. - Gerencie, proszę, żebyś obiecał mi jedno.
- To znaczy?
- Ze jutro rano spędzisz trochę czasu sam na sam z Genewą. - Ale jutro rano mam masę zajęć, Kate. Przyjedzie mój zarządca, a potem...
- Proszę, Gerencie. Musisz poświęcać więcej czasu potrzebom Genewy niż swoim i Carismont. To ważne i jesteś jej to winien. Jesteś to również winien samemu sobie, bo widzę, że bardzo ją kochasz. Więc pobądź z nią trochę jutro rano i obiecaj jej, że później, w ciągu dnia, też będziesz miał dla niej trochę czasu. I jutro, i pojutrze. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Dobrze.

- Obiecujesz?

- Tak Czy jest jeszcze coś, o czym twoim zdaniem powinienem wiedzieć? Czy to właściwa chwila, żeby poruszyć bardziej zagadkowe sprawy, otaczające ten dom?

- Chodzi o Selenę. Genevra powiedziała mi, że... Podniósł rękę do góry.

- Nie jestem gotów do rozmowy o Selenie - przerwał jej w taki sposób i takim tonem, że Kate musiała umilknąć. Natychmiast zorientował się jednak, że zareagował zbyt ostro, bo uśmiechnął się przepraszająco. - Wybacz, nie chciałem być niegrzeczny.

- Och, Gerencie... - W ciągu tych kilku sekund dostrzegła w nim coś, co o mało nie rozdarło jej serca. Och, jak bardzo pragnęła od tego małżeństwa czegoś więcej. Jak bardzo pragnęła znaleźć się w jego ramionach i...

Usłyszała, że ktoś - chyba kobieta - idzie korytarzem. Pojawił się płomień drugiej świecy i przez chwilę Kate pomyślała z przerażeniem, że zaraz ujrzy Selenę, zgłaszającą pretensje do swego męża, ale zza rogu wyłoniła się pokojówka.

Gerent odwrócił się.

- Kate, to Bessie Portreath, która będzie ci usługiwała.

- Portreath? Skinął głową.

- Tak, w tych stronach to popularne nazwisko. Jest daleką krewną Denzila Portreatha.

Bessie podeszła do nich i dygnęła z uszanowaniem.

- Milordzie, milady.

Spod czepka wysuwały się jej jasne włosy, miała szeroko rozstawione, brązowe oczy. Była średniego wzrostu, drobnej figury i najwidoczniej dobrze jej robiło bieganie w górę i w dół po kręconych, zamkowych schodach. Miała na sobie sukienkę z bawełny w zielono-białą kratkę i sztywno wykrochmalony biały fartuszek.

Gerent zwrócił się do niej:

107

- Bessie, wiesz, co należy do twoich obowiązków, więc proszę, oprowadź lady Carismont po domu. - Odwrócił się ponownie do Kate. - Pójdę poszukać Justina. Chyba go zastanę na dziedzińcu.

- Jak puszcza łódkę? Tak, jestem pewna, że tam jest. Uśmiechnął się.

- Bessie ci powie, gdzie i kiedy jest kolacja. Zazwyczaj siadamy do niej o ósmej, ale dziś zjemy znacznie później. - Skłonił głowę i szybko się oddalił. Kate spojrzała na Bessie.

- Witaj, Bessie.

- Milady, zrobię wszystko, żeby być dobrą pokojówką. Kate się uśmiechnęła.

- Jestem pewna, że ci się to uda.

- Mam panią zaprowadzić do pokoju jej lordowskiej... chciałam powiedzieć, do pani pokoju.

Kate doznała wstrząsu. Czy miała zająć pokoje Seleny? Nie przyszło jej to do głowy, chociaż po chwili zastanowienia stwierdziła, że to dość oczywiste.

- Czy coś się stało, proszę pani? - spytała pokojówka, widząc zmieszanie na jej twarzy.

- Nie, naturalnie, że nie. Ciekawa jestem, gdzie będą pokoje mojego syna? - spytała.

- Sypialnia panicza Justina jest nad pokojem Genevry, proszę pani. Schody, które do niej prowadzą, są tam. - Pokojówka wskazała ręką przed siebie. -

Pani Pendern uznała, że paniczowi Justinowi spodobają się te pokoje.

Mieszkał tam jego l#tdi»wska mość, kiedy był chłopcem. Znajdują się na ostatnim piętrze zamku, częściowo w wieży, ale są bardzo wygodne, i z okien żadnego pokoju nie rozciąga się tak wspaniały widok, jak z okien jego sypialni.

- Miło mi to słyszeć.

- To naprawdę wyjątkowy pokój, proszę pani. - Bessie znów dygnęła. -

Proszę tędy - powiedziała i odwróciła się, żeby zaprowadzić Kate do apartamentu jej poprzedniczki.

Rozdział 13

Płomień świecy, którą miała Bessie, tak się rozchwiał, że dziewczyna musiała osłonić go dłonią, kiedy prowadziła Kate zamkowymi korytarzami, Teraz, kiedy dzień się kończył, Carismont stał się pełen cieni, zakamarków, majaczących kształtów i dziwnych zaułków, które mogły prowadzić wszędzie. W drzwiach wisiały ciężkie kotary, ściany zdobiły piękne obrazy i ciemne tapiserie, w alkowach stały prastare skrzynie. Były tu sale z kamiennymi sklepieniami, kamienne schody, wielkie żelazne lichtarze, ogromne kominki i gotyckie stoły i krzesła, które być może należały niegdyś do klasztoru. W zamku panował szczególny nastrój, z jakim Kate nigdy wcześniej się nie zetknęła; i stale czuło się obecność morza, które od czasu do czasu migalo jej w oknach w ostatnich promieniach słońca.

Do apartamentu Seleny prowadziła szeroka galeria. Po jednej stronie ciągnął się szereg nabijanych ćwiekami, dębowych drzwi, a po drugiej wychodzące na dziedziniec okna z witrażami. Kiedy Kate przystanęła, by wyrzeć przez nierówne szybki w kształcie rombu, zobaczyła Gerenta i Justina puszczających łódkę. A właściwie przyglądających się jak pływa w kółko w sadzawce z fontanną. W sposobie poruszania się łódki było coś dziwnego, ale Kate nie potrafiła określić, co.

W pewnej chwili na dziedziniec wbiegł Belerion i zbliżył się do sadzawki z fontanną. Napił się trochę wody, a potem położył się na trawie, przyglądając się łódce, pływającej w zasięgu jego łap. Gerent podszedł z chłopcem do wielkie-

go kota i dokonał prezentacji. Widocznie kiedy Belerion odpoczywał, przestawał być taki zręczliwy i miał znacznie lepszy nastrój, bo ku ogromnej ucieście Justina lampart w psi sposób przewrócił się na grzbiet, jakby zapraszając do podrapania go po brzuchu.

Bessie była już przy końcu galerii i Kate uniosła spódnicę, by do niej dołączyć. Wreszcie dotarły do apartamentu Seleny. Jego okna wychodziły na Trezance. Liliowo-złote pokoje wyglądały w blasku ognia i świec bardzo przytulnie i przypadły Kate do gustu. Gdyby tylko nie odczuwała tu tak wyraźnej obecności Seleny, pomyślała, rozglądając się wkoło. Dominowały rozmaite odcienie fioletu - a może był to kolor lawendy? Tak, na pewno, doszła do wniosku Kate, pamiętając, że tajemnicze światelko było takiego samego koloru. Światelko i Selena to jedno i Kate była gotowa założyć się o wszystko, że lawendowy był ulubionym kolorem pierwszej lady Carismont. Brokatowa narzuta na łóżku z baldachimem także była lawendowa, podobnie jak fotele, a nawet jedwabna tapeta i dywany. Na kominku płonął ogień, ale mimo to w pokoju panował lekki chłód. Może to z powodu położenia w północnym skrzydle zamku, pomyślała Kate, i lekko się wzdrygnęła.

- Zimno pani? - spytała Bessie.

- Tylko trochę - odparła Kate i podeszła do kominka, by ogrzać sobie ręce. Polana w kominku poruszyły się lekko, w górę komina wystrzeliły iskry. Zwykle, jasne i złote, takie, jakie powinny być iskry...

- Czy mam dołożyć drewno do kominka?

- Nie, to nie będzie potrzebne. - Kate obserwowała skry.

- Czy coś jest nie tak, proszę pani?

- Nie, wszystko w porządku, Bessie. Pokojówka zbliżyła się do niej niepewnie.

- Może wolałaby pani francuską pokojówkę? Jeśli tak...

- Francuską pokojówkę? Dlaczego pytasz? - Kate była trochę zaskoczona.

- Jej lordowska mość.- to znaczy pierwsza lady Carismont... miała pokojówkę-Francuzkę.

- Ach, rozumiem. Jestem zupełnie zadowolona z ciebie, Bessie Pokojówka aż pokraśniała.

- Dziękuję pani. Nikt nie lubił tamtej Francuzki. Wiecznie narzekała, więc powiedziałam, że Francja to dziki kraj, gdzie ludzie jedzą żaby i piją wodę z rynsztoka.

Kate się roześmiała.

- Zuch dziewczyna z ciebie, Bessie.

- Nie miała prawa narzekać na Carismont, bo to magiczne miejsce.

- Magiczne? - Kate spojrzała na nią badawczo.

- O, tak. Wszyscy wiedzą, że wyspa wyłoniła się z morza i że czasami na chwilę znika. Może się to wydarzyć dwa razy do roku, podczas przesilenia letniego i zimowego.

Kate przypomniała sobie opowieści o zaginionych ładach i zatopionych dzwonach. Znów się wzdrygnęła.

- Nieprzyjemnie, jeśli ktoś tu akurat wtedy będzie - zauważyła.

Bessie skinęła głową.

- Ale nic się nikomu nie stanie, proszę pani, przemienimy się tylko w kolorowe światełka.

To, co powiedziała Bessie, zaintrygowało Kate.

- W kolorowe światełka?

- Tak, proszę pani. Często można je zobaczyć na brzegu. Mogą się pojawić we mgle, a czasem i bez mgły. Niektórzy ludzie wierzą, że to majaki, ale większość uważa, że to mieszkańcy Lonii, którzy przychodzą popatrzeć, jak żyjemy.

Bessie podeszła do okna, by zaciągnąć kotary. Udrapowała je starannie na dużych, miękkich poduszkach, wyściełających siedziska w niszy okna.

- Mój kuzyn mówi, że z całą pewnością są z Lonii i że powinniśmy trzymać się od nich z daleka, jeśli wiemy, co dla nas dobre - powiedziała, poprawiając jedną z poduszek.

- Twój kuzyn? Czy może przypadkiem nazywa się Denzil Portreath?

- Tak, proszę pani. Te światełka zawsze było widać z Polwithiel. To taki duży dom przy drodze do...

- Tak, wiem, bo widziałam ten dom między drzewami, kiedy jechaliśmy do Trezance.

- To wielki dom, pełen przeciągów. Nie chciałabym tam mieszkać. Nie, żeby tak mogło się stać, bo kuzyn Denzil pokłócił się prawie z całą rodziną. Teraz tylko mój brat Jan utrzymuje z nim stosunki. Pracuje w Polwithiel.

- Czy twój kuzyn Denzil pokłócił się też z lordem Carismontem? - spytała Kate, mając nadzieję, że dowie się, co właściwie było powodem awantury między Gerentem i Portreathem.

Ale delikatne metody nie przynoszą rezultatów, bo nagle Bessie zrobiła skruszoną minę.

- Och, proszę pani, nie powinnam wspominać mojego kuzyna. Jego lordowska mość zabronił, by w zamku wymawiano jego imię. Proszę mu nie mówić, że byłam taka nieostrożna.

- Nie byłaś nieostrożna, Bessie, bo to ja pierwsza o nim wspomniałam. - Kate nie naciskała więcej. Niewątpliwie Gerent sam jej powie... kiedyś. A do tego czasu będzie musiała snuć jedynie przypuszczenia, dlaczego Selena stała się powodem tak poważnej sprzeczki obydwu mężczyzn. Oczywiście, pierwsze, co się nasuwało, to to, że lady Carismont miała romans z Denzilem Portreathem. Wszystko możliwe, chociaż czemu jakakolwiek kobieta miałaby rezygnować z Gerenta dla kogoś takiego, jak Portreath, tego Kate nie potrafiła sobie wyobrazić.

Bessie chrząknęła.

- Czy mam zacząć rozpakowywać pani rzeczy? Sądzę, że wszystkie bagaże już przyniesiono.

- Tak, oczywiście, Bessie - odparła Kate. - Znajdziesz tam suknię z zielonego jedwabiu. Włożę ją do kolacji.

- Dobrze, proszę pani. - Pokojówka przeszła do przylegającej do pokoju gotowalni i przystanęła zdumiona jak mało kufrów tam stoi. - Och, chyba... chyba jednak nie przyniesiono wszystkich...

- Nie, to wszystko, co miałam ze sobą. Bessie odwróciła się zaskoczona.

- Wszystko? Ale przecież...

- Reszta mojej garderoby zostanie przysłana od pani Camberton - wyjaśniła Kate, słusznie się domyślając, że pokojówka zna nazwisko krawcowej Seleny.

Bessie przestała się niepokoić.

- Ach, rozumiem, proszę pani - powiedziała i wzięła się do pracy.

Kate była ciekawa, co pomyśli sobie pokojówka, kiedy zobaczy niemodną, zupełnie zwyczajną suknię z zielonego jedwabiu. Z pewnością jej stroje odbiegają od tego, co powinna nosić lady Carismont, i nikt nie uwierzy, by wyszły spod igły tak rozchwytywanej krawcowej, jaką była pani Camberton z Golden Square. Z pewnością już wkrótce wyjdzie na jaw, że nowa żona Gerenta do niedawna była guwernantką, bo woźnica, który ich tu przywiózł, niechybnie słyszał wszystkie plotki, jakie opowiadano sobie przy Berkeley Square. Mało prawdopodobne, by zachował taką rzecz w tajemnicy i z pewnością wiadomość rozchodzi się już po całym zamku lotem błyskawicy. Kate westchnęła, rozwiązała swoją budkę i położyła ją na stoliku. Potem znów obejrzała pokoje, aż nadto świadoma faktu, że kiedyś należały do Seleny. Czowała się trochę tak, jakby wpadła w sieć bardzo dużego pająka i nagle zapragnęła trochę lepiej tego pająka poznać.

- Bessie, czy są tu jakieś portrety pierwszej lady Carismont?

- Portrety, proszę pani? Och, nie, Jego lordowska mość chciał kiedyś, aby pozowała do jednego, ale pierwsza lady Carismont była zbyt niecierpliwa, by długo wysiedzieć bez ruchu.

- Czy mogę spytać, jak ona wyglądała? - spytała Kate, nienawidząc samej siebie, że podpytuje służącą, ale jeśli chciała dowiedzieć się czegoś więcej, czy miała inne wyjście? Nie zamierzała pytać o to Gerenta.

Bessie stanęła w łukowatym przejściu.

- Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam. Miała burzę rudozłotych loków, opadających na plecy, i wielkie, lawendowe oczy w kształcie migdałów.

Dlaczego mnie to nie dziwi? - spytała Kate samą siebie.

- Mimo rudych włosów nie miała ani jednego piega - ciągnęła Bessie. - W lawendowym było jej bardzo do twarzy, więc zawsze nosiła suknie w takim czy innym jego odcieniu. I dlatego kazała te pokoje urządzić właśnie tak, a nie inaczej.

Kate przysięgła sobie w duchu, że nigdy nie założy niczego w kolorze lawendy ani nie będzie używała tego zapachu. Będzie nawet unikała lawendy w ogrodzie.

Nagle Bessie wydała stłumiony okrzyk.

- Och, proszę pani, prawie zapomniałam. Pani Pendern powiedziała, żebyś spytała, czy po długiej podróży życzy sobie pani wziąć gorącą kąpiel.

- To zależy, ile czasu zostało do kolacji.

Bessie wróciła na chwilę do pokoju, by spojrzeć na zegar na kominku.

- Jeszcze godzina.

- W takim razie chętnie wezmę kąpiel. Pokojówka rozpromieniła się.

- Zaraz się tym zajmę. - Ujęła spódnicę i wybiegła z pokoju.

Zapanowała cisza i nagle uwagę Kate zwróciło łóżko. Zdziwiła się, bo chociaż nic nie słyszała, złote sznury, podwiązujące stary baldachim do słupów, były rozwiązane i łóżko było teraz zupełnie zasłonięte. Czy podczas jej rozmowy z Bessie ktoś wszedł do pokoju? Nie, to niemożliwe! A jednak...

- Justinie? Cóż za żarty się ciebie trzymają? - spytała niepewnie. Nie usłyszała odpowiedzi. Zrobiła więc krok w stronę łóżka, ale właśnie w tej chwili coś poruszyło się w kominku. Rój skier poszybował w górę komina. Zawahała się, a potem gniewnie podeszła do łóżka, ujęła zasłony i rozchyliła je. Nie było nikogo, ale wydało jej się, że słyszy niski śmiech Seleny, odbijający się echem w kominie.

Rozdział 14

Nadeszła pora kolacji. W pokoju Kate zgaszono wszystkie świece oprócz jednej, którą Kate zamierzała wziąć, by oświetlać sobie drogę do dawnego refektarza, teraz pełniącego rolę zamkowej jadalni. Kolację podano tylko dla niej i Gerenta. Genevra już wcześniej postanowiła zostać u siebie, a Justin wolał zjeść posiłek w swojej sypialni w wieży, skąd w dzień rozpościerał się widok na całą zatokę.

Kate wygładziła zielony jedwab swojej sukni. Kiedy spoglądała na nią w nikłym blasku świecy, wydała jej się taka zwyczajna i niemodna po sukni, w której odbyła podróż z Londynu. Było to stanowiące ostatni krzyk mody dzieło pani Camberton, z białego muślinu haftowanego w cytrynowe kwiatki. Po podróży musiała się jednak przebrać i wobec braku innej możliwości z powrotem włożyć starą suknię Kate Kingsley. Pocieszało ją to, że w jasnym odcieniu zieleni jest jej szczególnie do twarzy.

Poprawiła kwadratowy dekolt, a potem falbanki przy mankietach. Trudno, musi się tym zadowolić, muślinowa suknia wymagała bowiem odświeżenia po trudach podróży. Kate była przynajmniej zadowolona ze swoich włosów, bo Bessie okazała się mistrzynią szczotki i grzebieni. Kiedy Kate opisała jej najmodniejsze londyńskie fryzury, pokojówka barczło szybko ułożyła jej włosy tak, że z przodu miała grzywę loków miodowego koloru, a z węzła na czubku głowy spadały śliczne, zakręcone pasemka. Kate była gotowa, ale nie mogła się oprzeć myśli, jak w takiej chwili wyglądałaby Selena. Ze swoją burzą rudozłotych włosów, nadzwyczaj-

ną urodą, lawendowymi oczami oraz w eleganckiej sukni uszytej przez panią Camberton pierwsza lady Carismont niewątpliwie robiła oszalamiające wrażenie.

- Cóż, Kate, marna z ciebie następczyni - mruknęła sama do siebie.

Czekając, aż zegar na kominku wybije godzinę, podeszła do okna i uniosła zasłonę. Woda cofnęła się teraz najdalej jak to możliwe, ukazując skały i popstrzone niewielkimi sadzawkami lachy pofaldowanego piasku. Widać było światła Tre-zance, a nawet kutry rybackie wciąż unoszące się na falach w miejscu, gdzie dawniej było koryto rzeki. Kate wyraźnie widziała wznoszące się wysoko za miastem wrzosowisko. Niebo było bezchmurne, usiane milionem gwiazd, wszedł już księżyc w pełni, blady i tajemniczy. Kiedy zaczął bić zegar, Kate narzuciła na ramiona szal w kremowe, zielone i różowe wzorki, wzięła lichtarz i wyszła z pokoju. Nim odprawiła Bessie, wypytała ją o drogę do refektarza, żeby trafić bez trudu.

Płomień świecy chwiał się, a kroki Kate odbijały się głośnie echem, chociaż miała na nogach atlasowe pantofelki. Od czasu do czasu oglądała się za siebie, ponieważ echo było tak dziwne, że odnosiła wrażenie, iż ktoś idzie za nią. Kiedy dotarła do końca korytarza, prowadzącego do pokoi Genevry, wrażenie, że ktoś podąża jej śladem, stało się tak silne, że odwróciła się szybko. Ale korytarz ginał w mroku, a jego pustkę wypełniały jedynie ciężka, dębowa skrzynia i kilką gobelinów. Ale przez ułamek sekundy, tak krótko, że różnie dobrze mogło jej się to przywidzieć, usłyszała odgłos czyichś kroków, które prawie natychmiast, gdy zatrzymała się, ucichły.

- Jest tam ktoś? - Odpowiedziała jej cisza. Kate nerwowo przełknęła ślinę, potem znów się gwałtownie odwróciła, bo kącikiem oka dostrzegła światło świecy na kręconych, kamiennych schodach, prowadzących do pokoju Justina.

- Justinie? - zawołała. Nie usłyszała odpowiedzi, ale świa-

tło przesuwano się coraz niżej, a potem usłyszała szelest kobiecych sukni i brzęk metalu.

- Kto tam? - krzyknęła przestraszona.

- To tylko ja, milady - odpowiedziała pani Pendern, pojawiając się u wylotu schodów. Dzwoniły klucze, które uderzały o siebie w rytm kroków gospodyni.

- Pani Pendern! Ależ mnie pani przestraszyła! - Kate odetchnęła z ulgą. Gospodyni się uśmiechnęła.

- Proszę mi wybaczyć, milady. Mój słuch nie jest taki jak kiedyś i nie usłyszałam, że pani tu jest. Poszłam na górę sprawdzić, czy panicz Justin czegoś sobie nie życzy, ale już usnął. Więc tylko zdjęłam mu buty, nakryłam go puchową kołdrą i wyszłam. To chyba przez morskie powietrze i zmęczenie podróży.

- Jest pani pewna, że nic mu nie jest?

- Och, proszę się nie obawiać, milady. Zajrzę jeszcze do niego później, żeby zobaczyć, czy się nie obudził. Jeśli będzie głodny, zadbam, żeby coś zjadł, chociaż myślę, że będzie spał do samego rana. - Kobieta znów się uśmiechnęła. - Paszteciki w gospodzie są wystarczająco syte, by nakarmić konia, więc na pewno nie obudzi go burczenie w brzuchu. Proszę się nie martwić. Może pani spokojnie zejść na kolację z jego lordowską mością. Kucharka przygotowała prawdziwą ucztę, to przecież pani pierwszy posiłek w zamku.

- Naprawdę? Proszę jej podziękować w moim imieniu za starania.

- Dobrze, proszę pani.

- Chcę też podziękować pani za opiekę nad Justinem.

- Nie ma za co. Prawdę mówiąc, należy to do moich obowiązków. -

Gospodyni znów się uśmiechnęła. - Jest pani tu bardzo mile widziana, lady Carismont. Ten zamek potrzebuje pani domu, a jego lordowską mość potrzebuje żony.

Nawet jeśli żona jeszcze do niedawna była tylko guwernantką? - pomyślała Kate.

Gospodyni jakby czytała w jej myślach.

- Czy mogę być z panią szczerą?

- Naturalnie, pani Pendern.

- Może pani sobie pomyśleć, że odzywam się nie w porę, ale chciałabym panią uspokoić, jeśli mi się to uda. Woźnica przekazał nam plotki z Londynu, jak niewątpliwie się pani tego spodziewała. Tak to już jest ze służbą. Ale z powodu tego, że musiała pani zarabiać na życie, nikt tutaj nie ma o pani gorszego mniemania, wprost przeciwnie, podziwiamy panią za to. Więc proszę się nie obawiać, że ktokolwiek w Ca-rismont będzie się zachowywał tak, jak te głupie pokojówki w Londynie. Tutaj będzie pani szanowana jak wielka dama, bo nadal nią pani pozostała. To, że przez jakiś czas była pani guwernantką, nie ma dla nas znaczenia.

Kate była naprawdę wzruszona.

- Dziękuję, że mi pani to powiedziała, pani Pendern. Gospodyni uśmiechnęła się, a potem z szacunkiem skłoniła lekko głowę i szybko odeszła, szeleszcząc spódnicami.

Kate spojrzała w górę schodów. Tym razem nic nie usłyszała, więc skierowała się ku refektarzowi, trochę przyspieszywszy kroku, ponieważ okazało się, że idzie się do niego dłużej niż przypuszczała. Dotarła do galerii, z której widać było opustoszały o tej porze dziedziniec, srebrzący się w blasku, księżyca. Nagle ukazał się na nim Gerent i Kate przystanęła? żeby na niego popatrzeć.

Miał na sobie strój wieczorowy - ciemnopurpurowy surdut, chyba z aksamitu, i białe, jedwabne spodnie. Wysadzana drogimi kamieniami szpilka w obszytej koronką chustce pod szyją, błysnęła w świetle księżyca, kiedy przystanął, by się obejrzeć za siebie. Pojawił się również Belerion i zaczął lizać jego dłoń niczym pies. Było coś nierealnego w tej scenie: mężczyzna, tak przystojny i tajemniczy, że mógł być uosobieniem romantycznego bohatera, i wielki egzotyczny kot, tak gibki i piękny i tak nie pasujący do tego otoczenia. Kate poczuła się niemal tak, jakby zaglądała do czyjegoś domu przez lekko uchylone drzwi albo przewróciła kartkę i ujrziała ilustrację do wiersza... może do *Don Juana* lorda Byrona, opisu-

jącego cierpienia bohatera i jego tajemnice? Stała tak, oczarowana tym widokiem, tylko patrząc. Gdyby Gerent uniósł wzrok, zobaczyłby ją, bo trzymała zapaloną świecę, ale nie zdmuchnęła jej ani nie zrobiła nic, by ukryć swą obecność.

Było coś tak fascynującego w obserwowaniu go, że nie obchodziło ją, czy ją zobaczy. Upajała się doskonałością jego twarzy. Każda linia, każdy szczegół stanowił pokusę, której nie potrafiła się oprzeć. Był jej mężem, jeden raz pocałował ją namiętnie, ale to wszystko. Pragnęła czegoś więcej. Patrząc na niego to znaczyło pożądać go, pragnąć, potrzebować... Ogarnęło ją podniecenie, obudziły się zapomniane uczucia, opadły skrywane marzenia, które się ziściły, burząc opanowanie, jakie sobie narzuciła po śmierci Michaela. Zawładnęło ją pożądanie tak silne, że poczuła ból, jakiego jeszcze nie знаła; a wszystko tylko dlatego, że ukradkiem spoglądała na mężczyznę, który chociaż stał się jej mężem, był dla niej nieosiągalny. Gerent przemierzył dziedziniec i zniknął jej z oczu. Wtedy poczuła na swym palcu obrączkę, która znowu stała się za ciasna i tak gorąca, że aż parzyła. Głos Seleny szepnął jej prosto do ucha:

- *Nigdy go nie zdobędziesz, bo należy do mnie!*

Kate wydała zduszony okrzyk przerażenia i odwróciła się. Lawendowe światełko było tak blisko, że niemal mogła je złapać. Ale nie poruszyła się. Nagle ogarnęła ją złość i postanowiła nie pozostać dłużna.

- Straciłaś go, Seleno. Teraz jest poza twoim zasięgiem!

- *Nigdy nie będzie poza moim zasięgiem! Podobnie jak ty, moja droga. Zewsząd otacza cię niebezpieczeństwo i wkrótce cię dopadnie.*

Kate uniosła dłoń.

- Nic nie możesz mi zrobić, póki noszę tę obrączkę. Och, możesz sprawić, że mnie pali i uciska, ale to wszystko, do czego jesteś zdolna!

- *Me liczą na to, najdroższa Kate!*

W tej chwili gdzieś z oddali dobiegło kukanie i Selena cofnęła się zaniepokojona. Kate wyczuła, że spogląda nerwowo

to w jedną, to w drugą stronę, jakby bojąc się pojawienia się kukułki, której głos rozległ się teraz bliżej i Seleny uciekła. Kiedy światełko przemknęło przez uchylone okno na dziedziniec, obrączka przestała uciskać i parzyć palec Kate. Kobieta ujęła swoją jasnozieloną suknię i śpiesznym krokiem udała się na kolację.

Rozdział 15

Refektarz był wysoką salą o białych ścianach i kamiennej posadzce, z widoczną więźbą dachową z ciemnych, dębowych belek. Nad długim, stojącym pośrodku szesnastowiecznym stołem, nisko zwieszały się kute żyrandole. Nad łukowatymi oknami biegł fryz, przedstawiający scenę z polowania. Gobeliny, obrazy, herby i sztandary ozdabiały ściany. Żyrandole i liczne lichtarze rzuciły na wszystko ciepłe światło, odbijające się w szkłe i sztućcach. W jednym końcu stołu przygotowano nakrycia dla dwóch osób. Gerenta jeszcze nie było i kiedy Kate weszła, w pomieszczeniu panowała zupełna cisza, tylko ogień trzaskał w wielkim, kamiennym kominku. Postawiła lichtarz na kredensie, który musiał sobie liczyć kilkaset lat, podobnie jak stojące na nim złote półmiski, a potem znów rozejrzała się po refektarzu. Jej uwagę przyciągnął kominek i wyjątkowo okazały herb. U dołu tarczy przedstawiona była na niebieskim polu złota łódź ze srebrnymi wiosłami i purpurowym żaglem. Góra tarczy podzielona była na dwie części, z lewej strony ukazując złotą, stojącą lwicę na gronostajowym tle, a z lewej - szaro-białą kukulkę na srebrnym tle. Gdyby zamiast lwicy był lampart, herb zawierałby trzy elementy tajemniczych wydarzeń z ostatnich dni. Ale herbowe zwierzę nie miało ani jednej cętki, więc z całą pewnością było lwicą. Rozległ się odgłos kroków Gerenta. Kiedy się odwróciła, właśnie wchodził przez łukowate drzwi. Towarzyszył mu Belerion, który podszedł do Kate i bezceremonialnie otarł się o nią.

- *Zrób trochę miejsca dla moich biednych, starych gości* -mruknął jak stary, znużony człowiek. Potem położył się przed kominkiem i z zadowoleniem zmrużył oczy, jak robią to wszystkie koty. - *Teraz lepiej. Lubie wygrzewać się przy kominku* - powiedział z westchnieniem.

Gerent podszedł do kredensu i ze stojącej tam karafki nalał do dwóch kieliszków sherry, jeden z nich podając jej do ręki.

- Mam nadzieję, że lubisz sherry? Przepraszam, nie przyszło mi do głowy, żeby cię najpierw zapytać. Seleną lubiła... -Urwał. - Wybacz, proszę.

- Ja też lubię sherry - powiedziała spokojnie. Podszedł do stołu i oparł się o niego.

- Przyglądałaś się herbowi? - spytał. Odwróciła się, by znów na niego spojrzeć.

- Tak Czy to herb twojego rodu?

- Nie. - Wskazał tarczę nad drzwiami. - To jest nasz herb, złoty miecz w srebrnym kamieniu na niebieskim polu. Ma być dowodem na to, że Fitzarthurowie mają coś wspólnego z legendami arturiańskimi, ale obawiam się, że związki takie nie istniały.

- Dlaczego nie został umieszczony na honorowym miejscu, nad kominkiem? - spytała.

- Z tej prostej przyczyny, że herb nad kominkiem zawisł, zanim moja rodzina pojawiła się na wyspie. To podobno herb Lonii, stąd ta lwica, nawiązująca do nazwy.

- *To nie lwica* - zauważył Belerion. - *Z upływem lat cętki zniknęły, ple to lampart. Chyba się na tym znam.*

- Mylisz się, Gerencie. To ponad wszelką wątpliwość lampart - powiedziała Kate, mając ogromną ochotę ujawnić, skąd ma tę pewność, ale nie była jeszcze zupełnie gotowa przyznać się, że słyszy i rozumie, co mówią ptaki i inne zwierzęta.

Uśmiechnął się, podchodząc do niej bliżej.

- Wiem, co teraz myślisz, ale zanim uznasz tego ptaka'za kukułkę, pozwól mi powiedzieć, że to martlet, mityczny ptak, często wykorzystywany w heraldyce. Wątpię, czy jakikolwiek średniowieczny rycerz chciałby mieć na tarczy kukułkę.

Belerion westchnął.

- Martlet? *Bardzo bym tego chciał, bo kukulki niewątpliwie są zmorą mojego życia! Nie można w ogóle liczyć, że cokolwiek zrobią, jak należy! Wolę mattlety. Szkoda, że wymarły wkrótce po tym, jak Artur został królem. Teraz spotyka się jedynie uprzykrzone kukulki. No, przynajmniej jedna jest uprzykrzona...*

W drzwiach ukazała się pani Pendern.

- Najmocniej przepraszam, milordzie, ale czy życzy pan sobie, żeby kolację podać teraz?

- Tak, jeśli można, pani Pendern. - Kiedy gospodyni zniknęła, znów spojrzał na Kate. - Ten herb nie ma żadnego znaczenia, Kate. Może jest stary, ale według tradycji rodzinnej został wymyślony przez mnichów, żeby wyciągać pieniądze od naiwnych ludzi. Gdzie indziej są relikwie świętych, Ca-rismont ma legendę o Lonii. I tyle.

- Z jednym zastrzeżeniem. Obydwoje wiemy, że Lonia nie jest wytworem fantazji, istniała naprawdę.

Ich spojrzenia spotkały się na moment, a potem Gerent cicho się roześmiał.

- Upierałabyś się przy tym wśród modnego towarzystwa Mayfair? - spytał kpiąco.

Też musiała się uśmiechnąć.

- Z całą pewnością nie - przyznała.

- No właśnie. - Lekko musnął palcami jej policzek.

Ten dotyk podziałał na nią jak uderzenie pioruna. Och, gdyby ją teraz pocałował, pomyślała, gdyby nachylił się i zbliżył usta do jej ust... Zalała ją fala pożądania. A, potem zrobił to, pochylił się, żeby ją pocałować. Tak, jak poprzednio w hotelu „Pulteney”, poczuła, jak ją obejmują przyciąga do siebie, poczuła na swych wargach jego gorące usta.

Czas się zatrzymał, serce przestało jej bić. Wrażenie, że ją obejmuje, było tak silne, że po prostu czuła jego mocne ramiona, jego pocałunek na swych ustach. Całe jej ciało przeniknęła rozkosz, tak nieopisana, że aż zadrżała ze szczęścia. Ale on się nawet nie poruszył, nie tknął jej palcem, nie mó-

wiać już o porwaniu w ramiona. Wszystko to było złudzeniem, niezwykle silnym złudzeniem. Jednak kiedy znów spojrzała w jego oczy koloru zimowego morza, dostrzegła tam blask, którego wcześniej w nich nie było; jakby nie tylko wiedział, co czuje Kate, ale czuł to samo.

Czar przysł, kiedy wróciła pani Pendern z lokajem i pokojówką, niosącymi pierwsze danie. Podczas całego posiłku służący byli w pobliżu, co oznaczało, że Kate i Gerent nie mogli rozmawiać o żadnych sprawach osobistych.

Dopiero, kiedy podano likiery, owoce i orzechy, a gospodyni wyprowadziła lokaja i pokojówkę, mogli poruszyć kwestie bardziej osobistej natury.

Gerent nalał do dwóch kieliszków brzoskwiniowy likier, jeden podał Kate, a z drugim podszedł do kominka, przed którym twardo spał Belerion.

Usiadłszy na podłodze i oparłszy się o śpiącego lamparta, Gerent uniósł kieliszek tak, że światło ognia przenikało przez likier niczym przez płynny bursztyn. Z płonących bierwion nie strzelały dziwne iskry, nie było spadających gwiazd, błędnych ogników, kolorowych światełek czy jakby je nazwać - tylko płomień, ciepłe i spokojne, i męczyzna z lampartem przed kominkiem.

Kate sączyła alkohol z kieliszka i starała się nie wpatrywać zbyt otwarcie w swego męża. Powietrze wypełniały niewypowiedziane słowa i nienazwane uczucia, ale ani Kate, ani Gerent się nie odzywali. Pierwszy odezwał się on, spoglądając na swą żonę.

- Nareszcie jesteśmy sami, a jednak wygląda na to, że nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Poczuła się dziwnie zmieszana, jakby została przyłapana na niedyskrecji, zamiast więc skorzystać z okazji i jasno postawić sprawę stosunków między nimi, powiedziała coś zupełnie błahego i chyba bez sensu.

- Teraz, kiedy znów zamieszkałam na wsi, chętnie... chętnie pojeździłabym konno.

- Słucham? - Przez chwilę patrzył na nią w osłupieniu, a potem roześmiał się krótko. - Możesz robić wszystko, na

co masz ochotę. W stajni jest kilka odpowiednich wierzchowców. Dopilnuję, by od jutra jeden był do twojej wyłącznej dyspozycji.

Jeśli już ten temat został poruszony, Kate postanowiła go kontynuować i przedstawić problem braku odpowiedniego stroju.

- Prawdę mówiąc, nie mam co włożyć na konną przejażdżkę.

Przyjrzał jej się badawczo, najwyraźniej zdziwiony tematem, jaki wybrała na rozmowę po kolacji.

- W innej sytuacji nie zaproponowałbym tego, ale widząc, jak bardzo pragniesz zażywać konnych spacerów, chciałbym zauważyć, że nadal są tu stroje Seleny. Podobnie jak konie, są do twojej dyspozycji.

- Och! Chyba... chyba nie mogłabym... - zaczęła niezręcznie, pragnąc zapaść się pod ziemię.

- Kate, jeśli konne przejażdżki mają dla ciebie aż takie znaczenie, uważam za głupotę przywiązywanie wagi do tego, w co się na nie ubierzesz. Selena miała przynajmniej trzy amazonki, a ponieważ macie bardzo podobne sylwetki...

-Nie dokończył.

Kate wiedziała, że zarumieniła się po czubki uszu, ale teraz było już za późno. Sama sobie była winna. Postanowiła przynajmniej robić dobrą minę do złej gry.

- Przyszło mi do głowy, że może Genevra i Justin mogliby mi towarzyszyć podczas tych przejażdżek.

- Rozumiem, że mnie wykluczasz? - Wypił likier i ostrożnie odstawił kieliszek.

- Ależ skądże znowu, będziesz mile widziany.

- Cieszę się, że to słyszę, bo zaczynałem się czuć nikomu tu niepotrzebny.

Ich spojrzenia się spotkały. Odwróciła wzrok.

- Może pojechalibyśmy na wrzosowisko zaTrezahce?

- Wątpię, by Genevra się na to zgodziła. -Dlaczego?

- Chyba już ci wspominałem, że nie chce opuszczać wy-

spy. Od śmierci Seleny uparcie odmawia postawienia nogi na grobli, przebycia jej pieszo, konno, w powozie, jakkolwiek. Nie chce nawet wsiąść do łodzi. Wierz mi, próbowałem wszystkiego w nadziei, że uda mi się przelamać ten uraz. Jeśli zdołasz ją do tego nakłonić, będę ci dozgonnie wdzięczny.

- Postaram się zrobić, co w mojej mocy. - Znów na niego spojrziała.

Uśmiechnął się.

- Nie rezygnuj z przejażdżki z powodu odmowy Genevry.

- A ty wybierzesz się?

- Nie jutro. Po każdej nieobecności mam dużo spraw do omówienia z zarządcą. Posłałem mu już wiadomość, przybędzie na wyspę jutro po śniadaniu. Obawiam się, że będę zajęty przez większą część dnia. Ale nie powinno to wpłynąć na plany twoje i Justina. Jeśli Genevra nie zgodzi się wam towarzyszyć, przypilnuję, żeby pojechał z wami lokaj. Nie byłoby dobrze, gdybyś zablądziła podczas pierwszej wycieczki po okolicy.

Uśmiechnęła się.

- Zarówno Justin, jak i ja mamy bardzo dobrą orientację przestrzenną. Nie znoszę, jak jedzie za mną lokaj. Michael też się przy tym upierał, ale w końcu postawiłam na swoim.

- Nie mam co do tego wątpliwości - mruknął Gerent, lekko .rozbawiony. -

No więc, jakie jeszcze niewinne tematy możemy poruszyć? Ach, tak,

Carismont. Co myślisz o swoim nowym domu, Kate?

Znów się zarumieniła.

- No, cóż, jest... jest bardzo ładny

- Będzie ci się tu podobać?

- Jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić.

- Och, cóż za wyjątkowo ostrożną osobkę poślubiłem! Jego drwiący ton lekko ją dotknął.

- Cóż, gdybym cię spytała, czy uważasz, że będę świetną lady Carismont, co byś powiedział? r Urwała, a kiedy nie odpowiedział natychmiast, dokończyła swoją myśl: - Widzisz? Nie możesz odpowiedzieć, bo jeszcze za wcześnie, żebyś to wiedział.

- Przeciwnie, bardzo dobrze znam odpowiedź. Będiesz wspaniałą lady Carismont. - Uniósł rękę. - No, dość tej rozmowy o blahostkach. Chodź tu do mnie, jeśli łaska.

Patrzyła na niego, nie wiedząc, jak zareagować. Uniósł brew.

- Czyżbym cię obraził? Jeśli tak, to przepraszam. Proszę usiądź przy mnie, Kate.

Wolno wstała, ale zawahała się ująć jego wyciągniętą rękę. Spojrzał na nią.

- Może jednak masz w sobie zbyt dużo z guwernantki -mruknął.

- Zbyt dużo? A cóż to ma znaczyć?

- No cóż, Belerion i ja siedzimy sobie tutaj wygodnie na podłodze, a ty jesteś sztywna i oficjalna.

Ujęła jego dłoń i usiadła obok niego, suknia z jasnozielonego jedwabiu dotknęła jego nogi. Belerion poruszył się nieco, przeciągnął, potem westchnął i znów pogrążył się we śnie. Kate nie przeoczyła zmysłowości tej sceny. Jak to możliwe? Mężczyzna i drzemiący lampart byli odprężeni, ogień na kominku rzucał miękkie światło, a jednak jej świadomość obecności Gerenta była tak silna, że powietrze w sali wydawało jej się wprost naelektryzowane tym uczuciem. Pod każdym względem różnił się od Michaela i na samą myśl, że jest z nim sam na sam, krew zaczynała jej szybciej krążyć w żyłach.

- Och, Kate, czemu walczysz z tym, czego obydwójce chcemy? - spytał cicho. Wciąż trzymał jej dłoń i pieszczotliwie przesuwiał po niej palcem.

- Proszę, Gerencie...

- O co mnie prosisz? Nie kochaj się ze mną, ponieważ ciebie nie chcę?

- Wiesz, że to nieprawda!

- Tak, wiem, bo pragniesz mnie tak samo, jak ja ciebie. -Wolno, delikatnie przyciągnął ją do siebie. Ogień zamigotał, kiedy magiczne skry zaczęły tańczyć nad płomieniami. Wirowały i strzelały niczym rój rozgniewanych robaczków świętojańskich, ale nie opuściły kominka. Jakby się lękały.

- Nie bój się, Kate - szepnął Gerent - nie może ci się stać żadna krzywda, dopóki masz na palcu obrączkę. I przy Bele-rionie też jesteś zupełnie bezpieczna...

Skry zaczęły wirować, a kiedy pojawiło się wśród nich lawendowe światełko, Belerion niespodziewanie uniósł leb.

- *Wynos się stąd, ty wiedźmo!* - warknął. Wszystkie światełka cofnęły się za płonące bierwiona. Gerent spojrział głęboko w oczy Kate, jakby chcąc zajrzeć

do jej duszy.

- Och, moja słodka pani - szepnął i wsunął drugą rękę w miękkie włosy na jej karku. - Dziś wieczorem chcę czegoś więcej niż formalnej żony. Pragnę cię, Kate, a ty pragniesz mnie...

Kiedy ich usta się złączyły, w tej samej chwili Kate poczuła ogień obrączki. Rozległ się głos Seleny.

- *Nie!*

Płomienie na kominku rozgorzały jak słońce, wszystkie skry poszybowały w górę komina, ku zimnemu, nocnemu niebu wysoko nad ziemią.

Ale Selena wróci; o tak, wróci. I to już niebawem.

Rozdział 16

Światło księżycy wpadało przez okno w wykuszu, które Kate widziała, jadąc groblą. Była druga nad ranem. Przed chwilą obudziło ją bicie zegara, stojącego w kącie sypialni.

Leżała na wielkim łożu z epoki Tudorów, które jej się przyśniło w hotelu „Pulteney”; teraz wiedziała, że tym kimś, kto spał obok niej, był Gerent. Leżeli w swych ramionach, zupełnie nadszy, czuła zapach jego ciała. Nie była już tylko formalnie jego żoną, ale w każdym znaczeniu tego słowa. Czy rano znów będą się kochać? Czy też będzie żałował kroku, który nieodwracalnie zmienił stosunki między nimi? Oby tak się nie stało.

Poruszył się przez sen, jego ciemne włosy ostro kontrastowały z bielą poduszki. Odrzucił kołdrę i w srebrnym świetle księżycy widziała jego gładki, muskularny tors. Przysunęła się bliżej. Jeszcze nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. Ta jedna spędzona z nim noc obudziła w niej zmysłową, uwodzicielską kobietę, która w niej zawsze była, nieodkryta. Teraz poznała siebie lepiej niż kiedykolwiek i zdumiewało ją to. Przyjemności, których doznała dziś w nocy, zachwyty, którego ją nauczono, podniecenie, jakie do tej pory było jej obce. Czy naprawdę oddała się tak wyuzdanym, zmysłowym pieszczotom? O, tak! I było cudownie. Teraz, leżąc przy nim, czuła się jak w raju. Nigdy nie chciała go opuszczać.

Leniwie przewróciła się na drugi bok, wyciągając rękę poza skraj łóżka. Wydawało jej się przez moment, że usłyszała, jak gdzieś blisko spada jakiś metalowy przedmiot. Potoczył się, a potem znieruchomiał. Nie zaprzętała sobie tym głowy,

sennie rozglądając się po pokoju, skąpanym w srebrzystej poświacie. Na przeciwległej ścianie wisiał gobelin, przedstawiający średniowieczną zabawę wokół maiku. Wcześniej widziała na tkaninie refleksy światła odbijającego się w wodzie, ale teraz gdzieś znikły. Przypuszczała, że odpływ morza osiągnął najniższy poziom i dlatego refleksy zniknęły.

Znów zaczęła zapadać w sen, ale kiedy zamykała oczy, nad żarem w kominku pojawiło się lawendowe światełko. Kolysało się do wtóru wprawiającej w trans muzyki, granej gdzieś w oddali. Muzyka? Kate otworzyła oczy i całkowicie się rozbudziła, siadając gwałtownie na łóżku. Gerent nawet się nie poruszył.

Światełko wirowało, a muzyka stała się głośniejsza. Flet, bębenki, dzwoneczki i jakiś instrument strunowy. Wygrywały oczywiście tę samą starą piosenkę. Ale jakoś dziwnie. Brzmienie muzyki skłoniło Kate do powtórnego spojrzenia na gobelin ze sceną piętnastowiecznej zabawy ludowej: ależ tak, muzyka miała w sobie coś średniowiecznego!

Kate zsunęła się z łóżka i podeszła do okna. Później zastanawiała się, czy wiedziała o tym, że zamiast morza ujrzy las. Powinna krzyknąć, zaskoczona, a nawet przestraszona, tymczasem spokojnie zaakceptowała, że widzi to, czego nie mogło tam być. Pod oknem ciągnęła się długa polana, tak jak poprzednio, we śnie, tyle tylko, że tym razem była noc i w oddali nie wisiała mgielka. Tam, gdzie powinno być Trezance, zobaczyła osadę krytych strzechą chat. Nad rzeką migotały pochodnie; w ich blasku dostrzegła złotą łódź, srebrne wiosła były wciągnięte, purpurowy żagiel zwinięty. Na brzegu stał pięknie przystrojony maik, ludzie w średniowiecznych strojach śmiali się i cieszyli, obserwując tańczące wkoło niego dzieci.

Jakaś kobieta odłączyła się od zebranych i podążyła polaną w stronę zamku. Miała na sobie suknię tak połyskliwą, jakby była wyszywana niezliczoną ilością brylantów. Trzymała zapaloną pochodnię i w jej świetle Kate widziała burzę rudozłotych loków Seleny. Nawet z takiej odległości widać było jej uśmiech... i wyjątkową urodę.

Potem Kate usłyszała odgłos końskich podków, tak samo, jak owej nocy w hotelu „Pulteney”. Otworzyła okno i wychyliła się. Zobaczyła jadącego u podnóża zamkowych murów Gerenta. Gerenta? Odwróciła się gwałtownie. Łóżko było puste! Serce zamarło jej w piersiach, znów wyrzała przez okno. Ściągnął wodze konia i spojrział na nią, jakby niezdecydowany. Próbowала go błagać, by nie jechał dalej, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Potem, ku jej niezmiernemu przerażeniu, ruszył wolno dalej... tam, gdzie mu groziło jakieś wszechogarniające niebezpieczeństwo.

Kate chwyciła swój szlafrok, wsunęła stopy w atlasowe pantofelki, które miała na nogach wcześniej, i wybiegła z pokoju. Chociaż księżyc świecił jasno, Carismont przypominał ciemny labirynt. Zamierzała zejść na dół, na dziedziniec, ale źle skręciła i niespodziewanie znalazła się w tej części zamku, której nie znała. Zawahała się, nie wiedząc, gdzie jest, a potem zobaczyła korytarz, który wydał jej się znajomy. Zamykały go drzwi, stare, wybijane ćwiekami. Nie przypominała sobie, czy je wcześniej widziała, ale przypuszczała, że musiały tu być. Przesunęła zasuwkę, zardzewiałe zawiasy skrzypnęły i drzwi otworzyły się.

Okazało się, że jest to boczne wyjście, Kate znalazła się u szczytu stromych schodów, wykutych w skalistym zboczu zamkowego wzgórza. Bezpośrednio w dole zaczynała się polana, widziała także płytki, leśny staw, zasilany przez źródelko. Gerent jechał wolno w kierunku Seleny. Nocne powietrze było zimne. Muzyka zabrzmiała teraz znacznie głośniejsze, była niemal urzekająca, kuszyła, by Kate podążyła za Gerentem.

Lęk o jego bezpieczeństwo owładnął ją całkowicie. Udało jej się zawołać: ' - Gerencie! Nie jedź do niej! Proszę, nie jedź do niej! - Ale najwyraźniej nie słyszał jej. Śmiech Seleny dobiegał poprzez dźwięki muzyki, z ust Kate wyrwał się szloch. - Gerencie, nie jedź! To niebezpieczne! Błagam cię! Ale on dalej jechał przed siebie, nawet nie zwolnił ani nie obejrzał się przez ramię. Potem Kate znów usłyszała bicie

dzwonów, głośne i wyraźne w nocnej ciszy, nie zagłuszone przez muzykę, która nie wiadomo dlaczego, zniknęła. Wsluchiwała się w dzwony i wtedy nagle rozległ się szum szybko nadpływającej wody i dźwięk dzwonów przemienił się w stłumione dudnienie. Wiedziała, że Gerentowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, i z całych sił krzyknęła jego i imię. Lecz i tak się nie odwrócił. Z jej ust wydobył się jeszcze jeden zdławiony szloch. Potykając się, zaczęła schodzić po stopniach, ku płytkiemu jezioru. Wtem rozległo się groźne warknięcie i minął ją biegnący w dół po schodach Belerion.

- O, nie, nie *uda ci się, ty złośliwa ladaczniczo! Na wlochate tarantule, tym razem cię dopadnę!*

Gdzieś z daleka dał się też słyszeć głos kukulki.

- *Dorwij ją, Belerionie! Szybciej, szybciej!*

- *Biegne najszybciej jak mogę- cierpko zauważył lampart. - A gdzie ty byłeś, głupie ptaszysko? Jak zwykle stroszyłeś swoje piórka? Zawsze cała robota spada na mnie!*

- *Och, przestań już narzekać!*

Kate także zaczęła zbiegać po nierównych stopniach tak szybko, jak tylko mogła. Dzwony zalanych kościołów znów się rozległy, słyszała też szum wody, z każdą sekundą coraz głośniejszy. Nagle dobiegł ją głos kukulki:

- *Wracaj! Wracaj tam, gdzie bezpiecznie!* Zlekceważyła jej ostrzeżenie, dalej biegła po schodach,

zbyt pochłonięta pragnieniem ratowania Gerenta, by myśleć o sobie. Potem usłyszała wściekły krzyk Seleny, kiedy Belerion zaczął gnać przez polankę, i okrzyk bólu, gdy ostry dziób kukulki trafił w cel.

Znalazłszy się na ostatnim stopniu kamiennych schodków, Kate już miała pobiec ścieżką wzdłuż stawu, kiedy nagle wszystko zniknęło. Muzyka umilkła, dzwony przestały bić, wokoło panowały kompletne ciemności. Słyszeć było jedynie szum i plusk wody, która była coraz bliżej, syczała, pienila się i kłębiła. Czyżby morze pochłaniało Lonię? Czy właśnie to słyszała? Nagle zrobiło jej się zimno... strasznie

zimno... Chciała zamknąć oczy i znów usnąć, ale ktoś - albo coś - złapał za jej szlafrok. Była przerażona. Co się dzieje? Wpadła do leśnego stawu? Nie, woda, którą czuła, była słona. Wpadła więc do morza, a nie do stawu.

Wydawało jej się, że znów słyszy Beleriona, a w oddali rozpaczliwe kukanie. Nagle uświadomiła sobie, gdzie jest, i zrobiło jej się słabo. Znajdowała się w wodzie, a razem z nią był Belerion. Lampart trzymał w zębach jej szlafrok i próbował wciągnąć ją na skałę. Słyszała trzepotanie skrzydeł kukulki, kiedy ptak też wczepił się pazurkami w jej szlafrok i starał się pomagać wyciągnąć ją z morskiej topieli.

- Obudź się, Kate! Na litość boską, obudź się! - Gerent mocno ujął ją pod pachy. - Przestań walczyć! Trzymam cię! - złapał ją tak mocno, aż zabolaly go palce, ale udało mu się ją wyciągnąć, nim porwała ją gwałtowna fala przyplywu.

W murze okalającym wyspę było przejście i wysoka furta z kutego żelaza. Za nią kamienne stopnie prowadziły na pomost, do którego mogły przybijać łodzie. Kate we śnie otworzyła furkę i zeszła po schodach. Leśny staw, który widziała, teraz znajdował się poniżej poziomu morza i zawsze wypełniała go słona woda.

Gerent położył Kate w miejscu, do którego nie sięgały morskie fale, zdjął surdut i okrył ją nim. Belerion nie bez wysiłku także wyszedł na brzeg, a potem tak energicznie się otrząsnął, że gęsty deszcz kropel ochlapał nawet kukulkę, która przysiadła na pobliskiej skałe, by zaczerpnąć tchu. Ptak poczuł się głęboko urażony i rzucił na wielkiego kota takie spojrzenie, że mniejsze zwierzę na miejscu padłoby trupem. Potem kukulka potrząsnęła ogonem, zamachała skrzydłami i przysiadłszy znowu, spojrzała z troską na Kate, domyślając się, że znów chodziła we śnie. Tym rażeni jednak o mało nie przyplaciła tego życiem.

Kate doszła już trochę do siebie i próbowała zebrać myśli, patrząc na spienioną i kłębiącą się wodę kilka metrów poniżej. Była kompletnie przemoczona, włosy przykleiły jej się do twarzy i ramion, na ustach czuła słony smak. **W** blasku

księżycy widziała fale, uderzające o skały po obu stronach i grobli. Przyplływ dopiero

się zaczął, ale obok pomostu woda zawsze była głębsza z powodu obniżenia terenu w miejscu, gdzie kiedyś był leśny staw. Wciąż biło tu źródelko, ale teraz nie było go widać, ponieważ znajdowało się już pod wodą. W tym miejscu łatwo można było utonąć... Gerent siedział przy niej, mocno ją obejmując.

- Myślałem, że zabezpieczyłem cię wystarczająco. Tymczasem kilka minut temu o mało cię nie straciłem. Ale teraz już nic ci nie grozi, już jest po wszystkim - szepnął.

Przytuliła się do niego. Jego ramiona były mocne i dawały poczucie bezpieczeństwa, zapach jego ciała i odzieży działał na nią jak balsam. Gerent ubierał się pośpiesznie, nawet nie zapiał koszuli. Czuli jego usta na swoich włosach, kiedy mówił:

- Kiedy zobaczyłem, jak schodzisz z pomostu do morza... Gdyby Belerion nie obudził mnie w porę...

- Belerion cię obudził? - Odchyliła głowę do tyłu, by spojrzeć na lamparta. Musi się skupić, musi zebrać myśli i znów odzyskać panowanie nad sobą.

- *Tak, to znowu byłem ja* - odezwał się lampart - *a nie ta głupia kukulka, która ponoć ma cię strzec!*

- *Jesteś niesprawiedliwy!* - obruszyła się kukulka. - *Przecież ci pomagałam!*

- *Na samym końcu* - odparł lampart.

Tego było już za wiele dla kukulki. Zerwała się na równe nogi

- *Och, nadużywasz mojej cierpliwości! Na pypcie Uthera Pendragona, za dużo sobie pozwalasz!* - krzyknęła, potem rozłożyła skrzydła i odleciała w noc.

Belerion położył uszy i zrobił kwaśną minę.

- *Zabieraj się razem ze swymi pypciami Uthera Pendragona* - mruknął. ,

Kate wszystko to słyszała, jednocześnie słuchając Geren-ta, który mówił: i

- Belerion przyszedł pod drzwi sypialni i narobił tyle hałasu, że obudził wszystkich w zamku. - Wskazał dwóch lokai, jeszcze w nocnych koszulach, stojących z latarniami.

Kate spojrziała w kierunku furty i zobaczyła jeszcze kilka latarni, oświetlających twarze zaniepokojonych służących. Co sobie myśleli? Że jest szalona? Ciągle miała zamęt w głowie. Gdzie kończył się sen, a zaczynała jawa? Co było rzeczywistością, a co wytworem jej wyobraźni?

- Kate, znowu chodziłaś we śnie. Obudziłem się i zobaczyłem, że cię nie ma. Drzwi sypialni były otwarte. Wyjrzałem, szłaś korytarzem. Zawolałem cię, ale nie odpowiedziałaś. Domyśliłem się, że jesteś w lunatycznym transie, więc ubrałem się i poszedłem szybko za tobą. Wyszłaś tędy, ale zanim udało mi się cię zatrzymać, furta się zamknęła. Zamek jest stary i zardzewiały, okropnie się namęczyłem, żeby ją znów otworzyć. Zanim mi się to udało, byłaś już na dole.

Oswobodziła się z jego objęć.

- Usłyszałam piosenkę „Nasz maik zielony”, a kiedy wyjrzałam przez okno, zobaczyłam cię, jak jedziesz leśną polaną. Na końcu polany, tam gdzie teraz jest Trezance, była średniowieczna wioska, i złota łódź, zacumowana na brzegu rzeki. Jechałeś do Seleny. Widziałam ją, słyszałam jej śmiech...

Westchnął zrezygnowany.

- A więc pora, żeby ci wszystko opowiedział, ale najpierw musimy wrócić do zamku. Przeżybisz się, jeśli zostaniemy tu dłużej. - Wstał, wyciągnął do niej rękę, a kiedy ona zrobiła to samo, zobaczył, że Kate nie ma obrączki.

- Och, Kate! Przecież uprzedzałem cię! Gdzie jest obrączka? Kompletnie ją zaskoczył. Obrączka powinna być na jej palcu. Nie zdejmowała jej.

- Gerencie, przysięgam, że nie zdejmowałam obrączki, odkąd kazałeś mi ją zawsze nosić. - Urwała, nagle przypominając sobie brzęk, który usłyszała tuż przed powtórnyim zaśnięciem.

Spojrzał na nią surowo.

- O co chodzi? Coś ci się przypomniało?

- Tak. Obrączka jest za duża. Myślę, że zsunęła mi się z palca. Byłam zaspana, ale coś usłyszałam, brzęk metalu, a potem jakby coś małego potoczyło się po podłodze.

Ujął ją pod brodę i spojrzał jej w oczy.

- Zawsze sprawdzaj, czy masz obrączkę na palcu, Kate. Jeśli zsuwa ci się, to noś ją na wstążce na szyi. Musisz ją mieć przy sobie cały czas. Dziś, dzięki Belerionowi, udało ci się ujść z życiem, ale nie powiedziane, że następnym razem też będziesz miała tyle szczęścia. Jutro będzie szczególnie niebezpiecznie, bo księżyc dojdzie do pełni. - Pochylił się nad nią i pocałował ją lekko. - Idź teraz do swojego pokoju, odpocznij trochę, umyj się i przebierz po kąpieli w morzu. Kiedy będziesz gotowa, powiadom mnie przez Bessie. Przyjdę do ciebie. Przyrzekam, że jeszcze przed świtem będziesz wiedziała o wszystkim, o czym powinnaś wiedzieć.

Rozdział 17

Kate siedziała w oknie swojego pokoju. We wnętrzu płonęły świece, ale ją oświetlał blask księżyca. Wzięła kąpiel, przy której pomogła jej Bessie, a teraz na usilne nalegania pani Fendern popijała gorące mleko. Włosy miała wilgotne, ale teraz pachniały rozmarynem i rumiankiem, a nie morską wodą. Miała na sobie świeżą koszulę nocną, a w pokoju było ciepło, ponieważ na kominku rozpalono ogień. Posłała Bessie do Gerenta z wiadomością, że już jest gotowa, i spodziewała się go w każdej chwili.

Za oknem morze zalało teraz wszystko między wyspą a Trezance, poza groblą. Początkowo poziom wody podnosił się powoli, ale potem fale zaczęły napływać coraz szybciej. Bessie powiedziała, że przyływ był większy niż zazwyczaj, ale nie taki, jak podczas największego przyboru wody. Pokojówka stwierdziła, że nie można tego nawet porównać z prawdziwym wiosennym przypływem, kiedy woda sunie w kierunku lądu naprawdę szybko, rozdzielając się, by opłynąć wyspę, a potem zderza się nad groblą. Właśnie to spowodowało śmierć Seleny. Bessie przewidywała, że wkrótce zjawisko się powtórzy, ponieważ była akurat pełnia księżyca i słychać było dzwony. Nazywała je dzwonami Lonii.

Prawie świtało, o tak wczesnej porze w Trezance paliło się tylko kilka świateł. Ktoś wciąż nie spał w gospodzie „Pod Wodnicą”, paliły się też latarnie na „nabrzeżu obok przewróconej do góry dnem łodzi, wokół której uwijało się kilku mężczyzn, by ją wyremontować po ostatnim niefortunnym rejsie. Na wzgórzach za miastem widać było jeszcze jedno

światło, Kate była pewna, że to dom Denzila Portreatha. Przez głowę przebiegły jej myśli o Michaelu, całkiem nedorzeczne, uwzględniając jej obecną sytuację. Nie mogła uwierzyć, żeby było dwóch Denzilów Portreathów, i wiedziała, że musi go spytać o Michaela bez względu na to, czy Gerent i właściciel Polwithiel są pokłóceni, czy też nie. To, że oddała swe serce Gerentowi, dla tamtej sprawy nie miało znaczenia. Chciała się dowiedzieć wszystkiego o okolicznościach śmierci swego pierwszego męża. Z zamyślenia nad przeszłością wyrwał ją głośniejszy trzask ognia na kominku. Natychmiast wróciła do terażniejszości i odwróciła się nerwowo. Ale to tylko trzaskały płomienie.

- Jesteś tu, Seleno? - zapytała szeptem, chwilę potem zrywając się na równe nogi, kiedy drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie. Ale na progu ujrzała Gerenta.

Przeprosił ją.

- Nie chciałem cię przestraszyć. Pukałem, ale nikt nie odpowiedział.

- Pukałeś? Nie słyszałam.

Razem z nim wszedł Belerion, skierował się prosto do łóżka, wskoczył na nie, po czym wyciągnął się wygodnie, jakby należało do niego, i westchnął z zadowoleniem.

- *Och, jak przyjemnie. Założę się, że to najwygodniejsze łóżko w całym zamku* - oświadczył, po czym zamknął oczy i usnął.

Gerent wciąż ją przeproszał.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że towarzyszy iji Belerion, ale Seleno trzyma się od niego z daleka. A chcę, żebyśmy byli sami, kiedy będę ci opowiadał to, co powinnaś wiedzieć.

Skinęła głową. Gerent zamknął drzwi i podszedł do niej.

- W to, co ci powiem, Kate, trudno uwierzyć ale każde słowo, które usłyszysz, będzie prawdziwe.

Posadził ją pod oknem, potem zajął miejsce obok niej i oparł głowę o szybę.

- Jeśli masz wszystko zrozumieć jak należy, muszę zacząć

od samego początku. Widzisz, kiedy ci powiedziałem, że Belerion dotarł do brzegu z wraku statku, który rozbił się tutaj dwanaście lat temu, w 1806 roku, nie powiedziałem ci, że w tym samym okresie w moim życiu pojawiła się Selena. Znalaziono ją nieprzytomną na małym pomoście, na który dziś poszłaś. Wydawało się, że była pasażerką na pokładzie tego samego statku, co Belerion, i wierzono, że podczas katastrofy uderzyła się w głowę, ponieważ straciła pamięć. Nie wiedziała nawet, kim jest, tak przynajmniej utrzymywała, a ponieważ kiedy ją znaleziono, nów księżycy przeświecał przez burzowe chmury, nazwałem ją Seleną. Staraliśmy się dowiedzieć, kim naprawdę jest, ale bezskutecznie. Mówiła po angielsku i była damą, ale to wszystko, co udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość. Kate nie kryła zdumienia.

- Wszystko, co udało się ustalić? Przecież skoro rozbił się statek, musieli się uratować jeszcze inni pasażerowie! Ktoś musiał wiedzieć, kim ona jest.

- Statek rzuciła na brzeg fala przyływu o wyjątkowej sile. Tak się roztrzaskał o groble, że nawet jego nazwa pozostała do dziś zagadką. Niektóre fakty świadczyły, że mógł przyplłynąć z Ameryki, ale nigdy nie udało się czegokolwiek ustalić z całą pewnością. Nie znaleziono żadnych dokumentów, nawet podartej faktury, a wszystkie cenniejsze przedmioty, które nie uległy zniszczeniu, bardzo szybko pozbiali okoliczni mieszkańcy. -

Spojrzał na nią. - W tych stronach wszystko z rozbitych statków wyparowuje

- wyjaśnił. - Wydawało się, że z wraku uratowali się jedynie Selena i Belerion, ale teraz wiem, że nie przyplłynęli na pokładzie statku.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Przybyli z Lonii?

- Tak, chociaż dowiedziałem się tego dopiero w przeddzień śmierci Seleny.

Wcześniej nie miałem pojęcia, że jest w nich coś nie z tego świata.

Kate spojrzała w kierunku łóżka, na którym chrapał Belerion. Wcale nie wyglądał na niezwykłego lamparta. Z zatopio-

nego, mitycznego lądu. Bardziej przypominał wyrośniętego, cętkowanego kocura.

- Na czas rekonwalescencji Selena zamieszkała w Carismont - ciągnął Gerent. - Szybko się w niej zakochałem. Była śliczna, zabawna, czarująca i w ogóle fascynująca. Postarała się, żebym zupełnie stracił dla niej głowę. Jak skończony głupiec myślałem, że jest tak samo zakochana we mnie jak ja w niej, tymczasem prawda wyglądała zupełnie inaczej. Dzięki bardzo szczególnym okolicznościom podczas tamtego gwałtownego przypływu w 1806 roku udało jej się uciec z Lonii. Życie tam zupełnie jej nie odpowiadało i postanowiła zostać tutaj, w moim świecie, żeby w pełni korzystać z bogactwa i luksusów, które mogłem jej zapewnić. Nie było to trudne. Wystarczyło skłonić mnie do małżeństwa z nią i pilnować się, by nigdy nie dotknąć morza, nawet czubkiem stopy, ponieważ jedna kropla morskiej wody wciągnęłaby ją z powrotem do Lonii. Oczywiście, wtedy o tym nie wiedziałem; zrozumiałem to dopiero później. Tak czy inaczej, w 1807 roku wzięliśmy ślub i aż do chwili swej śmierci ani razu nie zbliżyła się do morza. Nie chciała pływać łodzią ani nie przejeżdżała groblą, jeśli pokrywał ją choćby centymetr wody. Nigdy nie przyjechałaby na wyspę, tak jak my zrobiliśmy to wczoraj wieczorem, ponieważ na grobli nadal pozostawało kilka centymetrów wody, a to było dla niej nie do przyjęcia. Byłem wyrozumiały, traktując jej lęk jako coś naturalnego po przeżyciu katastrofy statku. - Uniósł głowę i spojrzał na Kate. - Jeśli z tej opowieści wynika, że byłem skończonym głupcem, obawiam się, że muszę ci przyznać całkowitą rację. Byłem ślepo zakochany i nie chciałem niczego dostrzec.

- Z tego, co opowiedziałeś do tej pory, uważam twoje zachowanie za całkiem zrozumiałe.

Uśmiechnął się.

- Na początku byliśmy bardzo szczęśliwi. Selena ubóstwiała Londyn i chciała, żebyśmy wyjeżdżali tam na każdy sezon. Błyszczała w towarzystwie i niewątpliwie stanowiła jego największą ozdobę. Pod koniec 1809 roku, odkryła, że

będzie miała dziecko. Powiedzieć, że była niezadowolona, to mało. - Gerent zacisnął usta, a kiedy znów oparł głowę o szybę, Kate była pewna, że dostrzegła łzy w jego oczach. - Nie chciała mieć dziecka i całkowicie odtrąciła Genevrę. Jej matką była bardziej pani Pendern niż Selena. Wiem, że u niektórych kobiet poród może wywołać szok, powodujący odrzucenie dziecka, i starałem się być bardzo wyrozumiały, ale nie można było patrzeć na nieczulość Seleny wobec córki, którą powinna kochać tak samo mocno jak ja. Nasze małżeństwo zaczęło się psuć, nie tylko z powodu Genevry, ale również dlatego, że, jak się zorientowałem, Selena zaczęła mnie zdradzać, i to nie z jednym kochankiem, ale z wieloma. Kate była wstrząśnięta.

- To całkowicie sprzeczne z tym, jak wasze małżeństwo było postrzegane przez innych! Przecież nawet w prowincjonalnym Herefordshire czytałam o olśniewającej parze Ca-rismont i o tym, jak bardzo się kochają!

Uśmiechnął się z goryczą i ujął jej dłoń.

- Och, Kate, pozory często mylą. Myślę, że Selena nie dochowywała mi wierności od samego początku, a żaden szanujący się mężczyzna tego nie zniesie, bez względu na to, jak bardzo jest zakochany. Ale to nie znaczy, że mam jakiegokolwiek wątpliwości, czy Genevra jest moim dzieckiem. Nawet gdyby nie mówiło mi o tym moje serce, wystarczy, żebym spojrział na jej oczy, które są tak podobne do oczu mojej matki, że nie można mieć żadnych wątpliwości.

A więc Genevra jest podobna do swej babki ze strony ojca, pomyślała Kate.

- Ale wracajmy do Seleny - ciągnął. - Oświadczyłem jej, że jeśli nie będzie mi wierna zgodnie ze złożoną przysięgą małżeńską, położę kres naszemu związkowi. Bardzo się tym przejęła i rzeczywiście zmieniła swoje zachowanie, ale było już za późno. Przestałem ją kochać i kiedy przychodziła do mnie, nie chciałem już z nią być. W ślad za miłością zniknęło też pożądanie. Mówią, że uroda to cecha tylko powierzchowna i w przypadku Seleny okazało się to aż nadto praw-

dziwę. - Westchnął ciężko. - Tak czy inaczej, potem dowiedziałem się, że jednak nie zrezygnowała ze wszystkich swych kochanków. Z jednym spotykała się przy każdej okazji, a wcześniej uważałem go za swego dobrego przyjaciela...

- Chodzi o Denzila Portreatha? - spytała Kate. Nagle uświadomiła sobie, że jej przypuszczenia okazały się słuszne.

Gerent skinął głową.

- Znaliśmy się od dziecka. Pozostawaliśmy w bliskich stosunkach, zawsze był mile widzianym gościem w Carismont, tak jak ja w Polwithiel. Nie wiedziałem, niestety, że moja żona była w Polwithiel jeszcze milej widziana! W kwietniu 1816 roku dowiedziałem się prawdy od zupełnie mi nieznanego mężczyzny w Londynie. On także niegdyś przyjaźnił się z Portreathem, a potem posprzeczali się o coś. Zdaje się, że chodziło o długi karciane, ale nie wiem tego na pewno i nie interesuje mnie to. Tak czy inaczej, owego wieczoru człowiek ten był trochę pijany, a ja podjąłem się roli dobrego Samarytanina i odstawiłem go bezpiecznie do jego kwatery. Za moje trudy zostałem nagrodzony barwną opowieścią o skandalicznym romansie mojej żony z Portreathem.

- Och, Gerencie...

- Mogę teraz o tym spokojnie mówić, bo Selena już nic dla mnie nie znaczy, ale wtedy byłem tak zaślepiony gniewem, że mógłbym rzucić się do gardła zarówno memu informatorowi, jak i Portreathowi. Ale przecież nie zabija się posłańca dlatego, że przynosi złe wieści, zostawiłem go więc chrapiącego w jego kwaterze.

- I do dziś nie wiesz, kto to był?

- Nie mam pojęcia. Widywałem go wcześniej, ale rozmawialiśmy ze sobą po raz pierwszy tamtego wieczoru, kiedy był w takim stanie, że nie przywiązywał wagi do dobrych manier i nie przedstawił mi się. Jednak znał mnie i nie ulegało wątpliwości, że kiedy jeszcze przyjaźnił się z Portreathem, nie raz bawili się moim kosztem. - Gerent zaczerpnął głęboko powietrza. - Najszybciej jak mogłem przyjechałem do Carismont. Dotarłem tu w ostatni dzień kwietnia.

Chociaż zapadła już noc, udałem się prosto na wyspę. Zamierzałem najpierw porozmawiać z Seleną, a potem pojechać do Polwithiel i rozprawić się z Portreathem. Okazało się jednak, że Seleny nie było w domu, była u niego, natomiast Genevrę zastałem zdenerwowaną i zapłakaną, ponieważ matka przed wyjściem ukarała ją za jakieś drobne przewinienie. Wieść o moim powrocie z Londynu musiała już dotrzeć do Polwithiel, rozpoznano bowiem mój powóz, kiedy jechałem przez Trezance. Selena wpadła w panikę i natychmiast wyruszyła do zamku, bo bez względu na to, jakich rozkoszy doznawała w ramionach Portreatha, nie dorównywał mi pozycją ani majątkiem. Tonie w długach po uszy i podejrzewam także - chociaż nie mam żadnych dowodów - że Selena dawała mu moje pieniądze. To jednak zupełnie inna sprawa. - Gerent urwał. Kate spojrzała na niego.

- Mów dalej.

- Musiała wiedzieć, że spodziewany jest wysoki przypływ, ponieważ była pełnia księżyca, a ludzie słyszeli dzwony z Lonii. Sama też musiała je słyszeć, bo ich bicie nie można pomylić z niczym innym.

- Wiem. Też je słyszałam tej nocy. Skinął głową.

- Dziś jest dokładnie tak samo, jak wtedy. Pełnia księżyca przypada jutrzejszej nocy, przypływ będzie na pewno bardzo wysoki. Tak czy owak, dwa lata temu Selena stanęła przed poważnym dylematem. Mogła albo zostać na brzegu i mieć nadzieję, że jednak potrafi mnie przekonać o swojej wierności, albo zaryzykować jazdę groblą po ciemku, kiedy w każdej chwili mógł nadejść wielki przypływ. Wiedziała, że mnie nie przekona, zaryzykowała i wybrała drugie wyjście. Kiedy rozpoczął się przypływ, znajdowała się w połowie drdgi na wyspę. Fale spadły na groblę, porwały ją razem z koniem i nikt nigdy już jej nie zobaczył.

-Jakie to okropne - szepnęła Kate, wyobrażając sobie tę straszną scenę, ale za chwilę coś sobie przypomniała. - Więc

Genevry z nią nie było? Myślałam, że o mało nie utonęła razem ze swoją matką.

- Tak. Wyglądała przez okno i zobaczyła, jak Selena mija światła gospody i kieruje się do grobli. Coś skłoniło ją, by pobic na brzeg, na szczęście zobaczyłem to i zdążyłem jej na czas przeszkodzić. - Gerent urwał i głośno przełknął ślinę, a potem przesunął palcami po włosach. - Teraz doszedłem do chwili, w której uświadomiłem sobie, skąd pochodzi Selena. Widzisz, Genem nie chciała mnie posłuchać i kiedy trzymałem ją mocno, żeby jednak nie pobiegła na groblę, nagle zniknęła i woda, i ciemna noc. Zobaczyłem prowadzącą nad rzekę leśną polanę. Był późnowiosenny dzień. Kate przebiegły ciarki po plecach. Musiała wstać. Głos Gerenta był cichy i zadumany,

- Razem z Genevrą dopiero co widzieliśmy, jak morze porwało Selenę, a teraz zobaczyliśmy ją, czekającą na koniu na brzegu rzeki. Była tam też złota łódź i pięknie przystrojony maik, wokół którego bawili się ludzie. Znaleźliśmy się w Lo-nii, idyllicznej krainie, pośród letniej zieleni, kwiatów, w środku średniowiecznej zabawy. Selena skinęła i zawołała nas po imieniu. Pragnienie, by do niej podejść, było trudne do przewyciężenia, ale instynktownie czułem niebezpieczeństwo, więc pohamowałem się i z całych sił trzymałem Genevrę. Dziecko było tak oczarowane, że wyrwało mi się. Kiedy już biegła, a ja patrzyłem na to niepewny i przerażony, pojawił się Belerion, złapał zębami rękaw jej nocnej koszuli i zaczął ją ciągnąć z powrotem. Tak, jak dziś w nocy ciebie. W ułamku sekundy zniknęło słońce i las, i znów stałem nad spienionym morzem w ostatnią noc kwietnia.

Rozdział 18

Kate słuchała Gerenta, wstrzymując oddech, a teraz spojrzała na niego:

- Jeśli Lonia była... jest taka piękna, dlaczego Seleną chciała ją opuścić?
Wzruszył ramionami.

- Należała do tego typu kobiet, które nigdy nie są zadowolone. Cokolwiek miała, obojętnie jak było drogie i rzadkie, i tak zawsze było jej mało. Nawet w raju nie wytrzymałaby długo. -Gerent zamilkł na długą chwilę, a potem zaczął mówić dalej: -Mogłem się powstrzymać przed ukaraniem posłańca w Londynie, ale tutaj, w Konwalii, wobec winowajcy nie zamierzałem być taki wspaniałomyślny. Kilka dni po śmierci Seleny spotkałem się z Portreathem w Polwithie. Wyzwałem go na pojedynek, a on przyjął rękawicę. Spotkaliśmy się o świcie na wzgórzu przy drodze, prowadzącej na wrzosowisko. Być może widziałas ją, kiedy tu jechaliśmy. Stoi tam kamienna kolumna...

- Tak, zauważyłam ją.

- Kiedyś stanowiła parę z tą, która znajduje się na końcu grobli w Trezance, ale mój ojciec kazał ją przenieść. Nie pamiętam, dlaczego. Wracając do pojedynku... Kiedyś obaj fechtowaliśmy się w tym samym klubie, więc Portreath wybrał szpady, pamiętając, że we władaniu nimi był sprawniejszy ode mnie, ale gniew sprawił, że wstąpił we mnie diabeł. Ta szrama na policzku to pamiątka po tamtym pojedynku.

Kate wpatrywała się w niego z uwagą.

- Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie, walczącego w pojedynku.

- Pod wpływem wielkiego wzburzenia większość mężczyzn stanie do pojedynku. Twój pierwszy mąż zginął przecież w taki właśnie sposób, prawda?

-Tak.

- Czy uważałaś go za człowieka, który dałby się wciągnąć w taką awanturę?

- Nie - musiała przyznać.

- Potraktuj to jako dowód na to, że nie jestem awanturnikiem. Tak czy owak, myślałem, że śmierć Seleny i pojedynki zakończą sprawę definitywnie. Ale kiedyś, prawie rok po jej śmierci, byłem w bibliotece, sprawdzając jakieś rachunki, kiedy z kominka wypadł rój malutkich iskier. Wśród nich była jedna większa, lawendowa, taka, jak ją opisałaś. A potem usłyszałem głos Seleny. - Gerent wstał, podszedł do kominka i wsparł się ręką o gzyms. - Tak, jak to było w 1806 roku, gdy po raz pierwszy pojawiła się w moim życiu, teraz także przyszła do mnie w kwietniu, kiedy świecił nów, i wracała przez cały miesiąc, aż do pełni. Dopiero wtedy dała mi spokój. Wkrótce uświadomiłem sobie, że jest na mnie zła, ponieważ nie dopuściłem do tego, by rok wcześniej Genevra poszła z nią razem do Lonii.

Kate nie mogła oderwać od niego oczu.

- Chciała, żeby Genevra także utonęła?

- Zdaje się, że najpierw swą ucieczką z Lonii, a potem rodząc moje dziecko, Selena złamała prawa, obowiązujące w jej świecie. Nie lubią tam sytuacji, gdy dziecko w połowie należy do tego świata, a w połowie do tamtego, ale to ono samo decyduje, w którym świecie chce żyć. Genevra pragnie żyć tutaj, więc Selena musi zostać w Lonii. Kobieta czy mężczyzna z tamtego świata, mający dziecko z kimś z tego świata, skazani są na istnienie w świecie przeciwnym do tego, który wybierze ich dziecko. Dlatego właśnie Selena, kiedy stwierdziła, że będzie miała ze mną dziecko nie mogła się z tym pogodzić, i dlatego zawsze tak nie znosiła Genevry. Znała prawa, obowiązujące w Lonii, więc naprawdę bardzo się pilnowała, by przypadkiem tam nie wrócić. Ale w końcu

zgubiły ją jej chciwość i egoizm. Chciała i Portreatha, i to, co mogłem jej zapewnić ja, więc zaryzykowała jazdę groblą. Sprawy źle się potoczyły, a kontakt z morską wodą oznaczał bezwarunkowy powrót do Lonii.

Chociaż wszystko to brzmiało niesamowicie, było przecież możliwe. Kate spotkało już zbyt dużo dziwnych wydarzeń, by mogła wątpić w to, co właśnie usłyszała od Gerenta.

Uśmiechnął się smutno.

- Zanim spytasz, dlaczego Selena zwyczajnie nie ucieknie z Lonii, tak jak za pierwszym razem, muszę powiedzieć, że moim zdaniem w jakiś sposób nie pozwala na to istnienie Genevry. To ze względu na nią nie może teraz wyrwać się stamtąd tak, jak zrobiła to w 1806 roku. Selena najbardziej pragnie Portreatha. On nie może przenieść się do jej świata, więc ona robi wszystko, co w jej mocy, by wrócić do niego tutaj. Aby to osiągnąć, musi zamienić się miejscami z Gene-vrą, ale może próbować nakłaniać ją do tego tylko w kwietniu. Ten właśnie miesiąc ma szczególne znaczenie, chociaż nie wiem, dlaczego. Może wykorzystywać swój wpływ na dziecko, kiedy księżycyca przybywa, ale z chwilą, kiedy zaczyna go ubywać, musi zostać w Lonii na kolejny rok.

- To dlatego koniecznie chciałeś zdążyć do Carismont na ostatni tydzień kwietnia?

- Tak.

- I Selenie została jeszcze jedna noc na podstępne próby? Skinął głową.

-Tak.

Belerion chrząknął przez sen i Kate spojrzała na łóżko.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego Belerion? I moja kukulka, która, zapewniam cię, także istnieje?

- Nic nie wiem o kukulce, której ani nie słyszałem, ani nie widziałem, ale skłonny jestem wierzyć, że Belerion został przysłany, by mnie strzec przed Seleną. Teraz chroni każdego, komu grozi z jej strony niebezpieczeństwo, nie tylko Genevę.

Kate się zamyśliła, a potem spytała:

- Gerencie, dlaczego Selena chce, żebyś ty też tam się udał?

Mogę zrozumieć, dlaczego zależy jej na Genevrze, ale czemu ty także miałbyś tam zamieszkać? Jeśli kocha Portreatha... Skinął głową.

- Widzę dwa powody. Po pierwsze, Selena wie, że jeśli ja udam się do Lonii, Genevra będzie mi towarzyszyć. Więc próbuje nakłonić mnie wspaniałościami i cudami Lonii, o których mi barwnie opowiada. Drugi powód jest następujący: jeśli znów pojawi się w tym świecie, pozbywszy się mnie, będzie mogła razem z Portreathem cieszyć się tym wszystkim, co należy do mnie. Nie mam żadnych innych dziedziców poza Genevrą i teraz tobą - oraz naturalnie Justi-nem - ale jako wdowa pierwsza lady Carismont będzie miała prawo do wszystkiego, ponieważ moje małżeństwo z tobą zostanie uznane za bigamię. W ten sposób wejdzie w posiadanie całego dobytku Fitzarthurów, poślubi Portreatha i będzie żyć tutaj, korzystając z mojego majątku. Nie wątpię, że on chętnie poślubiłby tak bogatą wdowę.

- Nie wyobrażam sobie, jak to możliwe, by jakakolwiek kobieta mogła przedkładać Portreatha nad ciebie - zauważyła szczerze Kate.

- Chyba mi trochę schlebiasz.

- Nie. Uważam, że jest odpychający i antypatyczny. Znów spojrzała na Beleriona.

- Gerencie, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć...

- To znaczy?

- Chodzi o Beleriona i... i o kukułkę, o której wspomniałam. Zwierzęta na herbie, które uważasz za lwicę i martleta, to w rzeczywistości lampart i kukulka. Wiem to na pewno, dlatego, że... że...

- Ze co? - spytał Gerent. Odchrząknęła.

- Dlatego, że słyszę, jak rozmawiają. Gerent spojrzał na nią.

- Co takiego?

- To, co powiedziałam. - Wygladziła nocną koszulę. -Z jakiejś przyczyny, nie wiem, z jakiej, słyszę je. Może cię za-

interesować, że Belerion jest bardzo zręcznym lampartem. Uważa, że wszystko robi sam, a kukulka za mało się stara. -Zauważyła, że Gerent przygląda się jej podejrzliwie. - Nie patrz tak na mnie! Naprawdę je słyszę. Gerent uniósł ręce do góry.

- W porządku, wierzę ci. Jak mógłbym mieć jakieś wątpliwości, skoro przed chwilą sam opowiedziałem ci nieprawdopodobną historię mojej pierwszej żony. Wiem, że moja opowieść przypomina bajkę. Mogłabyś mi zarzucić, że przygania kocioł garnkowi. - Uśmiechnął się. - Wierzę ci, Kate - powiedział. - Naprawdę.

Przygryzła dolną wargę.

- Bałam się o tym wspomnieć, żebyś nie uznał mnie za kompletną wariatkę. Jestem lunaticzką, mam omamy, słyszę, jak mówią ptaki i inne zwierzęta... Zdarza się, że zamykają ludzi za jedną z tych rzeczy, a co dopiero za wszystkie.

- A ja wierzę w istnienie Lonii i rozmawiam z lawendowym światełkiem, które uważam za swą zmarłą żonę. Chyba trafię do domu wariatów razem z tobą, co?

Roześmiała się.

- Chyba tak.

Nabrał głęboko powietrza.

- A więc Belerion i ta kukulka są w herbie Lonii. Belerion był tu od początku i prawdopodobnie dlatego uważa, że wszystko robi sam. Natomiast kukulka pojawiła się na scenie później i... zdaje się, że zbiegło się to z naszym spotkaniem. Myślę więc, że jest twoim osobistym aniołem stróżem.

- O tak, z całą pewnością. - Opowiedziała mu o swoich spotkaniach z ptakiem.

Gerent spojrział na nią smutno. ^J

- Och, Kate, źle zrobiłem, że wciągnąłem cię w moje życie. Ale w hotelu „Pulteney” poczułem tak wielką potrzebę bycia z tobą, że po prostu nie mogłem się jej oprzeć. Pragnienie to wzięło się nie wiadomo skąd, ale było tak nieodparte, że zwyczajnie musiałem mu się poddać.

- Jestem szczęśliwa, że to zrobiłeś. - Podeszła do niego,

a on ją objął. Pocałował jej wilgotne włosy. Zamknęła oczy, rozkoszując się jego bliskością, Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl i szybko spojrzała na Gerenta. - A Justin? Czy jemu też grozi jakieś niebezpieczeństwo?

- Jestem całkowicie przekonany, że nie. Czy do tej pory spotkało go coś niezwykłego?

- Nie - odpowiedziała. Zapomniała o tym, że Justinowi przyśnił się prezent w postaci złotej łódki, a w jego śnie Gerent był ubrany identycznie, jak później na jawie.

- Wobec tego jestem pewien, że jest bezpieczny. - Gerent sięgnął do kieszeni szlafroka i wyciągnął obrączkę Kate, którą znalazł w sypialni na podłodze. Poszedł do ubieralni, wziął stamtąd kawałek różowej wstążki i zawiesił na niej obrączkę, potem wrócił i zawiązał wstążkę na szyi Kate. - Wierzysz wprawdzie, że kukulka chroni cię przed złem, ale jestem przekonany, że to zbyt mało, żeby poradzić sobie z Seleną. Belerion jej przeszkadza, lecz jakoś udało jej się uśpić jego czujność i skłonić Genevrę, by weszła do wody. Uważam, że to by się nie wydarzyło, gdyby Genevra miała medalion z runami. Tak samo jestem pewien, że gdybyś miała dziś w nocy obrączkę na palcu, nie spotkałaby cię ta przygoda.

Ujął twarz Kate w obie ręce.

- Moja niania pokazała mi runy, kiedy byłem młodszy od Genevry i Justina. Napisała zaklęcie w mojej ulubionej książce z bajkami i powiedziała, że jest skuteczne na wszelkie zło, jeśli będzie się je nosiło przy sobie. Powiedziała mi też, że chroni dwie osoby przed tą samą ciemną siłą. Zabezpieczyłem więc ciebie i Genevrę. Jestem pewien, że Justinowi nic nie grozi ze strony Seleny.

- A ty, Gerencie? Jak uchronisz siebie?

- Nie obawiam się o siebie, bo wiem, że i bez zaklęć jestem wystarczająco silny.

Czy rzeczywiście tak było? Kate przypomniała sobie jego pełne udręki słowa w domu przy Berkeley Square. Na *litość boską, pozwól mi żyć, jak chcę! Proszę!* Selena nadal miała do niego dostęp, bez względu na to, co sam sądził na ten te-

mat. Miała również swoje sposoby, by wejść do zamku, chociaż pani Pendern wierzyła, że zapobiegła temu.

- Gerencie, żałuję, że nie powiedziałeś mi o wszystkim wcześniej - szepnęła.

- Co dwie głowy to nie jedna, teraz wspólnie możemy przeciwstawić się Selenie.

Porwał ją w ramiona.

- Jesteś moim zbawieniem, Kate - szepnął, całując jej wilgotne włosy.

- A ty moim, bo zanim pojawiłeś się w moim życiu, nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek będę szczęśliwa. Ty i ja, Genevra i Justin, wszyscy będziemy żyli szczęśliwie tutaj i nie pozwolę Selenie, by mi ciebie odebrała. - Przytuliła się do niego. - Gerencie, chcę, żebyś się ze mną kochał - szepnęła. - Na podłodze przed kominkiem.

- Czy moja pani nie ma wstydu? - spytał żartobliwie.

- Nie ma wstydu ani za grosz, milordzie - odparła i pociągnęła go w stronę kominka. Stanęli naprzeciwko siebie. Wolno rozwiązała szlafrok i pozwoliła, by osunął się na podłogę. Gerent spojrział na nią czule.

- Jesteś taka piękna - szepnął.

Położyli się, pochyliła się nad nim w taki sposób, że jej długie włosy laskotały mu skórę.

- Kocham cię całym sercem, Gerencie Fitzarthurze - powiedziała cicho.

Później, gdy leżeli objęci, usłyszała nagle, jak Belerion warknął groźnie.

Lampart wyskoczył z łóżka i patrzył w stronę okna. Lawendowe światelko przyłgnęło do szyby, bojąc się wlecieć do środka. Kate oparła się na łokciu.

- Spójrz, Gerencie, jest tu Selena - szepnęła.

Usiadł szybko, obserwując jak Belerion staje na tylnych łapach, przednimi opierając się o siedziska pod oknem. Irytacja lamparta była niemal widoczna, kiedy uporczywie spoglądał gdzieś nad Selenę.

- *No dalej, ty nienydarzona krewniaczkę sroki! Teraz twoja kolej! Co cię zatrzymało?*

Powiedział to tak wyraźnie, że Gerent też musiał to usłyszeć.

- Gerencie, czy...?

- Tak, slyszalem. Tym razem zdecydowanie slyszalem! Za chwile nadleciala kukulka z takim impetem, ze niemal wpadla na szybe.

- Tura; *jestem, ty nadgryziona przez mole marudo!* -krzyknęła.

Kate spojrzala na Gerenta.

- A to tez?

- Tak. I widze ja.

Kukulka szybko zlapala rownowage i udalo jej sie tracic Selenę dziobem. Ta uskoczyła i czmychnęła, nie czekajac na nastepne szturchniecie.

Ale wyczyn kukulki nie zrobil wrazenia na Belerionie.

- *Jutro w nocy musisz sie lepiej spisac, bo inaczej jeszcze moze sie jej udac!*

Kukulka westchnęła teatralnie.

- *Czy potrafisz tylko jeczec? Na czyraki Mordreda, jesteś najbardziej zalosna kreatura, jaka mialam nieszczescie poznac w swoim zyciu!*- Zuchwały ptak przysiadł na zewnetrznym parapecie i bezczelnie zamachal piórami w ogonie tuż przed nosem lamparta, jednak oddzielony od niego szyba.

- *Cóz, jeśli tak uważasz, przez reszte nocy męcz sie sama! Ja idę spac!* - Belerion prychnął zde gustowany, wskoczył na łózko i položyl sie tyłem do okna.

Kukulka jeszcze troche pokręcila sie na parapecie, a potem oparla sie o szybe, zeby jej bylo wygodniej. Gdyby miala kieszenie, wsadzilaby w nie skrzydla, pomyslala Kate.

Rozdział 19

Na resztę nocy Kate poszła z Gerentem do jego sypialni. Leżeli obserwując, jak widoczne przez okno w wykuszu niebo, staje się coraz jaśniejsze, i rozmawiali jak wszyscy zakochani. Belerion, zrzędząc okropnie, że fcnów go obudzono, ułożył się pod drzwiami, a kukulka przefrunęła z okna sypialni Kate do okna w wykuszu, gdzie starała się utrzymać na wąskim występie. Widocznie czuwanie nie było jej mocną stroną, bo niebawem nastroszyła piórka, wtuliła w nie łepkę i zaczęła drzemać.

W końcu przyszedł ranek, trzeba było wstać i rozpocząć nowy dzień. Belerion zakończył wartę i udał się na poranną przechadzkę po ogrodach, a kukulka odleciała, na chwilę uciszając swoim kukaniem krzykliwe mewy. Kate wróciła do swojego apartamentu, żeby się ubrać. Mimo długiej nocy, obfitującej w wydarzenia, miała mnóstwo energii i była w świetnym nastroju. Dobrze było znów być tak beznadziejnie zakochaną. Kiedy szła galerią miała ochotę skakać i śpiewać. Miłość Gerenta przepelniała Kate euforią, czuła się młodsza i... piękniejsza. Tak, jego zachwyty sprawił, że czuła się piękna i dziś może rzeczywiście tak jest, pomyślała, kiedy przystanąła przed oknem, by wyrzucić na śliczny, wiosenny poranek. Prostokąty pól w różnych odcieniach zieleni błyszcząły w porannej mgielce, żywopłoty, z głogu były tak obsypane białym kwieciami, że wyglądały jak śnieżne zaspasy. Wrzosowisko płonęło od złotych kolcolistów i zapraszało na konną przejażdżkę, do której udało jej się samą siebie namówić poprzedniego wieczoru, pomyślała ironicznie.

Morze się cofnęło, odsłaniając dno między wyspą a lądem. Następny przyływ będzie ostatnim w tym miesiącu; a zacznie się dziś w nocy, kiedy księżyc będzie w pełni. Zastanawiała się, czy rzeczywiście okaże się tak wyjątkowo wysoki, jak się wszyscy tego spodziewali. Ciekawa też była, czy fala przyniesie jakieś zagrożenia.

Bessie już na nią czekała.

- Dzień dobry, milady. Jak się pani czuje? - spytała uprzejmie.

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- Ale nam pani napędziła w nocy stracha. Aż nie chcę myśleć, co by się mogło stać, gdyby Belerion nie narobił takiego hałasu.

- Jestem mu ogromnie wdzięczna - odparła Kate tonem, który, miała nadzieję, utnie dalszą rozmowę na ten temat.

- Czy zobaczyła pani lasy Lonii?

Pytanie zostało zadane tak od niechcienia, że Kate pomyślała, że się przesłyszała.

- Słucham?

- Panienska Genewa je widziała, więc pomyślałam, że... Kate, sama nie wiedząc czemu, postanowiła o tym nie mówić.

- Po prostu chodziłam we śnie, Bessie. Zdarzało mi się to, kiedy byłam dzieckiem, i obawiam się, że teraz znów wróciło - odparła, a potem zmieniła temat. - Mam nadzieję, że stroje pierwszej lady Carismont wciąż są tutaj?

- Tak, proszę pani. Czy życzy sobie pani, żeby je usunąć?

- Tak, z wyjątkiem strojów do konnej jazdy, które chciałabym teraz obejrzieć.

- Tak jest, proszę pani. Są tylko dwa, ponieważ ten z modrego aksamitu jej lordowska mość miałam sobie tamtej nocy' gdy- - Dziewczyna urwała speszona.

- Rozumiem, Bessie.

Pokojówka wyszła i po chwili wróciła z dwiema amazonkami: z szaroniebieskiego sztruksu, obszytą czarną lamówką, i z granatowego jedwabiu, sprawiającą wrażenie lekkiej

i wygodnej. Kate bez przymierzania wiedziała, że będą pasowały i zdecydowała się na tę z granatowego jedwabiu.

- Proszę, przygotuj mi tę. Zamierzam po śniadaniu udać się na konną przejażdżkę.

- Tak jest, proszę pani. Co włoży pani do śniadania?

- Znajdziesz wśród moich rzeczy dzienną suknię z zielonej welenki...

- Wiem, o której pani mówi. Zaraz ją przygotuję. Wkrótce Kate znów szybkim krokiem szła zamkowymi

korytarzami. Miała na sobie wełnianą suknię, a jej miodowo-brązowe włosy zostały bardzo elegancko upięte zręcznymi palcami Bessie. Dziś rano była zbyt zakochana, by się przejmować tym, że jej suknia jest niemodna. Jednak chociaż była tak szczęśliwa, czuła lekki niepokój, ponieważ na śniadaniu mieli się po raz pierwszy spotkać Justin i Genevra. Nie miała pojęcia, czy się polubią. Może poczują do siebie głęboką antypatię? Jednak jej miłość przetrwa wszystko i nawet jeśli dzieci od pierwszej chwili nie będą mogły na siebie patrzeć - a jedno z nich było na to zdecydowane! - ona i Gerent nadal będą mieli siebie nawzajem.

Gerent z Genevrą już czekali w refektarzu, ale Justin jeszcze nie zszedł.

Kiedy Kate spojrzała na Gerenta, a on się uśmiechnął, poczuła się tak, jakby ją dotknął. Krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, a radość życia, która przepelniała ją od chwili, gdy rano otworzyła oczy, jeszcze wzrosła. Potem pojawił się Justin i bardzo szybko sprawdziły się najgorsze obawy Kate, bo dzieci w ogóle się do siebie nie odzywały. Patrzyły na siebie spode łba, kiedy je sobie przedstawiano, i nawet nie starały się być wobec siebie miłe. Jednak oboje wyglądali jak aniołki, szczególnie "Justin ze swymi jasnymi włoskami. Miał na sobie kremowe spodnie i krótki, granatowy surducik, a pod nim koszulę z dużym kołnierzem.

Ciemnowłosa Genevra nie budziła w pierwszej chwili skojarzeń z aniołkami, ale niewątpliwie wyglądała ślicznie i bardzo słodko. Włosy miała zebrane w prosty węzeł, ubrana była w sukieneczkę z białego muślinu, przewiązaną nie-

bieską, aksamitną szarfą. Na szyi widoczny był medalion, który dostała od Gerenta. Przyniosła ze sobą swego kota z różowego aksamitu, czego miała bardzo szybko pożalować.

To głównie przez nią atmosfera przy stole była napięta, ponieważ krytykowała absolutnie wszystko, co powiedział czy zrobił Justin. W końcu się odgryzł mówiąc, że jest małą dzidzią, bo nosi ze sobą pluszowe zabawki, a ona się rozplakała, potwierdzając tym samym jego opinię. Ale ponieważ nie doczekała się współczucia z niczyjej strony, zresztą jej łzy nie były do końca szczere, więc obrażona pograżyła się w milczeniu. Kate i Gerent wymienili spojrzenia, wyraźnie rozczarowani, bo mieli jednak nadzieję, że ich dzieci się polubią. Może było to zbyt wygórowane oczekiwanie i zbyt szybko chcieli mieć wszystko.

Sytuacja się nie poprawiła, gdy Gerent wspomniał, ile spraw będzie musiał omówić ze swoim zarządcą. Kiedy dodał, że zajmie mu to cały ranek i znaczną część popołudnia, w orzechowych oczach Genevry pojawił się błysk buntu. Dolną wargę wysunęła do przodu w taki sposób, że Kate wiedziała, że za chwilę dziewczynka urządzi jedną ze swych scen. Szybko przypomniała więc Gerentowi o jego obietnicy.

- Gerencie, wiem, że przed przyjazdem zarządcy zamierzasz spędzić trochę czasu sam na sam z Genevrą, więc my z Justinem przejdziemy się po ogrodzie. Dobrze, Justinie?

Chłopiec był wyraźnie rozczarowany.

- Och, mamó! Chciałem popuszczać łódkę! Proszę! Zanim Kate zdążyła otworzyć usta, Genevra natychmiast skorzystała z okazji, by odegrać się na chłopcu.

- Jeśli wciąż bawisz się łódkami, jesteś tak samo dziecinny jak ja. -

Uśmiechnęła się z miną pełną wyższości i pogłaskała aksamitnego kota, którego posadziła na pustym krześle obok siebie. »

Justin poczerwieniał na twarzy.

- Łódka to co innego.

- Wcale nie!

- Właśnie, że tak! Gerent się rozgniewał.
- Przestańcie! Radzę wam, żebyście skorzystali z okazji, kiedy jeszcze możecie się razem bawić, bo wkrótce zaczniecie naukę, co w znacznym stopniu ograniczy takie przyjemności. Chcę, żebyście się nawzajem przeprosili za swoje zachowanie. Ty pierwsza, Genevra, bo jesteś wyjątkowo niemila.

Genevra rzuciła mu obrażone spojrzenie.

- Nieprawda! To on zaczął! - Wskazała Justina. Gerent był nieubłagany.
- Nie, moja panno, ty zaczęłaś. Jesteś zdecydowanie niemila od chwili, kiedy usiadłaś przy stole.
- Dlaczego bierzesz jego stronę, tatusiu? To niesprawiedliwe! - Genevra zadrżała usteczka, a do oczu napłynęły łzy.

Gerent wytrzymał jej spojrzenie.

- Genevra, to nie ma nic wspólnego ze stawianiem po czyjejś stronie. Znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że zeszałaś na śniadanie już z góry sobie postanowiwszy, że nie polubisz Justina.

Genevra przeniosła spojrzenie na Justina.

- Nie powinieneś sobie żartować z mojego kota - powiedziała zrzędliwie.
- Zrobiłem to tylko dlatego, że mi dokuczałaś - odparł, a potem dodał wspaniałomyślnie: - Wcale nie uważam, że jesteś dziecinna, bo bawisz się kotkiem.

Genevra nic nie odpowiedziała, ale Kate odniosła wrażenie, że nie miała już tak zbuntowanej miny. Co najmniej dziesięć minut później zupełnie niespodziewanie oświadczyła:

-»A ja nie uważam, że jesteś dziecinny, bo bawisz się łódką.

Przy stole zapanowała zupełnie inna atmosfera. Śmiali się i rozmawiali ze sobą, jakby znali się 'bd lat, i Kate zobaczyła tę stronę charakteru Genevry „którą do tej pory dziewczynka ukrywała za napadami złości i fochami. Prawdziwa Genevra była zwykłą, bardzo sympatyczną dziewczynką, którą Kate z łatwością polubiła.

Po śniadaniu, zanim Genevra wyszła z Gerentem, Kate poruszyła sprawę konnej przejażdżki.

- Genevro, zastanawiałam się., Dziewczynka odwróciła się w jej stronę.
 - Nad czym?
 - Bardzo chciałabym pojechać przed południem na konną przejażdżkę i zastanawiałam się, czy mogłabyś mi pokazać okolice? Justin też mógłby nam towarzyszyć. Wrzosowisko za Trezance wygląda bardzo ładnie i...
 - Miałabym jechać na wrzosowisko? - W głosie Genevry pojawiła się nowa nutka.
 - Tak, ale...
 - Nie mogę! Naprawdę nie mogę! Szczególnie dziś! Tatusiu? - Genevra spojrzała zaniepokojona na Gerenta.
- Kate zaraz ją uspokoiła.
- Och, Genevro, proszę, nie pomyśl tylko, że musisz z nami jechać. Myślę, że poradzimy sobie z Justinem także bez ciebie.
- Genevrze napłynęły łzy do oczu.
- Nie mogę jeździć groblą. Proszę się na mnie nie gniewać. Kate szybko do niej podeszła i przykucnęła, by ją objąć.
 - Naturalnie, że się na ciebie nie gniewam - zapewniła dziewczynkę.
- Genevra zawahała się, a potem też objęła Kate.
- Mama by się gniewała - wyjaśniła. Kate spojrzała na Gerenta i przypomniała sobie wszystko, co powiedział jej o Sele-nie-matce. Potem Genevra wzięła ojca za rękę i razem wyszli.
- Kate podniosła się i spojrzała na Justina.
- Domyślam się, że ty też nie masz ochoty na przejażdżkę konną?
 - Niespecjalnie. Wolałbym...
 - Bawić się łódką? Tak przypuszczałam. No cóż, byłoby nieładnie z mojej strony, gdybym cieNzmusiła do czegoś, na co nie masz ochoty, szczególnie w sytuacji, gdy wkrótce znów zacznę twoją biedną główkę zamęczać zawilóściami arytmetyki.
- Justin się skrzywił.
- O, nie. Tylko nie rachunki.

- Obawiam się, że tak, i to tak długo, dopóki nie opanujesz tego przedmiotu. A na razie wszystko wskazuje na to, że muszę udać się na przejażdżkę samotnie.

- Nie będzie ci przykro, mamusiu? Uśmiechnęła się.

- Nie. - Ale nagle uświadomiła sobie, że nie ma ochoty się z nim rozstawać, nawet na krótko. - Justinie, czy odkąd tu jesteś, przydarzyło ci się coś dziwnego?

- Dziwnego? - Spojrzał na nią pytająco, a potem oczy mu się zalśniły. - Czy w zamku są duęhy? To masz na myśli?

- Niezupełnie. Po prostu zastanawiałam się... Pamiętasz, kiedy zatrzymaliśmy się w hotelu „Pulteney”, przyśniła ci się łódka...

- Tak, teraz, kiedy o tym wspomniałaś, przypomniałem sobie, że rzeczywiście zdarzyły mi się jedna czy dwie dziwne rzeczy.

Kate się przeraziła.

- Naprawdę? Co to było?

- Wczoraj wieczorem, kiedy bawiłem się żaglówką na dziedzińcu, nie było w ogóle Wiatru, a jednak łódka sama z siebie pływała w kółko po sadzawce.

Lord Carismont też to widział, gdy zszedł do mnie.

Ja też, pomyślała Kate, nagle zdając sobie sprawę, dlaczego wydawało jej się, że w ślizganiu się łódki po wodzie było coś dziwnego.

- A później - ciągnął Justin - kiedy usnąłem w ubraniu na łóżku, przyszła pani Pendern i przyniosła mi kolację na tacy. Jak tylko wyszła, usłyszałem, jak jakaś kobieta śpiewa tuż za oknem. Zdziwiło mnie to, bo moje pokoje[^] są na samej górze wieży, więc za oknem nikogo nie mogło być. Wstałem i wyjrzałem.

- I co zobaczyłeś? - spytała zaniepokojona Kate.

- Nic. Śpiew ustał, jak tylko wyjrzałem. - Justin podparł się pod brodę. -

Zresztą nigdy nie lubiłem tej piosenki - mruknął.

- Jakiej piosenki?

- Tej, którą grał na fujarce mężczyzna wczoraj w Trezance obok przystrojonego maiku. „Nasz maik zielony”.

Selena też ją śpiewała. Przez głowę Kate przebiegały gorączkowe myśli. Jeśli Justinowi przytrafiają się takie rzeczy, to mimo zapewnień Gerenta powinna jednak być ostrożna i zadbać także o bezpieczeństwo syna. Szybko rozwiązała wstążkę, którą miała na szyi.

- Justinie, chcę, żebyś nosił moją obrączkę. Był zdumiony.

- Na wstążce? Och, mamó! Chłopcy nie noszą wstążek!

- Ale ty będziesz nosił - oświadczyła kategorycznie i sięgnawszy przez stół podała mu ją do ręki.

- Ale...

- Zrób, co ci mówię, i nigdy jej nie zdejmuj. Rozumiesz? - Myślała, że jeśli Gerent uważał się za wystarczająco silnego, by oprzeć się Selenie, ona także jest wystarczająco silna.

Justin zrobił niepewną minę.

- Mamó, o co chodzi?

- Och, gdybym ci powiedziała, z pewnością uznałbyś to za jakieś bzdury, więc nie powiem nic więcej. Ale będę się czuła znacznie lepiej, wiedząc, że zrobiłeś tak jak proszę. Obiecuj mi, Justinie.

- Dobrze, mamó - odparł niechętnie i zawiązał wstążkę na szyi, wsuwając obrączkę pod koszulę, po czym upewnił się, że jest wystarczająco dobrze schowana, żeby nikt jej nie zobaczył.

Ale Kate wciąż odczuwała pewien niepokój. Musiała go jeszcze przestrzec przed lasem.

- Justinie, jest jeszcze coś...

- Co takiego, mamó?

- Jestem pewna, że uznasz to za coś niemądrego, ale mnie mój sen wydał się tak prawdziwy, że muszę cię uprzedzić. Śniło mi się, że wokół wyspy rośnie las. Ten sen naprawdę był bardzo przekonujący.

- Chodzi ci o ten sen, kiedy chodziłaś, mamó? - Tak.

Nagle przypomniał sobie książkę, którą czytał w drodze do Carismont.

- Przyśniła ci się Lonia? - spytał przejęty.

- Na to wygląda. Tak czy owak, był to sen tak realistycz-

ny, że miałam ogromną ochotę przejść się po tym lesie. Może gdybym to zrobiła podczas odpływu, nic by mi się nie stało, ale podczas przyływu... Justin patrzył na nią z wielką uwagą.

- Coś podobnego już dwa razy przytrafiło się Genevrze, w obu przypadkach trzeba ją było wyciągać z wody - kontynuowała Kate.

Oczy zrobiły mu się okrągłe.

- Naprawdę? Czy to o tym mówiła pani Pendern, kiedy wczoraj przyjechaliśmy?

- Tak, ale proszę, żebyś nie rozmawiał o tym z Genevrą.

- Rozumiem, mamó, ale gdyby ona pierwsza zaczęła...

- Cóż, to co innego. Tak czy owak, mówię ci teraz o tym, żebyś miał się na baczności.

- Obiecuję, że będę ostrożny, mamó.

- Nigdy nie wychodź z zamku, kiedy zobaczysz coś, czego nie powinno być. Bardzo trudno się temu oprzeć, ale musisz się postarać.

- Dobrze.

- I musisz pamiętać, żeby nigdy nie zdejmować z szyi wstążki z obrączką. To jest bardzo ważne. Zrozumiałeś?

- Tak, mamusiu.

Kate uśmiechnęła się do niego, a potem zmieniła temat.

- Dość o tym. Chcesz puszczać swoją łódkę, więc biegnij na podwórze. Ale nie chodź nad morze, zostań na razie na dziedzińcu.

- Pani Pendern powiedziała, że jeśli zechcę pójść nad morze jeden z lokai będzie mi towarzyszył.

- Naprawdę? Pamiętaj jednak, że wolno ci tam iść tylko z lokajem. Czy to jasne?

- Tak, mamusiu. - Wstał, podszedł do niej, by ją uścisnąć, a potem wybiegł z refektarza, i

Kate zamyśliła się. Co może oznaczać łódka? Spojrzała na herb nad kominkiem. Belerion i kukulka są swego rodzaju strażnikami A łódź? Czy ona też miała jakąś rolę do odegrania?

Rozdział 20

Kiedy Kate wyruszyła na przejażdżkę, Gerent zamknął się w gabinecie ze swym zarządcą. Justin pod opieką lokaja poszedł jednak nad morze bawić się łódką. Genevra czytała książkę w swojej ulubionej altance w ogrodzie. Była to ta sama książka, w której znakami runicznymi zapisane było zaklęcie. Dziewczynka miała na szyi swój medalion, obok niej leżał lampart, więc była dobrze strzeżona przed Seleną.

Kate miała na sobie amazonkę z granatowego jedwabiu, a czarny kapelusz przewiązała szarfą z białego woalu, która powiewała na wietrze. Buty do kostek, skórzane rękawiczki i szpicruta dopełniały stroju. Kiedy wyjechała z dziedzińca na ślicznej, dereszowatej klaczy, czuła się wystarczająco elegancko nawet na przejażdżkę po Hyde Parku. Nie skorzystała z propozycji, by towarzyszył jej lokaj, i z przyjemnością myślała o czekającym ją samotnym spacerze. Bessie dokładnie jej wytłumaczyła, któredy prowadzi szczególnie ładna trasa przez wzgórza za Trezance, i Kate chciała w pełni rozkoszować się jej urokami. Według Bessie cała droga powinna jej zająć około dwóch godzin.

Kate ostatni raz jeździła konno przed śmiercią Michaela, ale klacz nie sprawiała jej żadnych kłopotów. Morze miało głęboki, turkusowo-niebieski odcień, powietrze było ciepłe i wonne, kiedy klacz szła stępą krętą drogą przez ogrody ku bramie na początku grobli. Kate zobaczyła Genewę, siedzącą na ocienionej ławce tuż pod murami zamku. Belerion leżał wyciągnięty na trawie u jej stóp i słuchał bajki, którą czytała mu dziewczynka. Kate się uśmiechnęła, bo małe dziewczynki

zawsze chętnie czytają na głos każdemu, kto gotów jest słuchać. Genewa pomachała jej ręką i Kate też jej pomachała z uśmiechem, bo zachowanie córki Gerenta wyraźnie świadczyło o tym, że dziewczynka już ją zaakceptowała.

Wszędzie kwitły barwne, wonne kwiaty, koń szedł niespiesznie ku brzegom wyspy. Justin i lokaj stali na pomoście, tym samym, na którym we śnie znalazła się w nocy. Byli pochłonięci poważnym zadaniem puszczenia łódki i kierowania nią bambusową laską. Nie zauważyli Kate, kiedy znalazła się na biegnącym na prawo od nich podejździe, który w tym miejscu lekko skręcał. Surduty rzucili na oblepioną wodorostami skałę i stali głowa przy głowie, pochłonięci bez reszty zabawą.

Na widok Kate strażnik prędko otworzył bramę, ściągnął czapkę i uklonił się, kiedy go mijala. Kate skierowała klacz na groble. Ciągłe trwał odpływ, więc granitowa droga prowadziła między oblepionymi wodorostami skałami i ubitym piaskiem, pomarszczonym przez wodę. Gdzieś w promieniach słońca błyszczały płytkie sadzawki.

Gdy znalazła się na grobli, zobaczyła, jaki ruch panuje na nabrzeżu w Trezance. Przy statkach, zacumowanych w kanale, niezależnie od tego, czy akurat był przyływ czy odpływ, zawsze było dużo pracy. Wkrótce zauważono jej pojawienie się i dostrzegła, jakie wywołało to poruszenie. Widocznie wieść o jej przybyciu do zamku rozeszła się po mieście, bo widziała, jak pokazywano ją palcami i coś między sobą szeptało. Choć miała na sobie amazonkę Seleny, wiedziała, że nikt nie wziął jej za ducha pierwszej lady Carismont, bo Bessie zdążyła jej opowiedzieć nawet to, że kiedy Selena wybierała się na przejażdżkę zawsze rozpuszczała swoje długie, rude, kręcone włosy. Dzięki tęgemu bardzo łatwo można ją było rozpoznać, nawet z daleka. Selena jeździła z rozpuszczonymi włosami również po Hyde Parku, gdzie wywoływało to nie lada sensację, bo z reguły tylko kobiety pewnej profesji pokazywały się publicznie z rozpuszczonymi włosami. Kate była mniej więcej w połowie grobli; kiedy usłyszała bicie w dzwony. Niesamowite i przytłumione, rozległo się

cztery razy spod wody skądś zza wyspy, a potem umilkło. Słyszeli je wszyscy na nabrzeżu, a także klacz Kate, która zareagowała lekkim spłoszeniem się. Kate brała wprawdzie pod uwagę możliwość gwałtownego przyboru wody na wiele godzin przed porą przyływu, ale morze było bardzo spokojne i ciche, nie słychać było nawet najdalszego, złowrogiego poszumu fal. Stopniowo powróciły zwyczajne odgłosy morza i pobliskiego miasteczka, a Kate udało się nakłonić nieco oporną klacz do stępa.

Kiedy znalazła się bliżej kanału, zrozumiała, dlaczego Trezance zbudowano właśnie w tym miejscu. Kanał był głęboki i zawsze żeglowny, a równocześnie na tyle oddalony od otwartego morza, że nie docierały tu ani sztormy, ani morscy rabusie. Podjeżdżając bliżej Kate ściągnęła cugle. Znajdowała się w miejscu, gdzie stał przystrojony maik, a pobliski szkuner zacumowany był tam, gdzie widziała złotą łódź. W pobliżu był też kamień z wyrzeźbionymi znakami runicznymi; a kiedy spojrzała na drugą stronę grobli, zobaczyła wgłębienie w ziemi pozostawione przez drugi kamienny słup, przeniesiony przez ojca Gerenta na pagórek.

Ogarnęło ją dziwne uczucie. Takie samo, jak wtedy, gdy brała ślub z Gerentem w domu przy Berkeley Square. Ktoś ją obserwował! Ludzie na nabrzeżu wciąż się jej przyglądali, ale to nie ich wzrok czuła na sobie. Był tu jeszcze ktoś; ktoś, kto miał złe intencje, czaił się... Nagle wyraźnie odczuła, że nie chronią jej runy, bo odniosła przemożne wrażenie, że jest zupełnie bezbronna.

W powietrzu rozległ się szept Seleny.

- Obydwoje przyjdą do mnie i będę miała wszystko, czego pragnę. A tobie, najdroższa Kate, nie zostanie nic, nic a nic.

Przez ułamek sekundy - zbyt krótko, by można było mieć pewność - Kate ujrzała Selenę. Nie pod postacią lawendowego światełka, ale prawdziwą. Ubrana w olśniewającą suknię, połyskującą jak brylantową kolia, z rudymi włosami rozwiewanymi przez lekką, morską bryzę, z taką zajadłością spo-

glądała fiołkowymi oczami na swą następczynię, że aż ujęło jej to urody. Obraz natychmiast zniknął i Kate nie była już pewna, czy w ogóle coś widziała. Tylko w powietrzu wciąż unosił się szept Seleny.

- Obydwoje przyjdą do mnie i będę miała wszystko, czego pragnę. Ale tobie, najdroższa Kate, nic nie zostanie, nic a nic... nic a nic... nic a nic...

Kate skierowała klacz ku zejściu z grobli na nabrzeże i przejechała przez plac, czując na sobie spojrzenia mieszkańców miasta. Niektórzy goście gospody „Pod Wodnicą” wyszli aż na próg, by popatrzeć na nową lady Carismont, wiele oczu obserwowało ją także zza firanek domów, czego była w pełni świadoma. Podkowy zastukały o bruk, kiedy oddaliła się od nabrzeża, gdzie stał już gotowy przystrojony maik, i skierowała się wąskimi uliczkami w górę, w kierunku traktu, którym dzień wcześniej przyjechali powozem. Wypatrywała starego ostrokrzewu po lewej stronie, skąd odchodziła polna droga, prowadząca na wrzosowisko. Bessie powiedziała jej, że na tej ziemi gospodaruje jej ojciec, a polna droga okrąża posiadłość Denzila Portreatha w Polwithiel, by sporo dalej połączyć się z głównym traktem.

W końcu zobaczyła ostrokrzew i kiedy skręciła w polną drogę głośny stukot końskich podków zastąpił cichszy odgłos. Wspinająca się pod górę, drogą z obu stron porośniętą wysokimi żywopłotami. Przejechawszy przez podwórze w obejściu ojca Bessie, gdzie kurczaki z piskiem rozbiegły się na wszystkie strony, Kate znalazła się na wrzosowisku. Skowronki śpiewały, wisząc wysoko nad jej głową, gdy zmusiła klacz do galopu, podążając szlakiem, biegnącym pośród złotych kolcolistów i kępek czarnych jagód. Z prawej strony wrzosowisko opadało i kilka razy między drzewami mignęły jej kominy i zakończone blankami wieże Polwithiel, ale nie przekraczała granic majątku, cały czas znajdując się na ziemi, należącej do Gerenta.

Przejażdżka wprawiła ją w stan radosnego ożywienia i prawie zapomniała o wszystkich przykrych sprawach.

W końcu ujrzała przed sobą rozwidlenie dróg, o którym wspomniała Bessie. Skręciła w prawo i dotarła do szczytu wzgórza, za którym powinien bieć trakt, prowadzący z powrotem do Trezance. Ale kiedy przejechała na drugą stronę, stwierdziła, że porośnięty sosnami pagórek z kamiennym słupem znajduje się między nią a traktem. Ściągnęła cugle, uświadomiwszy sobie, że na rozwidleniu dróg źle skręciła. Rozejrzała się wkoło i doszła do wniosku, że bez trudu dotrze do traktu i tędy. Poza tym intrygował ją kamień i chciała się przekonać, jak bardzo jest podobny do swego dawnego towarzysza. Zjechała więc wolno z wrzosowiska, a potem ruszyła ku pagórkowi, który na szczycie był zupełnie płaski, jakby w zamierzonych czasach teren wyrównano.

W sosnach szeptał lekki wietrzyk, pogoda była śliczna. Kate przystanąła obok kamienia, by przyjrzeć się znakom runicznym. Zobaczyła tajemnicze zaklęcie, Yt X *i* < , ale były tu też inne napisy, których nie rozumiała, a które mogły znaczyć wszystko. Gdy zsiadła z konia, by przyjrzeć im się bliżej, nagle rozległ się zaniepokojony głos kukulki.

- *Och, na świętą ciotkę Tristana! Uważaj! Uważaj!* Szybko rozejrzała się, ale w pierwszej chwili niczego nie

dostrzegła. Zaraz potem wypatrzyła na jednej z sosen przejętego ptaka.

- *Zbliża się! Zbliża się!* - Kukulka sfrunęła, by przysiąść na kamieniu, ale źle wycelowała i musiała zrobić jeszcze jedno okrążenie, by wylądować z

właściwą gracją. Westchnęła z ulgą, że manewr jej się udał, a potem

odwróciła się w stronę Kate, by na nią spojrzeć. - *Nie powinno cię tu być! Nie, na wszystkie dżwony Lonii! Nie wiesz, że znajdujesz się na terenie Polwithiel? On o tym wie i zaraz tu będzie.*

Złe skręciła na rozstaju dróg, to było jasne, Ale nie sądziła, że w ten sposób przekracza granicę Polwithiel! W tej samej chwili, kiedy Kate to sobie uzmysłowiła', coś zwróciło uwagę klaczy. Lekko zastrzygła uszami i spojrzała w stronę, z której dopiero co nadjechały. Zbliżał się do nich konno jakiś dżentelmen. Miał na sobie zielony surdut i spodnie z kre-

mowego sztruku, a chociaż twarz zasłaniało mu rondo kapelusza, wiedziała, że to Denzil Portreath. Kukulka była zaniepokojona.

- Me ufa; *mu! Nie pozwól mu obudzić w sobie najmniejszych wątpliwości! Słyszysz? Najmniejszych wątpliwości! Idź za głosem instynktu!*

-Ale...

Nie było czasu na zadawanie pytań, bo kukulka zwyczajnie wystraszyła się Portreatha.

- *Och, na parchy Mordreda! Uważaj! Uważaj!* - I odfrunęła pospiesznie, zostawiając Kate samą. Druga lady Carismont poczuła się bardzo niepewnie. Odruchowo położyła dłoń na pięciu znakach runicznych, chociaż wiedziała, że jednocześnie chronią one tylko dwie osoby, w tej chwili Justina i Genevre. Portreath ściągnął wodze konia u stóp pagórka.

- Lady Carismont? - powiedział, zdejmując kapelusz i kłaniając jej się sztywno. Promienie słoneczne padły na jego jasne włosy. Kiedy mierzył ją wzrokiem, zorientowała się, że poznał amazonkę Seleny.

Lekko skinęła głową, starając się zachowywać naturalnie i swobodnie.

- Witam, panie Portreath.

- Nie, żebym był drobiazgowy, ale może powinienem zwrócić pani uwagę, że znajduje się pani na terenie Polwithiel.

- Naprawdę? Nie miałam o tym pojęcia. - Wydał jej się zupełnie pozbawiony uroku, nadal zachowywał się tak chłodno, jak przed gospodą „Pod Wodnicą”. A jednak Selena kochała go do szaleństwa.

- Nie przeszkadza mi to, że przekroczyła pani granice mojej posiadłości - ciągnął - ale przypuszczam, że pani mąż byłby innego zdania, gdyby się o tym dowiedział.

Poczuła na sobie zimne spojrzenie jego zielonych oczu.

- Panie Portreath, nie wiedziałam, że znalazłam się na terenie pańskiej posiadłości. Jechałam tak, jak prowadziła mnie droga.

-Jakiś kilometr stąd drogi się rozwidlają. - Wskazał ręką za siebie - Ta, która odchodzi w lewo, omija granice mojej posiadłości i łączy się z głównym traktem dwieście metrów dalej.

- Rozumiem. Cóż, mam nadzieję, że wybaczy mi pan to wtargnięcie. Podjechał bliżej.

- Słowo „wtargnięcie” świadczyłoby o pewnej wrogości pani postępowania, milady, a jestem pewien, że w tym wypadku tak nie jest.

- Z całą pewnością nie. - Nie miała zamiaru wdawać się w rozmowę z kochankiem Seleny, ale jednocześnie bardzo chciała zapytać go o Michaela. Ale jak poruszyć ten temat?

Kiedy ściągnął cugle i zsiadł z konia, nie mogła udąć, że nie widzi szramy, pozostawionej na jego policzku przez szpadę Gerenta. Uśmiechnął się lekko.

- Lady Carismont, pani pojawienie się tutaj wzbudziło pewną sensację.

- A czemuż to? Przecież minęły już dwa lata od...

- Rzeczywiście to już dwa lata - przerwał jej - ale i tak to zaskakujące. Widzi pani, wszyscy uważali, że nikt nie jest w stanie zastąpić pierwszej lady Carismont. Ale oto jest tu pani, stanowiąc żywy dowód, że stało się jednak inaczej.

Kate czuła coraz silniejszą antypatię do swego rozmówcy.

- Panie Portreath, nie myślę o sobie jak o kimś, kto miałby kogokolwiek zastąpić.

Znów obrzucił spojrzeniem jej amazonkę, która stanowiła jawne zaprzeczenie słów Kate, ale powiedział jedynie: - Widzę, że panią dotknąłem, co nie było moim zamiarem. Czyżby? Była skłonna uważać inaczej. W tym mężczyźnie było coś takiego, co od pierwszej chwili wzbudzało niechęć; coś, co kazało zastanawiać się nie tylko nad tym, dlaczego Selena wybrała go sobie na kochanka, ale również, dlaczego Michael się z nim przyjaźnił.

- Lady Carismont, nie ukrywam, że nie lubię pani męża. Prawdę mówiąc, wrogość, istniejąca między Carismontami i Polwithielami, jest bardzo głęboka.

I681

- Zorientowałam się.
- Czy powiedziano pani, co jest tego powodem? Chyba nie zamierza powiedzieć jej o swoim romansie z Seleną? Kate była wstrząśnięta.
- Ponieważ Selena wolała obdarzać swymi wdziękami mnie, a nie jego. Kate poczuła się znieważona. Myślał, że wyjawil jej coś, o czym nie wiedziała, i nie miało dla niego żadnego znaczenia, jakie wrażenie może wywołać taka informacja. Nie czuł również zażenowania, mówiąc o takich sprawach z kobietą, której prawie nie znał. Jeśli Denzil Portreath miał jakieś zalety, to bardzo dobrze je ukrywał... być może ujawniał je tylko jako kochanek. Zdecydowanie nie był dżentelmenem!
- Zaszokowałem panią - mruknął.
- Owszem. Czy zawsze ma pan w zwyczaju być taki bezpośredni w rozmowach z kobietami?
- Nie. Zachowałem się nieodpowiednio i muszę prosić panią o wybaczenie. Ale p^o powiedziawszy, posuwam się do niedyskrecji, ponieważ sprawa ta ciągle bardzo mnie boli. Sądząc po pani reakcji, śmiem twierdzić, że Carismont wyjawil pani przyczynę swojej kłótni ze mną.
- Owszem - przyznała.
- Patrzył na nią w zamyśleniu swymi zielonymi oczami, jakby próbował ją oszacować.
- Jestem jednak pewien, że chociaż powiedział, że byłem kochankiem Seleny, nie wyjawil pani całej prawdy, na temat tego, co wydarzyło się tamtej nocy, kiedy utonęła.
- Do czego on zmierza? - zastanawiała się Kate.
- Nie wątpię, że nie pozostawi mnie pan długo w niewiedzy - odparła drwiąco.
- Niewyraźny uśmiech pojawił się na jego twarzy.
- Tak, chociaż obawiam się, że to, co powiem, nie postawi pani męża w dobrym świetle.
- Nie spodziewam się niczego innego, mając pana za informatora - odparła.
- Lady Carismont, bardzo kochałem Selenę, a ona kochała

mnie. Tamtej nocy, gdy utonęła, zamierzała od niego odejść i zamieszkać ze mną, ale on nie chciał nawet o tym słyszeć. Próbował zamknąć ją w jej sypialni, ale udało jej się wymknąć. Ścigał ją, kiedy rozpoczął się przyływ. I wówczas porwała ją woda. Kate przyjrzała mu się badawczo.

- Ma pan rację, rzeczywiście nie tak przedstawiono mi wypadki tamtej nocy.

- Carismont był winien śmierci Seleny i dlatego wyzwalem go na pojedynek. Blizny na twarzy, będące tego pamiątką, będę nosił do końca życia. - Dłonią w rękawiczce dotknął białej szramy na swym policzku.

- O ile dobrze wiem, to na pojedynek wyzwiał pana mój mąż, a zrobił to, ponieważ pan i Selena mieliście zamiar nadal romansować za jego plecami. Poczul się tym dotknięty.

- Jeśli Selena była niewierną żoną, to tylko dlatego, że on był okrutnym i nieczulym mężem. Wkrótce przekona się pani o tym na własnej skórze. Och, nie wątpię, że na razie Gerent stanowi uosobienie czaru i jest najdelikatniejszym i najbardziej wrażliwym kochankiem, jakiego można sobie wymarzyć, ale to się skończy, proszę mi wierzyć. Ogarną panią wątpliwości na temat mnie i Seleny, kiedy przekona się pani, jakim potworem jest w rzeczywistości Gerent Fitzarthur.

Kate miała już tego dosyć. Pytania dotyczące Michaela, które tak bardzo chciała mu zadać, pozostaną bez odpowiedzi.

- Nie zamierzam dłużej tego słuchać, panie Portreath. Przepraszam, że naruszyłam granice pańskiej posiadłości, zapewniam pana, że więcej to się nie zdarzy-. Żegnał pana. -Ujęła wodze i odwróciła się do swego konia.

- Oczywiście ma pani do tego pełne prawo, lady Carismont - powiedział - ale mam teraz czyste sumienie, bo poznała pani prawdę.

Już miała dosiąść konia, ale słysząc te słowa, zmieniła zamiar i odwróciła się w jego stronę.

- Czy również wyjawi mi pan prawdę o śmierci mojego pierwszego męża?

Tym pytaniem zaskoczyła go kompletnie.

- Pani pierwszego męża? - powtórzył.

- Michaela Kingsleya. Zakładam, że to pan jest tym Denzilem Portreathem, który napisał do mnie o pojedynku?

Nie odpowiedział, wyraźnie zmieszany.

- Panie Portreath?

W końcu skinął głową.

- Owszem, milady, napisałem do pani. Michael Kingsley był moim dobrym przyjacielem. Muszę powiedzieć, że jestem teraz niewymownie wstrząśnięty, że to właśnie pani poślubiła Carismonta.

- Wstrząśnięty? A czemuż to?

- Z tej prostej przyczyny, milady, że mężczyzna, który jest teraz pani mężem, był przeciwnikiem Michaela w tym pojedynku. Michael okazał się na tyle nierozważny, by powiedzieć Carismontowi o mnie i Selenie. Gerent Fitzarthur uważa, że posłańców, którzy przynoszą złe wieści należy zabijać, milady, i dokładnie to zrobił tamtego ranka na Putney Heath, kiedy z premedytacją wystrzelił, zanim padła komenda. Michael Kingsley został zamordowany przez człowieka, z którym teraz dzieli pani łóżce.

Rozdział 21

Słowa Portreatha były dla Kate takim szokiem, że omal nie zemdlą. Mignęły jej przed oczami obrazy z przeszłości. Dzień, w którym Michael jej się oświadczył, ślub w katedrze w Hereford, ich noc poślubna w Walii, radość, kiedy urodził się Justin. Przypomniała sobie wstrząs, jakiego doznała, kiedy sprawy zaczęły się źle układać, swój smutek, kiedy pogodziła się z tym, że Michael już nigdy nie będzie takim mężem, jak na początku ich małżeństwa i - w końcu - rozpacz, kiedy się dowiedziała o jego śmierci... Zupełnie jakby obrazy te były rzucane przez *laterna magica*. Musiała się przytrzymać lęku siodła, żeby nie upaść.

W końcu zmusiła się, żeby znów spojrzeć na Portreatha.

- A więc to Michael powiedział Gerentowi o romansie Seleny z panem? - powtórzyła z wahaniem.

- Tak. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi i nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic.

Przypomniała sobie słowa Gerenta... *byłem tak zaślepiony gniewem, że mógłbym rzucić się do gardła zarówno memu informatorowi, jak i Portreathowi. Ale przecież nie zabija się posłańca dlatego, że przynosi złe wieści, zostawiłem go więc chrapiącego w jego kwaterze...* Zabić posłańca. Użył tego samego zwrotu, ale kto mówi prawdę? Gerent? Czy Denzil Portreath?

Portreatha ośmieliło jej milczenie.

- Więc, milady, rozumie pani teraz moje zdumienie na wieść o pani powtórnym małżeństwie.

- Gerent nie miał pojęcia, że...

- Że mężczyzna, którego zabił, był pani mężem? Może się pani ze mną nie zgodzić, ale śmiem wątpić. Podejrzewam, że do poślubienia pani skłoniły go wyrzuty sumienia, bo z całą pewnością nie dorównuje pani urodą Selenie, a jeśli jest pani wdową po Michaelu, nie może pani również być bogata.

Och, jak okrutnie i przekonująco, pomyślała, przypomniał jej, jak nieodpowiednią jest kobietą, by nosić tytuł lady Carismont! A jednak głęboko w duszy coś jej mówiło, że to Gerent powiedział prawdę, a nie Denzil Portreath. Poza tym była jeszcze kukulka - ostrzegła ją przecież, żeby nie ufała temu człowiekowi.

- Nie wierzę panu, panie Portreath. Gerent do dziś nie zna nazwiska mężczyzny, który powiedział mu o panu i Selenie. Zostawił go śpiącego w jego kwaterze. Wierzę mu, nie jest zdolny do takiego zachowania, jakie próbuje mi mu pan przypisać.

- Najwyraźniej słabo zna pani swego męża, milady. Wyjawiłem pani prawdziwe okoliczności śmierci Seleny, a teraz powiedziałem pani również, jak zginął Michael.

- Jeśli wiedział pan, kto był przeciwnikiem Michaela w pojedynku, dlaczego nie napisał pan o tym w liście do mnie? - spytała, nie poddając się.

- W chwili pisania listu nie miałem o tym pojęcia. Dowiedziałem się niedawno. Zdaje się, że pewnego wieczoru Carismont nieco sobie popił w gospodzie „Pod Wodnicą” i komuś to wyjawił. Znają tę historię wszyscy mieszkańcy Trezance.

Jakoś Kate nie potrafiła sobie wyobrazić pijanego Gerenta w gospodzie „Pod Wodnicą” ani w żadnych innych okolicznościach.

- Śmiem przypuszczać, że to pan zadbał o to, żeby właśnie taki przebieg wypadków poznało całe miasto.

- Jaki miałbym w tym cel?

- To proste, żeby zniesławić Gerenta. Portreath zaśmiał się krótko.

- Sam się o to wystarczająco dobrze stara - mruknął.

- Nadal panu nie wierzę. Wyciągam wnioski z tego co wi-

dzę, a widzę, że jest pan złym człowiekiem. Natomiast lord Carismont, obecne mój drugi mąż, zawsze zachowywał się wobec mnie bez zarzutu. Przyjrzał się jej uważnie, a potem roześmiał się z niedowierzaniem.

- Wielki Boże, pani go kocha! Uważałem, że to małżeństwo z rozsądku, ale pani naprawdę go kocha!

Zarumieniała się.

- Moje małżeństwo to nie pana sprawa, panie Portreath.

- Być może, lady Carismont, ale okoliczności pierwszego małżeństwa Carismonta to z całą pewnością moja sprawa. Selena była najslodsza, najrozkoszniejsza, najbardziej zachwycającą istotą, jaka kiedykolwiek stąpała po tej ziemi, a Carismont ponosi winę za jej śmierć.

Kate wytrzymała spojrzenie jego zielonych oczu.

- Najslodsza, najrozkoszniejsza, najbardziej zachwycającą istotą? Musi mnie pan uważać za skończoną idiotkę. Selena, którą ja spotkałam, z całą pewnością taka nie jest!

Zapadła cisza.

- Selena, którą pani spotkała? Z całym szacunkiem, madame, ale Selena od dwóch lat nie żyje.

- Są zmarli i zmarli, jak niewątpliwie świetnie pan wie. Powiedzmy sobie to otwarcie. Selena pochodzi z Lonii, a tamtej nocy, kiedy utonęła, nie uciekała od Gerenta, żeby zamieszkać z panem, tylko próbowała zrobić wszystko, co możliwe, żeby go zatrzymać. Nie chciała tracić niczego. Chciała móc wymykać się ukradkiem do pana, by cieszyć się pańskimi pieścizotami, a zarazem zachować tytuł lady Carismont razem ze wszystkimi przywilejami i bogactwem, jakie się z tym wiążą. Gerent dowiedział się o waszym romansie, musiała więc natychmiast wracać do Carismont, by ratować swoje małżeństwo. Teraz chce zmusić córkę, by zajęła jej miejsce, żeby ona sama mogła wrócić do pana. Tak wygląda prawda o najslodszej, najrozkoszniejszej, najbardziej zachwycającej istocie, z którą miał pan taki płomienny romans...

- Nie wiem, o czym pani mówi - powiedział, unikając jej wzroku. - Łonia to mityczna kraina i...

- Och, proszę mnie nie traktować jak głupiej! - wykrzyknęła Kate. - Doskonale pan wie, o czym mówię. Wprawdzie wtedy, przed gospodą „Pod Wodnicą”, nie zrozumiałam,

O Czym rozmawiał pan z Gerentem, lecz teraz rozumiem to doskonale. Selena chce, żeby udał się pan do niej do Lonii, ale pan woli zostać tutaj. Więc żeby pana odzyskać, musi zwabić do Lonii biedną Genevrę. Dziś w nocy Selena będzie miała ostatnią okazję w tym roku, bo księżyc będzie w pełni, a przypływ wyjątkowo wysoki. Proszę spojrzeć mi w oczy, panie Portreath, jestem pewna, że to, co powiedziałam, nie jest dla pana żadną nowością!

Przestał już udawać, że jest zdumiony.

- No, no, jaki gadatliwy okazał się Carismont! Nie myślałem, że zaryzykuje takie oskarżenia i że w swoim szaleństwie opowie o Lonii.

- Panie Portreath, on i ja nie tylko się kochamy, ale również sobie ufamy.

- Jakie to urocze - zauważył sucho.

- Kocha pan Selenę? - spytała. Nie odpowiedział.

- Czy kocha pan Selenę? - powtórzyła pytanie.

Ku jej zdumieniu odwrócił wzrok, a potem skinął głową.

- Tak, kocham ją, cokolwiek to znaczy.

- W takim razie dlaczego nie robi pan tak, jak nakazywałaby miłość, a także honor, to znaczy nie podąży pan za nią?

- Honor?

- Tak! Bo czy uczciwe jest zmuszanie siłą, aby poszło do tamtego świata dziecko, które chce zostać tutaj ze swym ojcem? Uważam, że i pan, i Selena jesteście godni pogardy

1 w pełni na siebie zasługujecie.

Jej słowa osiągnęły zamierzony'ceL

- Być może, ale czy pani poszłaby do Lonii? Nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Gdyby to był jedyny sposób, żeby być z Gerentem, tak,

poszłabym tam bez wahania. I z całą pewnością nie wciągałabym w swoje sprawy innych, tak jak pan i Selena wciągają Genevrę i Gerenta.

- Łatwo powiedzieć.

- Być może, ale nie umniejsza to prawdziwości moich słów. Spojrzał jej prosto w oczy.

- A co z pani synem? Bo domyślam się, że chłopiec jest pani synem? Kazałaby mu pani iść ze sobą? Czy też pozostawiłaby mu pani wybór? A gdyby nie zechciał pani towarzyszyć? Co wtedy? I tak odeszłaby pani i zostawiła go na tym świecie zupełnie samego?

- Naturalnie, że nie...

- A więc widzi pani. Łatwo jest coś twierdzić, ale nie zawsze łatwo zamiar wprowadzić w czyn.

Przyjrzała mu się badawczo.

- Tak, ma pan rację, ale mimo wszystko niezbyt dobrze pan wie, co to jest prawda, chyba się nie mylę?

- Wciąż pani nie wierzy w śmierć Michaela z ręki Ca-rismonta?

- Nie wierzę - powiedziała cicho. - Należy pan do ludzi, którzy powiedzą i zrobią wszystko, by zaszkodzić innym.

- Więc. nie żałuje pani, że poślubiła pani Gerenta?

- Nic a nic, - Dosiadła klaczy. Portreath nawet nie próbował jej pomóc. Ujęła wodze, a potem spojrzała na niego z góry i powtórzyła raz jeszcze: - Pan i Selena w pełni na siebie zasługujecie.

Uklonił jej się chłodno, a ona lekko uderzyła klacz piętami i odjechała ze wzgórza. Dobięgl ją jego kpiący głos.

- O zachodzie słońca będę na nabrzeżu, milady, i pozostanę tam, by być naocznym świadkiem tego, co się wydarzy. Proszę mi wierzyć, że nie odejdę, aż będzie po wszystkim.

Jadąc przez Trezance, gdzie dzieci ćwiczyły taniec wokół przystrojonego maiku, powstrzymywała łzy. Starzec z fujarką grał „Nasz maik zielony”.

Wjechała na grobę, wciąż starając się nie płakać, mimo że tak bezceremonialnie opowiedziano

jej o okolicznościach śmierci Michaela. Kiedy opuściła wzgórze, ogarnął ją bezbrzeżny smutek, a obrazki z magicznej latarni wciąż przesuwaly jej się przed oczami. Powrócił ból po stracie Michaela, ale zarazem tliło się w niej poczucie winy z powodu miłości, jaką obdarzała teraz Gerenta. Jej wiara w niego nie uległa zachwianiu w najmniejszym stopniu. Być może знаła go od niedawna, ale czuła się tak, jakby nosiła go w swym sercu zawsze.

Rewelacje Portreatha na temat pojedynku nie poskutkowały żadnymi wątpliwościami Kate, może poza jedną: kim był przeciwnik Michaela na Putney Heath. Ostro ściągnęła wodze, będąc już w trzech czwartych drogi na wyspę. Aż do dziś wierzyła, że przeciwnikiem tym był nieznajomy, z którym pokłócił się po pijanemu. Ale jeśli, a w to skłonna była uwierzyć, Michael zginął, ponieważ ujawnił romans Seleny z Portre-athem, kto miał wystarczające powody, żeby go zabić? Gerent mógł żywić urazę, ale nie zabić, a w każdym razie nie Michaela. Była oczywiście sama Selena, ale Michael nie zmierzył się w pojedynku z kobietą, zresztą Selena utonęła kilka dni przed jego śmiercią. Pozostawał Portreath. I jeśli ktoś był zdolny do takiego czynu, to tylko właściciel Polwithiel.

Romans Portreatha z Seleną na pewno nie był czymś, o czym należałoby rozpowiadać, i rzeczywiście Michael mógł być jedyną osobą, której Portreath się z tego zwierzył, a skoro tak, to nie mógł mieć wątpliwości, skąd Gerent wie o wszystkim. Wściekły z bólu po utracie Seleny i upokorzony pojedynkiem z Gerentem tutaj w Kornwalii, Portreath prawdopodobnie pojechał do Londynu, by spotkać się z Michaeliem.

Kate zaczerpnęła głęboko powietrza, bo co innego podejrzewać, a co innego udowodnić. Nagle od strony pomostu dobiegł ją głos Justina.

- Mamo! Mamo!

Osloniła oczy ręką i zobaczyła go podnoszącego się z ziemi, by pomachać jej bambusową laską. Nadal był z nim lokaj, ale teraz także Genevra i Belerion. Ciągłe bawili się złotą łódką, a Genevra i lokaj śmiali się właśnie z czegoś swobod-

nie. Kate tak ucieszył ten widok, że od razu poczuła się podniesiona na duchu, odsuwając od siebie przeszłość. W tym cudownym miejscu liczyła się tylko teraźniejszość i przyszłość.

W pobliżu usłyszała znajomy trzepot skrzydeł i oto tuż przed nią na groble sfrunęła kukułka. Złożyła skrzydła, pokiwała ogonem, a potem przechyliła łepiek na bok, by lepiej na nią spojrzeć.

- *Uważam, że masz rację!*- usłyszała Kate, chociaż kukułka nie otworzyła dziobu.

- Rację? W jakiej sprawie?

- *W sprawie winy Portreatha. Tak, na podwiazkę Ginew-ry, jestem pewna, że masz rację.*

- Och, o tym mówisz. - Kate była zaskoczona, że kukułka potrafi czytać w jej myślach.

- *Już wcześniej opowiedziałabym ci więcej, gdybym mogła przypuszczać, że tak dużo rozumiesz. Myślałam, że najskuteczniejsze będzie powtarzanie, w kółko pojedynczych słów w nadziei, że któreś dotrze do twojej tępej, ludzkiej głowy. Ale, na wszystkie syreny Zennoru, jesteś istotą bardzo wrażliwą, prawda?*

- Chyba tak.

- *No tak, chodzisz we śnie. Ludzie, którzy to robią, silniej od innych czują obecność Lonii.*

- Ptak znów kiwnął ogonem, po czym rozprostował jedno skrzydło i podniósł jedną nogę. - *Bessie może coś wiedzieć o Portreacie i pojedynku* - powiedział.

- Nie sądzę, żeby Bessie miała teraz z nim coś wspólnego - odparła Kate, nie mogąc jednocześnie uwierzyć, że oto stoi sobie tak zwyczajnie na środku grobli i rozmawia z kukułka.

- *Brat Bessie, Jan, pracuje w Polwithiel i cieszy się zaufaniem Portreatha, a Jan i Bessie są ze sobą blisko. Zapytaj Bessie.*

- Tak, wiem o Janie. Dobrze, zapytam Bessie. - Kate urwała. - Czy masz jakieś imię? - spytała po chwili.

Ptak dumnie wypiął pierś.

- *Nazywam się Curnow i jestem jednym z dwóch strażników Lonii. Drugim jest Belerion*

- oświadczył z dumą.

- To twoja podobizna jest na herbie, prawda?

- To zwykłe miejsce naszego pobytu.

- A jaką rolę odgrywa złota łódź? - spytała Kate.

- Zabiera wszystkich nowych przybyszów do Lonii. Zabierze też Genevrę, jeśli Selena dopnie swego.

- A Belerion został wysłany po Selenę, kiedy w 1806 roku opuściła Lonię, tak?

- Tak. Miał zrobić wszystko, co w jego mocy, by sprowadzić ją z powrotem, ale okazała się zbyt sprytne. Nie zbliżyła się do morza. Potem, kiedy w końcu noga jej się powinęła, musiał tu zostać, żeby czuwać nad Genevrą. A teraz i ty tutaj jesteś, więc muszę mu pomagać. Może się uważać za mądrego, bo jest lampartem, ale pomoc kukułki jest mu potrzebna. Okropnie go to złości, tak, na magiczny pas Ga-waina, okropnie! - Curnow zachichotał.

- Kim jest Selena? To znaczy, kim jest w Lonii?

- Jest kimś więcej niż pokojówką, która zbyt dużo nauczyła się o czarach. Z pewnością słyszałaś o pani, której kiedyś służyła. Było jej na imię Izolda, miała poślubić króla Marka, ale wypita czarodziejski napój i zakochała się w Tristanie.

Kate zdziwiła się.

- Czy to znaczy, że Tristan i Izolda istnieli naprawdę? Curnow spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Naturalnie, że istnieli! Wszyscy myślą, że to druga pokojówka Izoldy, Brangien, podała jej napój miłosny. Ale to nie ona, tylko Selena. Chciała mieć króla Marka dla siebie. I wciąż chce. Widzisz, ona myśli, że Portreath jest królem Markiem. Chyba rzeczywiście trochę go przypomina. - Curnow westchnął głęboko.

A więc to dlatego Selena związała się z Denzilem Port-reathem, pomyślała Kate.

- No cóż, wystarczy tego gadania. Na paluch Bedivere'a, gdyby Belerion widział, jak tu sobie z tobą gawędzę, nie uwierzyłby własnym oczom. - Powiedziawszy to, Curnow znów odfrunął, ale zawołał jeszcze do niej przez rozłożone skrzydło: - Spytaj Bessie o Portreatha. Jej brat Jan nie ma przed nią żadnych tajemnic!

Rozdział 22

Kate ruszyła dalej. W miarę, jak zbliżała się do bramy, zapach kwiatów stawał się coraz intensywniejszy i kiedy wjechała na wyspę i skierowała się ku zamkowi otulał ją pachnąca mgiełka.

Zastąpiła Justina i Genevrę czekających tam, gdzie podjazd skręcał w stronę pomostu. Lokaj pozostał nad wodą z Bele-rionem i złotą łódką, w której został umieszczony kot z różowego aksamitu. Dzieci miały rozradowane miny i były trochę ubrudzone. To zupełnie naturalne podczas zabawy, pomyślała Kate, ściągając wodze.

- Czy mam rozumieć, że się zaprzyjaźniliście? - spytała. Justin skinął głową, a Genevra podeszła bliżej i poklepała klacz. Oczy jej błyszczały i miała zaróżowione policzki.

- Tak - powiedziała. - Cieszę się, że tu przyjechaliście, naprawdę. Jest o wiele weselej, kiedy nie jest się bez przerwy samą i można się z kimś pobawić.

Justin jeszcze raz skinął głową.

- Całkowicie się z tym zgadzam - oświadczył z przekonaniem.

- Bardzo się cieszę, że się nawzajem polubiliście.

- Nie musimy iść teraz na lekcje, prawda? - spytał Justin, na co Genevra dała mu kuksańca w bok, zła, że w ogóle przypomniał o nauce.

Kate się uśmiechnęła.

- Nie, dziś nie. Może nawet do końca tygodnia, ale obawiam się, że od poniedziałku oboje będziecie musieli zostać wzorowymi uczniami. Więc jeśli nie chcecie, żebym zmieniła zdanie, wracajcie lepiej do zabawy.

Nie musiała tego powtarzać dwa razy. Zbiegli na pomost, a Kate ruszyła dalej.

Kiedy znalazła się na dziedzińcu, minęła zarządcę, który właśnie opuszczał konno zamek. Oddalając się dotknął kapelusza i skłonił się jej. Gerent zobaczył widocznie przez okno, że wróciła, bo wyszedł jej na powitanie.

Gdy tylko ujął uzdę klaczy i spojrzał na Kate, zorientował się, że płakała.

- Co się stało? - spytał i wyciągnął rękę, by dotknąć jej dłoni.

- Naprawdę nic - odparła lekko.

- Kate, powiedz, proszę. Przecież widzę ślady łez. - Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej zsiąść z konia.

- Cóż za przenikliwy wzrok - odparła niechętnie, zeskakując na ziemię.

Objął ją.

- Dlaczego płakałaś?

- Och, wspominałam Michaela. Zdarza mi się to od czasu do czasu. Chyba... chyba ci to nic przeszkadza? To nie ma żadnego wpływu na moje uczucia do ciebie.

- Wiem o tym. - Przytulił ją mocniej. - Czy to jedyny powód? Uroniłaś łzę za swą pierwszą miłością? - Nie odpowiedziała, a on odsunął się, nadal nie wypuszczając jej z objęć. - Chodzi jeszcze o coś, prawda?

Skinęła głową i opowiedziała mu o spotkaniu z Port-reatham. Gerentowi aż oczy pociemniały ze złości.

- Niech diabli porwą tego drania! Kate, przysięgam, że nawet nie wiedziałem, że mój informator nazywał się Michael Kingsley, a jeśli chodzi o to, że to ja zabiłem go w pojedynku...

Kate położyła mu palec na ustach.

- Wiem, najdroższy, wiem. Nie uwierzyłam mu. Ujął jej rękę.

- Przysięgasz? Kate, nie zniósłbym, gdybyś mnie podejrzewała o coś tak okropnego.

- Nic, co powiedział, nie zmieniło moich uczuć do ciebie, ale z całą pewnością dało mi dużo do myślenia.

- To znaczy?

- Uważam, że to on zabił Michaela - i wyjaśniła mu, jak doszła do tego wniosku.

Gerent popatrzył na nią, a potem wolno wypuścił powietrze z płuc.

- To brzmi bardzo prawdopodobnie - powiedział cicho. Nagle przypomniała sobie o obrączce i poczuła się winna, że oddała ją Justinowi. Cieszyła się, że amazonka, którą ma na sobie, zachodzi wysoko na szyję, więc Gerent nie widzi, że znów jest bez ochrony, do której przykładał tak wielką wagę.

Curnow przysiadł na szczycie barbakanu, przypominając jej o sobie, i Kate opowiedziała Gerentowi także o rozmowie na grobli.

- *A propos*, kukulka ma na imię Curnow - dodała.

- Stara nazwa Kornwalii - mruknął Gerent, a potem znów spojrzął na Kate. - Myślę, że to bardzo prawdopodobne, że przeciwnikiem Michaela był Portreath. Uważam też, że brat Bessie może rzeczywiście o czymś wiedzieć. Ale Portreath rzucił oskarżenie, nad którym nie mogę przejść do porządku dziennego.

Serce Kate zamarło.

- Chyba nie zamierzasz znów wyzwąć go na pojedynek?

- Kate...

- Proszę, Gerencie! Błagam cię. Nie jest godzien, by stanąć z tobą do walki. Powiedział mi to wszystko, bo chciał obudzić we mnie wątpliwości, zniszczyć nasz związek, ale nie udało mu się to. Więc obiecaj mi, że nie będziesz na niego zwracał uwagi. Proszę, Gerencie, na wszystko, co ci drogie.

- *No, no!*- zauważył rezolutnie Curnow z barbakanu. Gerent spojrzął na ptaka, a potem na Kate. Przez chwilę był niezdecydowany, ale kiedy zobaczył jej błagalny wzrok, ustąpił.

- Twoja prośba jest dla mnie rozkazem.

- Czy mam twoje słowo, sir?

Skinął głową.

- Ma pani moje słowo, madame.

Curnow odetchnął z ulgą.

- *Z pojedynków nigdy nic dobrego nie wynika* - powiedział sentencjonalnie.

Kate uśmiechnęła się do Gerenta.

- Dostyc o Denzilu, chcę teraz mówić wyłącznie o przyjemnych sprawach. Na przykład dopiero co minęłam Justina i Genevrę, bawiących się razem.

- Naprawdę? - Oczy mu rozbliły. Skinęła głową.

- I trudno spotkać szczęśliwszą parę urwisów. Roześmiał się i porwawszy ją w ramiona, zakręcił nią w kółko,

- Czy pomijając spotkanie z Portreathem, przejażdżka była udana?

- Och, bardzo, Gerencie. Uważam, że Kornwalia jest najpiękniejszym miejscem, jakie znam, a Carismont... wprost bajkowe.

- A ty, moja najdroższa, urodziłaś się, żeby zostać jego panią - powiedział czule i pocałował ją w usta.

Dokładnie w tej chwili znów rozległy się dzwony Lonii, hucząc ponuro niczym zapowiedź jakichś nieszczęść. Ich bicie tak zaskoczyło Cumowa, że o mało nie spadł z dachu. Trzepocząc skrzydłami, zdołał się jednak utrzymać.

- *Och, święci pańscy! Wszyscy święci! Zbliża się niebezpieczeństwo! Dziś wieczorem tu dotrze!*

Tamtego popołudnia, kiedy ostatni wysoki przypływ w tym miesiącu minął spokojnie i woda zaczęła się cofać, Kate siedziała w oknie swojej sypialni.

Miała na sobie szlafrok, pragnąc nieco odpocząć przed zejściem o ósmej na kolację, bo o tej godzinie tradycyjnie spożywano w Carismont wieczorny posiłek.

Wyglądała przez okno. Polyskująca, niebieskozielona woda oddzielała teraz wyspę "od lądu, a grobla była ledwie widoczna, tylko jako jasna linia pod falami. Widok nie budził żadnego niepokoju, nie było w nim nic nadprzyrodzonego, nic, co mogłoby stanowić zapowiedź zbliżającego się niebez-

pieczeństwa. Na pomoście nie było już nikogo, dzieci razem z lokajem wróciły do zamku. Brama z kutego żelaza była zamknięta, Belerion leżał na trawie tuż obok, wygrzewając się w promieniach zachodzącego słońca, które padały na ten najbardziej na północ wysunięty skrawek wyspy. Co chwila strzygł uszami, spoglądając przez ażurową bramę, jakby stał na warcie - prawdopodobnie tak właśnie było. Curnow gdzieś odleciał. Po powrocie Kate z przejażdżki jeszcze raz dały się słyszeć dzwony Lonii, ale ponad godzinę temu ucichły.

Pokój Kate wyglądał teraz zupełnie inaczej. Podczas jej krótkiej nieobecności Gerent polecił, żeby do sypialni wstawiono inne meble, nie chciał bowiem, by tak wyraźnie odczuwała, że kiedyś mieszkała tu Selena. W jakimś momencie wspomniała, że w sypialni, która należy teraz do niej czuje się jak intruz, więc postanowił jakoś temu zaradzić. Wstawiono inne łóżko, z baldachimem z biało-niebieskiego jedwabiu w kwiatki, krzesła i stoliki też przyniesiono z innych zamkowych pomieszczeń. Sypialnia straciła wprawdzie swój dawny, harmonijny wygląd, nadany jej przez Selenę, ale Kate czuła się teraz w niej znacznie lepiej. Wkrótce rozpoczną wspólnie z Gerentem kompletną zmianę wystroju i wtedy pokoje naprawdę staną się jej. Na kominku płonął ogień, wiosenne noce były bowiem ciągle chłodne, ale nie unosiły się nad nim żadne iskry. Jednak coś się czuło w powietrzu; cichy szept albo echo. Kate zdawała sobie sprawę z dręczących ją obaw. Dla Seleny nadchodzące godziny były ostatnią w tym roku okazją wyrwania się z Lonii i niewątpliwie będzie próbowała zwabić Genevrę do siebie.

- Po moim trupie - mruknęła Kate.

- Czy coś pani mówiła, milady? - Bessie wyszła z gotował-ni, gdzie szykowała suknię Kate na wieczór.

- Słucham? Och, nie. Tylko myślałam na głos - odparła Kate. Ale kiedy pokojówka się odwróciła, by wrócić do swoich zajęć, Kate przypomniała sobie radę Cumowa. - Bessie, chciałam cię o coś spytać.

- Słucham panią.

- Powiedziałaś, że twój brat Jan pracuje w Polwithiel, prawda?
- Tak, proszę pani. Przynajmniej pracował. Dziś rano przysłał mi wiadomość, że wraca na nasze gospodarstwo. Zdaje się, że nie może dłużej znieść kuzyna Denzila i woli raczej urobić sobie ręce po łokcie pracując w polu, niż dalej służyć w Polwithiel. Cieszę się, że wróci do domu, bo mojemu ojcu przyda się pomocnik.

Kate uśmiechnęła się.

- Moje pytanie wyda ci się dziwne, ale może wiesz, czy kuzyn Denzil kilka dni po śmierci pierwszej lady Carismont wyjechał do Londynu?

Bessie otworzyła usta i spuściła wzrok.

- Cóż, milady, tak się akurat złożyło, że wyjechał.

- Naprawdę? - Kate aż rozprostowała plecy.

- Tak, proszę pani. Dobrze pamiętam te dni, bo wszyscy w Trezance byli wstrząśnięci śmiercią jej lordowskiej mości, i wszyscy wiedzieli, że... że ona i...

- Że ona i twój kuzyn byli kochankami? - dokończyła za nią Kate. Nie pora teraz przejmować się etykietą i niepisanymi zasadami dyskrecji wobec służby. Bessie się lekko zaczerwieniła.

- Tak, proszę pani. Wszyscy wiedzieliśmy, że właśnie dlatego jego lordowska mość i kuzyn Denzil walczyli na szpady. Tak się akurat złożyło, że kilka dni później pojechałam do domu, żeby zobaczyć się z matką. Kiedy przechodziłam obok gospody „Pod Wodnicą”, zobaczyłam Jana, siedzącego w środku. Zwróciło to moją uwagę, ponieważ było południe, a kuzyn Denzil nigdy nie pozwalał Janowi opuszczać Polwithiel, przynajmniej w ciągu dnia. Więc weszłam do środka, żeby wypić łyk rumu i zamienić ze swoim bratem kilka słów. Powiedział, że wymknął się do gospody, bo kuzyn Denzil wyjechał do Londynu, okropnie wściekły z jakiegoś powodu.

- Może przypadkiem wiesz, co było powodem jego wściekłości? - szybko zapytała Kate.

- Wiem tylko, że wyjeżdżając powiedział, iż zamierza ko-

mus dać nauczkę, którą ten ktoś na zawsze popamięta. Przynajmniej Jan twierdził, że kuzyn Denzil tak powiedział. Zamierzał dać nauczkę Michaelowi.

- Czy udało się to kuzynowi Denzilowi? Bessie wolno weszła do pokój a

- Nie wiem, czy., czy powinnam o tym mówić, proszę panu.

- Mów, Bessie, to bardzo ważne.

Pokojówka przycisnęła ręce do fartuszka, a potem skinęła głową.

- Dobrze, powiem. Kuzyn Denzil lubi swoją francuską brandy. Tamtego wieczoru, kiedy wrócił z Londynu, za dużo wypił i Jan musiał go położyć do łóżka. Jan opowiadał, że kuzyn Denzil w kółko powtarzał „Michael nie będzie już strzepić sobie języka”. I że „zadbał o to, żeby w drugim pojedynku nie przegrać. Tym razem żadnego wywijania szpadami, tylko pistolety o świcie na Putney Heath”.

Kate zamknęła oczy. Byłby to zbyt niewiarygodny zbieg okoliczności, gdyby ta informacja dotyczyła innego Michaela i innego pojedynku na Putney Heath. Denzil Portreath zabił Michaela, strzelając do niego zanim wydano komendę. Był to okrutny akt zemsty, ponieważ Michael strzepił sobie język. Oczy zaszczypały ją od łez.

Bessie spojrzała na nią, wyraźnie zaniepokojona.

- Czy stało się coś złego, proszę pani?

- Nie, to nic złego. - Kate zagryzła usta i starała się powstrzymać łzy. -

Powiedziałaś mi to, czego już wcześniej domyśliłam się sama. Bessie, powiedz, czy Jan powtórzyłby to wszystko pod przysięgą?

Pokojówka zrobiła okrągłe oczy.

- Pod przysięgą, proszę pani?

- Tak Widzisz, jestem pewna, że twój kuzyn Denzil zabił mojego pierwszego męża, który miał na imię Michael i zginął w pojedynku na Putney Heath.

Bessie pobladła.

- Pani pierwszego męża?

- Nie wiem, czy Jan usłyszał wystarczająco dużo, by można

to wykorzystać w sądzie, ale gdyby mógł przynajmniej powtórzyć to, co wie, w obecności sędziego pokoju? Jak myślisz, zgodziłby się?

- Chyba tak, proszę pani. - Po chwili Bessie skinęła głową. - Właściwie jestem tego pewna. Nie ma żadnych zobowiązań wobec kuzyna Denzila, bo zaznał w Polwithiel wiele przykrości. Kuzyn Denzil zawsze starał się dać do zrozumienia, że koszula nie jest bliższa ciału niż surdut.

Nie on jeden starał się to udowodnić, pomyślała Kate, przypominając sobie postępowanie Seleny wobec własnego dziecka.

*

Belerión smacznie drzemał na trawie obok pomostu. Wieczorne powietrze było jeszcze ciepłe, a zapach kwiatów z ogrodów zamkowych działał usypiająco. Rozleniwił się. Dziś w nocy znów będzie miał dużo pracy, więc cieszył się, że teraz nie ma nic do roboty. Zamknął swoje bursztynowe oczy i usnął.

Nie wiedział, że związano mu nogi, bo ten, kto to zrobił, zakradł się niepostrzeżenie. Nie wiedział też, że na pysk nałożono mu kaganiec. Zorientował się dopiero w chwili, kiedy Selena roześmiała mu się prosto do ucha.

- I co teraz, mój strażniku z Lonii?

*

Justin nadaşany siedział w swojej sypialni w wieży. Pierwszy raz pokłócili się z Genevrą, i to przez niego. Teraz był zbyt naburmuszony, żeby ją przeprosić, więc każde poszło do w swojego pokoju. A razem było im tak dobrze.

Po spędzeniu całego dnia na pomoście, gdzie puszczała łódkę, wrócili do zamku, by zjeść kolację w pokoju Genevry. Nie mogli dojść do porozumienia, czym się zająć potem. Genewa chciała na chwilę wrócić na pomost, a on wolał pochodzić po zamku. Powiedziała, całkiem logicznie, że już bardzo krótko będą się mogli bawić łódką, bo zaraz zrobi się ciemno, a wtedy będzie nawet jeszcze lepiej myszkować po zamku, czasu zostanie im i tak mnóstwo. Ale on się Uparł i ko-

niecznie chciał poznać zamkowe komnaty teraz. Prosiła go, lecz nie ustąpił. W końcu się pokłócili. Leżał na łóżku i gapił się na długie cienie na suficie, a Genevra prawdopodobnie robiła to samo u siebie.

Westchnął i zaczął się bawić obrączką na wstążce, którą miał na szyi. Potem ziewnął. Przyjemnie było tak sobie leżeć, wiele godzin na świeżym, morskim powietrzu odurzyło go i poczuł się zmęczony. Oczy zaczęły mu się zamykać i kilka minut później, tak jak Belerion, usnął. Ale nikt nie przyszedł go związać i zakneblować.

Tymczasem Genevra leżała na podłodze w swoim pokoju, podparłszy brodę na rękach, i próbowała czytać książkę. Zachodzące słońce skąpało wszystko w szkarłacie i złocie.

Właśnie przeczytała *Tomcia Palucha* i zabierała się do Kora w *butach*, kiedy zobaczyła pięć znaków runicznych, które niania jej ojca zapisała w książce dawno temu. Naturalnie widziała je już wcześniej, ale nie zwracała na nie większej uwagi aż do chwili, kiedy zauważyła, że takie same znaki są na jej nowym medalionie. Przynajmniej wydawało jej się, że są takie same.

Przekręciła się na wznak, rozpięła łańcuszek, na którym zawieszony był medalion, a potem znów przewróciła się na brzuch, by wygodnie podpierając się na łokciach, otworzyć medalion i porównać dwie sekwencje znaków.

Położyła otwarty medalion na książce. Napisane tam ołówkiem symbole, były niewyraźne, ale widać je było dobrze w ukośnych promieniach słońca, wpadających przez okno. Tak, z całą pewnością były identyczne. **T r X > <** Cóż mogły oznaczać? - zastanawiała się, ściągnawszy brwi. Musi spytać tatę. Znów spojrzała na książkę. *Kot w butach* to jedna z jej ulubionych bajek i zawsze czytała ją swemu różowemu kotkowi. Gdzież on jest? Rozejrzała się po pokoju, a potem przypomniała sobie, że zostawiła go w łódce, która z kolei leżała w trawie na dziedzińcu. Nie pozostawało nic innego, jak zejść na dół i przynieść kota. Westchnęła, wstała z podłogi i wybiegła z pokoju, zostawiając medalion na otwartej książce.

Kiedy znalazła się na dziedzińcu, zobaczyła wprawdzie łódkę, ale po jej pluszowym kocie nigdzie nie było śladu. Była pewna, że nie zostawiła go na pomoście, siedział nadal w łódce, kiedy razem z Justinem wynosili ją na trawę, kończąc zabawę. Ale nie było go tu, więc możliwe, że spadł gdzieś między pomostem a dziedzińcem. Westchnęła, bo naprawdę nie miała ochoty schodzić na brzeg, ale bała się zostawić tam kota. A jeśli leży w zasięgu przyływu? Wtedy już nigdy więcej nie przytuli swojej ulubionej zabawki!

Razem z Justinem nie wracali do zamku schodami, prowadzącymi do bocznej furty, ale wdrapali się po zboczu do podjazdu, więc teraz będzie musiała pójść tą samą drogą. Szybko skierowała się w stronę barbakanu. Przez jego bramę wpadały na dziedziniec promienie słońca. Po chwili obejrzała się na łódkę. Nic się nie stanie, jak popuszcza ją przez kilka minut. Justin niczego się nie domyśli, jeśli potem odłoży ją na to samo miejsce. Uśmiechając się do siebie, wróciła po łódkę, a po chwili wybiegła z zamku. Kiedy ostrożnie schodziła do pomostu, nie było tam ani śladu Beleriona. Na jego miejscu leżał jej pluszowy kotek.

Rozdział 23

Kiedy zapadł wieczór, Kate odprawiła Bessie i czekała na porę zejścia do refektarza i kolacji z Gerentem.

Stała przed lustrem i podziwiała sposób, w jaki Bessie upięła jej fryzurę. Jej twarz otaczały drobne loczki, reszta miodo-wobrazowych włosów została ściągnięta w węzeł, z którego pokojówka wysnuła kilka skręconych pasemek. Węzeł ozdabiała wstążki w tym samym odcieniu jabłkowej zieleni, co jej suknia, i wdzięcznie powiewały, gdy odwracała głowę.

Lubiła ubierać się na zielono, bo kolor ten podkreślał barwę jej oczu, a szczególnie było jej do twarzy właśnie w tym odcieniu zieleni. Jedynym minusem tej sukni było to, że odsłaniała ramiona. Gerent z całą pewnością zauważył, że nie ma obrączki, i nie będzie mu się to podobało. Jednak ona wolała mieć pewność, że nic nie grozi Justinowi.

Cichy głos kogoś, nucącego „Nasz maik zielony” ostrzegł ją, że Selena jest w pobliżu. Po chwili dostrzegła w pokoju lawendowe światełko. Krew szybciej zaczęła jej krążyć w żyłach, ale nie odwróciła się. Wzięła głęboki oddech, żeby się przygotować na rozmowę. Oddała swój amulet synowi i teraz musi przeciwstawić się Selenie mając do dyspozycji jedynie siłę woli. Najbliższe minuty będą czasem próby, bo jakkolwiek nieprzyjemną niespodziankę ma dla niej Selena, Kate musi się jej przeciwstawić.

Nucenie umilkło i Kate zobaczyła w lustrze niewyraźną, bardzo niewyraźną postać Seleny. Wyglądała prześlicznie, rudozłote loki opadały jej na ramiona, miała na sobie tę samą połyskującą suknię, w której Kate już ją widziała.

Pierwsza żo-

na Gerenta spojrzała prosto w oczy drugiej lady Carismont.

- No, moja pani - przemówiła. Tym razem Kate usłyszała ją wyraźnie, - Bardzo odważnie zrezygnowała pani z amuletu z runami, który zapobiegliwy Gerent kazał pani nosić. Zdaje się, że nie jest pani zbyt posłuszną żoną. A przynajmniej jest pani lekkomyślna.

- Nie potrzebuję amuletu z runami - odparła Kate, z całego serca wierząc, że słowa te nie trafią do annałów, w których zapisuje się słynne przechwałki.

- Przekonamy się, Kate, przekonamy - mruknęła Selena. -Widzisz, dotknęłaś mnie. Było arogancją z twojej strony włożenie dziś mojej amazonki.

- Uważasz, że powinnam cię najpierw poprosić o zgodę? - spytała Kate tonem sugerującym, że jeśli Selena spodziewała się po niej takiej kurtuazji, to jest po prostu śmieszna.

Spojrzenie Seleny stało się zimne.

- Nie bądź taka pewna siebie:

Kate odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz ze swą rozmówczynią.

- Czego chcesz, Seleno? - spytała.

- Ujrzeć strach w twoich oczach, moja śliczna pani. Jesteś teraz zdana na moją łaskę, nie chronią cię runy i mam ogromną ochotę wystawić na próbę twoją siłę woli.

- Byłabym zdana na twoją łaskę tylko wówczas, gdybym się ciebie bała, czy miałabym runy czy nie. A nie boję się ciebie, Seleno. - Jednak Kate bała się jej, i to bardzo, chociaż za nic w świecie nie przyznałaby się do tego. W oczach Seleny powinna być silną i niezłomną.

Selena roześmiała się lodowato.

- Przypuszczam, że boisz się mnie wystarczająco, żeby wysłuchać mnie uważnie. Radzę ci, opuścić ten zamek. Jeśli tu zostaniesz, skończy się to źle zarówno dla ciebie, jak i dla twojego syna.

- Mojego syna? - Kate zamarło serce.

- Taki śliczny chłopczyk. Byłaby wielka szkoda, gdyby mu się coś przytrafiło.

- Nie możesz go tknąć, Seleno, bo nosi amulet. Selena się uśmiechnęła.
- Tak, to przykre, ale prawdziwe. Jednak muszę cię ostrzec, że ryzyko istnieje i tak. Stare przysłowie mówi, że do celu prowadzą różne drogi.

Kate zrobiła krok w jej stronę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Och, za dużo chciałabyś wiedzieć! Powiem tylko, że wychowałeś syna na dzielnego i honorowego chłopca, prawdziwy święty Jerzy. I dlatego właśnie mogę mu zrobić wszystko, co zechcę.

- To są czcze pogrożki. - Kate znów się odwróciła przodem do lustra, jakby bardziej ją interesowała własna fryzura niż to, co Selena ma do powiedzenia.

- Moje pogrożki nigdy nie są czcze, Kate, o czym sama się przekonasz, jeszcze zanim dziś w nocy zacznie się przypływ. Nie tylko osiągnę swój cel, ale przy okazji ukarzę cię. Bardzo źle ci poradzono, żeby stawić mi czoło.

Kate przebiegł zimny dreszcz, ale nie dała nic po sobie poznać.

- Skoro jesteś taka sprytna, Seleno, jak to się stało, że nie osiągnęłaś swego celu tak długo? Przysięgałaś, że nie dopuścisz do ślubu Gerenta ze mną; nie udało ci się. Próbowалаś go uwieść; nie udało ci się. Próbowалаś przedwczoraj w nocy wciągnąć Genewę do morza; nie udało ci się. I dwa razy próbowалаś się mnie pozbyć. Nie udało ci się w Dartmoor i nie udało ci się tutaj. Och, zapomniałabym... Nie udało ci się także nakłonić Denzila Portreatha, by przeniósł się do ciebie do Lonii. Krótko mówiąc, wydaje mi się, że jesteś raczej nieudacznikiem lub masz pecha.

Na twarzy Seleny malowała się wściekłość, pozwalająca się spodziewać, że za chwilę uderzy Kate, ale tylko podeszła do okna i wyjrzała. Zobaczyła Genevrę na pomoście, a obok niej kota z różowego aksamitu. Dziewczynka klęczała i puszczała łódkę Justina. W wieczornym powietrzu połyskiwały jeszcze ostatnie promienie zachodzącego słońca. Trwał odpływ, cofająca się woda odsłaniała skały, oblepione błysz-

czącymi Wodorostami. Genevra klęczała w miejscu, które podczas przyływu było pod wodą. Słaby uśmiech pojawił się na ustach Seleny. Obejrzała się na Kate.

- Naturalnie masz rację, ale wyciągnęłam nauczkę ze swoich niepowodzeń. Dziś spróbuję inaczej osiągnąć cel i tym razem mi się uda.

Niepokój Kate się pogłębił. Na jaki pomysł wpadła Selena? Co zamierzała zrobić? Czy naprawdę tym razem jej się powiedzie?

Selena zachichotała.

- Wkrótce znów będę szczęśliwa.

- Szczęśliwa dzięki egoizmowi i okrucieństwu, a także kosztem własnego dziecka.

Selena spojrzała na nią swymi lawendowymi oczami.

- Miłość czyni nas takimi, jacy jesteśmy - mruknęła.

- Miłość? Myślę, że nie jesteś do tak szlachetnego uczucia - odparła złośliwie Kate.

- Och, uważasz się za lepszą ode mnie! Gdybyś знаła miłość, która trwa przez wieki i która pochłania cały twój czas, być może zrozumiałabyś, co teraz czuję.

Kate uniosła brew.

- Ach, tak, zapomniałam... Denzil Portreath jest ponoć królem Markiem z Kornwalii - powiedziała cierpko.

- On jest królem Markiem! Straciłam go przez Izoldę, której niewierność nim nie wstrząsnęła, ale po tylu latach znów go odnalazłam. Teraz może się nazywać Denzil Portreath, ale poznałam swego dawnego ukochanego, gdy tylko go ujrzałam. Nic a nic się nie zmienił, wygląda tak, jak kiedyś.

Kate powstrzymała się przed uwagą, że nie dostrzega nic zachwycającego i szlachetnego w podstępnyim zabójcy, jakim jest pan Portreath z PolwithieL

- Nie ma już Izoldy i nikt mi go nie odbierze - ciągnęła Selena. - A ja poświęcę dla niego wszystko.

- Prócz tytułu i przywilejów, związanych z byciem lady Carismont - zauważyła ironicznie Kate. - Bądź uczciwa, Seleno. Mogłabyś nadal być ze swym najdroższym kochan-

kiem, gdybyś jednocześnie nie próbowała zatrzymać Gerenta. Gdybyś była uczciwa i po prostu zostawiła Gerenta dla Portreatha, nic by ci się nie stało. To wyłącznie twoja wina, że znów jesteś w Lonii, tylko i wyłącznie twoja wina. Więc daj spokój Gerentowi i Genevrze i skup swoje wysiłki na tym, jak skłonić twojego najdroższego króla Marka, aby poszedł za tobą do Lonii. Selena wzięła głęboki oddech, ale nie dlatego, żeby słowa Kate podsunęły jej wspaniały pomysł, tylko dlatego, że usłyszała chrobotanie w kominie. Potem rozległ się gniewny głos Cumowa.

- Wynos się stąd, ty przekłeta wiedzmo, ty plamo na honorze Lonii, ty... ty wyrodna matko! Wynos się, mówię! Wracaj tam, gdzie twoje miejsce, w morskie głębiny!

Na palenisko obsypało się trochę sadzy i ogień zaczął kopcić, a potem rozległa się seria pisków, kiedy nieszczęsny Cur-now zleciał w dół na łeb na szyję. Pisnął jeszcze raz, kiedy płomienie osmały mu piórka, zmuszając go do zgrabnego uskoku. W komnacie rozszedł się wyraźny zapach spalenizny, kiedy stanął obok kominka i energicznie się otrzepywał.

Kate nawet nie dostrzegła, kiedy Selena zmieniła się w światełko i rozpaczliwie krążyła po pokoju, próbując znaleźć drogę ucieczki, ale okna były pozamykane, a szpara pod drzwiami za mała. Pozostawał jej tylko komin, lecz na drodze stał Curnow,

Kukulka obserwowała jej paniczne zachowanie.

- Już nie jesteśmy tacy zarozumiali, prawda? - zauważyła, ciesząc się jej brakiem opanowania.

- Nienawidzę cię, ty wyliniate ptaszysko! - odpowiedziała Selena.

- Wyliniały? Ja ci dam wyliniały!- Kiedy nierozważnie zanadto się zbliżyła, ptak wzbił się błyskawicznie w powietrze i za chwilę już trzymał ją w dziobie.

Kate słyszała piski, próbującej się wyrwać Seleny, która szamotała się tak bardzo, że w pewnej chwili udało jej się oswobodzić. W ułamku sekundy zniknęła, czmychając kominem tak szybko, jakby od tego zależało jej życie, co oczywiście było prawdą.

Curnow nawet nie miał co marzyć, że wygramoli się przez komin wystarczająco szybko, by móc znów ją złapać, i był taki na siebie zły, że sfrunął na podłogę i zaczął podskakiwać rozsierdzony.

- *Och, na pośladki Dumnoruca! Na łądźwie Lancelota! Na krosty Parsifala!* -

Uświadomiwszy sobie, że być może w obecności damy nie wypada używać takiego języka, przestał podskakiwać i zmieszany odchrząknął. - *Proszę mi wybaczyć, ale chyba w gniewie trochę się zapomniałem.*

- Zdenerwowanie w tej sytuacji uważam za całkowicie zrozumiałe.

- *Już dwa razy ją dopadłem i dwa razy pozwoliłem jej uciec. Błagam cię na wszystko, nie powiedz o tym Beleriono-wi. Nigdy by mi już nie dał spokoju.*

- Ode mnie o niczym się nie dowie - obiecała Kate. Curnow znów otrzepał piórka i na podłogę posypały się sadze. Chwilę potem zegar na kominku zaczął wydzwaniać ósmą. Pora zejść na kolację. Kukulka westchnęła ciężko, a potem skierowała się do kominka. Spojrzała na Kate.

- *Uważam, że dobrze sobie z nią poradziłaś, jeśli uwzględnić, że nie masz swego amuletu. Ale musisz zachować największą ostrożność, bo ona coś knuje. Nie wiem, co, ale czuję to. Dzisiejsza noc będzie bardzo niebezpieczna i nie wiadomo, jaki będzie ostateczny rezultat.* Powiedziawszy to, wleciała do komina i obsypując mnóstwo sadzy, a także narzekając głośno, w końcu udało jej się wydostać na zewnątrz.

Pod samymi drzwiami do refektarza Kate spotkała wychodzącą właśnie stamtąd panią Pendern. Gospodyni sprawdzała, czy stół został nakryty tak, jak należy. Na widok Kate ukloniła się z uszanowaniem.

- Dobry wieczór, milady.

- Dobry wieczór, pani Pendern. Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

- O, tak, proszę pani. Sprawdzałam, czy dobrze nakryto

stół, bo niektóre pokojówki są niezbyt sumienne. Jego lordowska mość już czeka, a kolacja będzie podana za pięć minut.

Kate miała już wejść do refektarza, ale przystanęła na chwilę.

- A jak tam dzieci, pani Pendern?

- Są w swoich pokojach, proszę pani. Obawiam się, że wcześniej się trochę posprzeczały i na razie nie odzywają się do siebie.

- O, nie...

- Proszę się nie denerwować, to nie była jakaś poważna kłótnia, zwykle nieporozumienie, czym się zająć po kolacji. Do rana o wszystkim zapomną. Do rana o wszystkim zapomną? Och, jak bardzo chciałaby, żeby to była prawda! Jeszcze nigdy tak żarliwie nie pragnęła, żeby już był ranek, ale nie wystarczy pragnąć, żeby coś się dokonało. Godziny nocy i kryjących się w niej niebezpieczeństw wydawały się nigdy nie mieć końca.

Ta myśl nie dawała jej spokoju. Kate ujęła swoje jedwabne spódnice i szybkim krokiem weszła do refektarza, żeby jak najszybciej znaleźć się obok Gerenta. Stał przed kominkiem i poprawiał ogień. Znów miał na sobie ciemnofioletowy surdut, białe, jedwabne spodnie przylegały do bioder i nóg. W blasku ognia jego biała kamizelka z błyszczącego atlasu przybrała czerwony odcień, a spinka z perłą w koronkowym krawacie połyskiwała jak miedź. Był uosobieniem modnego eleganta i mógłby równie dobrze wybierać się właśnie do klubu Almacka.

Powitalny uśmiech zniknął z jego ust, kiedy zobaczył jej zaniepokojoną twarz.

- Co się stało, moja droga? - spytał, podchodząc do niej. Ujął jej rękę i przycisnął je do swych ust.

Zaczerpnęła głęboki oddech, chcąc za wszelką cenę zapanować nad ogarniającą ją paniką.

- Chciałabym... chciałabym, żebyśmy już mieli tę noc za nami - odparła, splatając drżące palce z jego palcami.

- Wkrótce tak się stanie. - Pocałował ją w czoło.

Zamknęła oczy. Tak bardzo go kochała, że niemal rozumiała, co czuje Selena. Niemal, bo bez względu na to, jak bardzo kochała Gerenta, nigdy, przenigdy nie poświęciłaby dla miłości szczęścia swego dziecka. Odsunęła się i spojrzała Gerentowi w oczy.

- Muszę ci coś wyznać.

- Ufam, że nie jest to coś bardzo nikczemnego? - odparł z uśmiechem.

- Chodzi o moją ślubną obrączkę.

- Och, zauważyłem, że jej nie założyłaś. Gdzie jest?

- Kazałam ją nosić Justinowi. - Opowiedziała, z czego zwierzył się jej chłopiec po śniadaniu, i zakończyła słowami: - To znaczy, że on też doświadcza niektórych z tych rzeczy, Gerencie, a ja muszę być pewna, że jest bezpieczny. Doszłam do wniosku, że jeśli ty jesteś wystarczająco silny, by bez żadnego amuletu stawić czoło Selenie, to ja także.

Uśmiechnął się i znów ją przytulił.

- Najdroższa, doskonale cię rozumiem. Czy sam nie postąpiłem podobnie w stosunku do Genevry? Ale będziesz ostrożna, prawda? Bez tego rodzaju tarczy jesteś narażona na niebezpieczeństwo, czy jesteś silna czy nie.

- Cóż, miałam już spotkanie z Seleną i chyba wyszłam z niego obronną ręką.

- Opowiedziała mu o rozmowie, którą dopiero co przeprowadziła w swoim pokoju.

- Och, najdroższa, gdybym wiedział, przyszedłbym do ciebie... - Gerent puścił ją i odwrócił się, by oprzeć rękę na gzymsie kominka. Spojrzał na herb.

- Powiedziała, że na dzisiejszą noc przygotowuje coś nowego?

- Tak, ale nie padło ani jedno słowo, z którego mogłabym wywnioskować, co to może być. Może po prostu się przechwalała.

Pokręcił głową.

- Nie, mówiła poważnie.

- Gerencie, uważam, że dziś w nocy dzieci powinny być z nami.

- Zgadza się. - Spojrzał nad jej głową, kiedy do refekta-

rza weszli pani Pendern, lokaj i pokojówka. - Zaraz się tym zajmę. Pani Pendern! - zawołał gospodynię. Podeszła do niego.

- Tak, milordzie?

- Z uwagi na niebezpieczeństwo, jakie może grozić tej nocy, postanowiliśmy, że dzieci będą spać z nami. Proszę dopilnować, żeby do mojej sypialni wstawiono dwa dodatkowe łóżka. Obojętnie jakie. Wydaje mi się, że gdzieś w zamku są jeszcze te stare łóżka wysuwane?

- Tak, proszę pana. Dzieci są w swoich pokojach. Czy życzy sobie pan, żebym kazała im się przenieść od razu?

- Nie. Przypilnuj tylko, żeby wstawiono te dodatkowe łóżka, kiedy ja i jej lordowska mość będziemy jedli. Zaraz po kolacji sami porozmawiamy z dziećmi. Przyływ zacznie się dopiero za kilka godzin, więc na razie są bezpieczne.

- Dobrze, proszę pana.

Ale Gerent się mylił, myśląc, że Selena musi czekać na przyływ, by zacząć przygotowania, bo kiedy on i Kate zasiedli do pierwszego dania, poza murami zamku już się dużo działo.

Rozdział 24

W refektarzu przed Kate i Gerentem właśnie postawiono talerze z zupą, kiedy Curnow zrezygnował z pościgu za Seleną. No, może nie do końca była to prawda, bo zrezygnował raczej z próby ponownego jej odszukania, kiedy ją zgubił wśród dębów w Lonii. Szukał tu i tam, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć.

Wypatrzywszy strumyk, który biegł od źródła u brzegów wyspy do rzeki, kukulka obniżyła lot, by się napić. Musiała głęboko pochylić się do przodu, zadzierając ogon wysoko w górę, i dokładnie w chwili, gdy zaczęła pić zimną, orzeźwiającą wodę, ktoś ją kopnął. Kiedy wpadła do strumyka, zarzucono na nią siatkę.

Skrzecząc na całe gardło, ptak próbował ze wszystkich sił się oswobodzić, ale na próżno. Curnow uznał siebie samego za wyjątkową gapę. Jak mógł być tak nieostrożny i w taki sposób zadrzeć ogon? Sam prosił się o kłopoty!

Tym kimś, kto go złapał, była Selena i teraz śmiała się, unosząc go w siatce do góry. Znow przybrała postać kobiety, miała na sobie suknię z brylantów, ale jej uroda nie była tak olśniewająca, bo mocno zaciskała usta i zimno patrzyła swymi lawendowymi oczami. Włożyła go do wiklinowej klatki.

- Mam już tego leniwego lamparta, a teraz dopadłam i ciebie - mruknęła, idąc brzegiem strumyka. Skraj połyskującej sukni dotykał trawy i leśnych kwiatów, słońce oświetlało jej rudozłote włosy. Pochyliła głowę, by nie zaczepić o nisko zwieszające się gałęzie kwitnącego głogu, które rankiem zetną ludzie, by przystroić nimi domy. Curnow widział w od-

dali rzekę i przystrojony maik, wokół którego odbędą się pierwszomajowe zabawy. Złota łódź lekko kołysała się na spokojnych wodach, gotowa przewieźć wszystkich nowych przybyszów w najdalsze zakątki Lonii.

Dorośli i dzieci wyłonili się z pochyłonych chat nad rzeką, by popatrzeć na zbliżającą się Selenę. Uważali ją za wiedźmę i zawsze się jej bali. Teraz bali się jeszcze bardziej, bo udało jej się pokonać Beleriona i Cumowa. Jak dotąd strażnicy zawsze byli sprytniejsi od niej i kiedy uciekła z Lonii, tylko dzięki podstępowi udało jej się pozostać na wolności. Teraz wyglądało na to, że strażnicy wpadli w jej sidła.

'Nie zważając na obserwujących ją ludzi, skierowała się do złotej łodzi, którą zacumowano wystarczająco blisko brzegu, by można było łatwo się na nią dostać po dębowym trapie. Wniosła Cumowa na pokład, mijając związanego Beleriona, i zawiesiła wiklinową klatkę na gwoździu, przybitym do masztu. Curnow siedział w klatce przygarbiony i nieszczęśliwy, wyrzucając sobie, że zawiódł pokładane w nim nadzieje i nie wywiązał się z nałożonych na niego obowiązków.

- Okazaliście się obaj zupełnie bezużyteczni - zwróciła się do nich. - Och, przyznaję, że dość długo nie dawałście mi spokoju, ale w końcu schwytanie was okazało się śmiesznie łatwe. Powinniście się wstydzić.

Kiedy lampart i kukulka spojrzeli na nią ponuro, roześmiała się.

- Nie mogę uwierzyć, że los okazał się dla mnie tak łaskawy. Belerion usnął, kiedy powinien czuwać, a Curnow tak wysoko zadarł ogon w powietrze, że stanowił naprawdę łatwy cel. Dziękuję wam obu. - Ukłoniła im się nisko. - Teraz już nic nie stanie mi na przeszkodzie. Wkrótce Genevra znajdzie się tam, gdzie chcę, a kiedy zacznie się przypływ, wrócę do mojego ukochanego. Tymczasem Genevra wciąż klęczała na pomoście, bambusową laską kierując złotą łódką, pływającą po spokojnej wodzie. Kot z różowego aksamitu leżał obok niej, a wieczorne

cienie były już tak długie, że niemal zlewały się z horyzontem. Niebo na zachodzie było czerwone, mewy, zazwyczaj hałaśliwe, zachowywały się dziwnie cicho. Grobla ciągle wznosiła się ponad piaskiem, sadzawkami i skałami, oblepionymi wodorostami, od strony lądu dobiegały dźwięki muzyki. To dzieci z Trezance po raz ostatni przed uroczystościami ćwiczyły taniec wokół przystrojonego maiku.

Nagle muzyka się zmieniła. Była to wciąż ta sama melodia, „Nasz maik zielony”, ale poza zwyczajną fujarką słychać było inne instrumenty: flet, bębny, dzwoneczki i coś, co przypominało skrzypce.

W pierwszej chwili Genevra nie zwróciła na to uwagi, zbyt pochłonięta zabawą łódką, sunącą po gładkiej jak lustro wodzie, ale później usłyszała gdzieś bliżej jeszcze jeden odgłos - delikatny szmer wody. Wydawało się, że słońce znów się pojawiło, jakby nadciągająca noc się rozmyśliła i wycofała. Kiedy dziewczynka spojrzała w kierunku szemrzającej wody, zdziwiła się, widząc promienie słoneczne, odbijające się w strumyku, przemykającym wśród skał. Potem uświadomiła sobie, że już nie kłęczy na pomoście, ale na porośniętym mchem brzegu, pełnym kwitnących pierwiosnków, a w końcu dotarło do niej również inne brzmienie melodii. Usiadła na piętach, by spojrzeć w kierunku Trezance.

Ze zdumieniem stwierdziła, że przed nią ciągnie się polana w lesie Lonii, aż do rzeki, gdzie stała przycumowana prawdziwa złota łódź. Widziała dziwnie ubrane dzieci, tańczące wokół przystrojonego maiku, którym przyglądali się dorośli. Mężczyźni mieli na sobie stroje, przypominające te, jakie Genewa oglądała na ilustracjach w książce o Robin Hoodzie i jego wesolej kompanii, chociaż niektórzy mieli bardzo osobliwe nakrycia głowy, przypominające, róg jelenia. Kobiety mogły z powodzeniem grać rolę lady Marian. Trzymały naręcza kwiatów głogu.

Wśród nich stała Selena w błyszczącej sukni. Machała do niej ręką i Genewa usłyszała jej głos:

- *Chodź do mnie, Genevra, chodź i przyłącz się do tańczących dzieci.*

Dziewczynka ze strachu otworzyła buzię, złapała swego aksamitnego kota i wstała, zostawiając łódkę, która odpłynęła tak daleko, że nie można już było dosięgnąć jej bambusową laską.

- *Chodź, Genevro! Zobacz, jak tu wesoło! Dzieci chcą się z tobą pobawić.*

Genevrze łzy napłynęły do oczu, mocniej przytuliła kota do piersi.

- Tatusiu! - szepnęła. - Tatusiu, boję się.

Chociaż szept był ledwo słyszalny, Selena odpowiedziała.

- *Wszystko w porządku, tatuś nie będzie miał nic przeciwko temu. Później możesz do niego pójść. Och, chodź już do mnie, skarbie...*

Genevra zaczęła się cofać w stronę stopni, wykutych w zboczu zamkowego wzgórza, ale nagle drogę zagroził jej rój małych światełek. Nie pozwalały jej przejść i mogła skierować się tylko ku polanie; prawdę mówiąc, zaczęły po prostu popychać ją w tamtą stronę. Dźwięki muzyki wydały jej się nagle bardzo słodkie i urzekające. Niektóre dzieci zaczęły do niej machać i nawoływać, słyszała ich śmiech. Czy na pewno nic się nie stanie, jeśli do nich pójdzie? Żałowała, że nie ma z nią Justina, który pomógłby jej podjąć decyzję, no i czułaby się znacznie bezpieczniej, trzymając go za rękę.

Dzieci znów ją zawołały. Teraz ich zabawa wydawała się Genevrze tak świetna, że nagle zapragnęła do nich dołączyć. Zaczęła iść polaną, krocząc ścieżką wśród traw i kwiatów w lesie Lonii tam, gdzie jeszcze przed chwilą był tylko piasek, sadzawki, wodorosty i skały dzisiejszej Kornwalii.

Justin nadal mocno spał w swym łóżku. Przyśniła mu się twierdza Tower w Londynie, gdy nagtausłyszał z oddali nawoływanie Genevry. Otworzył oczy i przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, ale potem przypomniał sobie, że znajduje się w swojej sypialni w wieży na zamku Carismont. Musiał w ubraniu przespać całą noc, bo na dworze znów był dzień. Przesunął dłonią po swych jasnych włosach, odgarniając je

z czoła, usiadł i poczuł, że obrączka na wstążce parzy mu skórę.

- Justinie! Pomóż mi, proszę! - znów zawołała Genevra.

Gdzie ona była? Na pomoście? Zsunął się z łóżka i podszedł do okna, by wyrzucić na dwór. Spodziewał się oczywiście ujrzeć ten sam widok, co zawsze, a tymczasem zobaczył zielony las. Drzewa dębowe, które dopiero co wypuściły liście, i długą polanę, pełną wiosennych kwiatów. Rosły tam dzwonki, pierwiosnki, jaskólcze ziele, fiołki i przetaczniki, a na skraju polany słodki zapach rozsiewały obsypane kremowymi kwiatami gałęzie głogów.

To była Lonia, Matka ostrzegła go, że może ją zobaczyć.

Teraz usłyszał również muzykę. Ta sama okropna melodia, co poprzednio.

Dobiegła z drugiego końca polany, gdzie powinno być Trezance. Ale miasto zniknęło, a na jego miejscu rozlokowała się średniowieczna osada.

Ludzie przyglądali się tańcom wokół przystrojonego maiku, a nieopodal zobaczył swoją łódkę. Właściwie niezupełnie, bo ta była znacznie większa, ale poza tym niczym się nie różniła.

Rozejrzał się po polanie, wypatrując Genevry, i w końcu dostrzegł ją w tłumie ludzi, zebranych przy maiku. Kobieta w błyszczącej sukni trzymała ją za rękę i nie puszczała, chociaż dziewczynka próbowała się wyrwać.

- Justinie, proszę, pomóż mi! Boję się!

- Genevro! - szepnął, nie wiedząc, co zrobić. Obrączka na wstążce parzyła go i miał ochotę ją zdjąć, ale wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Dlaczego słyszał Genevrę tak wyraźnie, chociaż znajdowała się co najmniej pół kilometra od niego?

- Justinie, chodź do mnie! Proszę! - Z ust Genevry wydobył się szloch, kiedy upuściła swego aksamitnego kotka i dzieci, tańczące wokół przystrojonego maiku, zaczęły go deptać.

Justin był rozdarty. Z jednej strony chciał pospieszyć Genevrze na pomoc, ale jednocześnie dokładnie pamiętał, co mu powiedziała matka po śniadaniu.

Nigdy nie wychodź z zamku, kiedy zobaczysz coś, czego nie powinno być. Bardzo trudno się temu oprzeć, ale musisz się postarać.

Genevra zaczęła płakać.

- Dlaczego nie chcesz mi pomóc, Justinie? Tak się boję!

- Powiem... powiem mamie i twojemu tacie... - zaczął. Nagle dotarł do niego głos kobiety, trzymającej Genevrę za rękę.

- *Nie, Justinie, nie rób tego. Nie ma takiej potrzeby. Dlaczego po prostu nie dołączysz do nas? Zobacz, jak miło się bawimy.*

Nie ufał tej kobiecie. Wiedział, że to matka Genevry, chociaż nie miał pojęcia, skąd wziął tę pewność.

- Uważam, że powinienem powiedzieć mojej mamie i tacie Genevry - powtórzył.

- *Nie!* - Głos kobiety stał się twardy, a błyszczące na jej sukni iskierki, jakby uniosły się w powietrze i poszybowały w jego stronę niczym róż rozgniewanych os.

Justin nerwowo cofnął się od okna.

- Sprowadzę pomoc, Genevro! - krzyknął i wybiegł z pokoju.

Potykając się, zbiegł po kręconych schodach w wieży, a kiedy znalazł się rias dole, był pewien, że w sali na pierwszym piętrze widzi palące się światło.

Rzucił się pędem przez zamkowe korytarze, kierując się do refektarza, chociaż znów nie wiedział, dlaczego akurat tam.

- Mamo! - krzyknął, rzucając jeszcze jedno zaleknione spojrzenie za siebie.

Światelka wirowały i podążały za nim niczym wstęgą brylantów. - Mamo! -

krzyknął. - Mamo! Próbują mnie złapać! Chcą, żebym poszedł do Lonii!

Otworzył oczy. Obrączka przestała mu parzyć skórę. Była noc, na stole w refektarzu płonęły świece. Ujrzał przez łzy, jak Gerent i jego matka wstają z krzesel.

Serwetka z kolan Kate zsunęła się na podłogę, kiedy kobieta podbiegła do swego syna.

- Justinie! Co się stało?

- Mamo! Chyba... chyba coś mi się przyśniło - wyjąkał, a po policzkach płynęły mu łzy. Czyżby tylko chodził we śnie? Czyżby naprawdę nic nie widział ani nie słyszał?

- Wszystko w porządku, skarbie, już nic ci nie grozi - powiedziała Kate i przyklękła, żeby go objąć. Poczł zapach jej perfum, lekki, delikatny i dający takie poczucie bezpieczeństwa, jak nic pod słońcem.

Przestraszony obejrzał się jeszcze raz za siebie, ale światelka zniknęły.

- Mamo, ścigały mnie brylanty z jej sukni - szepnął. Kate i Gerent wymienili spojrzenia.

Justin mocno objął matkę rączkami, przytulając buzię do jej odsłoniętego ramienia.

- Wołała mnie Genevra. Była w Londynie. Widziałem ją z okna swego pokoju. Kobieta - jej mama - trzymała ją i nie chciała, żebym ci cokolwiek powiedział...

Gerent zaklął, odwrócił się na pięcie i wypadł z refektarza. Pobiegł do pokoju Genevry, ale dziewczynki tam nie było. Potem zobaczył na podłodze otwartą książkę z bajkami i cenny medalion leżący tam, gdzie go zostawiła. Zamknął oczy. Selenie powiódł się jej niecny plan. Zwabiła Genevrę do Londynie.

Rozdział 25

Morze cofnęło się maksymalnie. Wkrótce woda zacznie się podnosić, przyciągana przez srebrną tarczę księżyca w pełni, świecącego na bezchmurnym niebie pełnym gwiazd.

Na całej wyspie migotały pochodnie służby przeczesującej każdy zakątek na wypadek, gdyby Genevra leżała gdzieś nieprzytomna. Oczywiście były to płonne nadzieje, ale Ge-rent nie zamierzał niczego pozostawić przypadkowi. Dlatego wysłano też grupę ludzi na poszukiwania do Trezance, chociaż było naprawdę bardzo mało prawdopodobne, by dziewczynka po prostu przeszła groblą do miasta. Przecież Genevra panicznie bała się opuszczać Carismont. Przy przewróconej do góry dnem łodzi nadal pracowali rybacy i gdyby dziewczynka szła groblą albo po piasku, ktoś by ją zobaczył. Jednak w miarę, jak nieubłagane mijały godziny, stawało się coraz bardziej oczywiste, że wydarzyło się najgorsze. Jeśli Genevry nie było na wyspie i nie poszła do miasta, to istniało tylko jedno miejsce, gdzie mogła teraz być: Lonia.

Niewątpliwie Justin też by się tam znalazł, gdyby nie miał obrączki-amuletu i nie zdołał się oprzeć namowom.

Spał teraz w pokoju Gerenta, a pani Pendern siedziała przy nim. Gospodyni przystroiła łóżko zielonymi gałązkami, chroniącymi ponoć przed złymi mocami, i rozsypała wkoło karteczki, na których znakami runicznymi wypisała zaklęcia. Żeby mieć jednak absolutną pewność, że nikt go nie zwabi, gdyby przypadkiem się zdrzemnęła, przywiązała jeden koniec wstążki do jego ręki, a drugi - do swojej. Dzięki temu, gdyby wyszedł z łóżka, natychmiast zostanie zaalarmowana.

Kate i Gerent stali na początku podjazdu, tuż za barbakanem, skąd mogli obserwować poszukiwania na zboczu. Wciąż mieli na sobie wieczorowe stroje. Trzymali się za ręce patrząc na poruszające się w dole pochodnie. Księżyc świecił tak jasno, że Kate niemal czuła, jak przyciąga wodę. Niezwykle mocno przeżywała uprowadzenie Genevry i nie chciała nawet myśleć, jak przerażona i nieszczęśliwa musi być teraz dziewczynka, gdziekolwiek jest.

Gerent westchnął ciężko.

- Dlaczego, kiedy pragnę bardziej niż czegokolwiek ujrzeć przed sobą Lonię, widzę tylko to, co jest tu obecnie?

- A gdybyś ujrzał Lonię, co mógłbyś zrobić?

- Poszedłbym tam, odszukał Genevrę i wrócił z nią tutaj.

- Myślisz, że to byłoby łatwe? Myślisz, że Selena pozwoliłaby ci zabrać Genewę i odejść? Och, Gerencie, ona nigdy się na to nie zgodzi. Byłaby zachwycona, gdybyś i ty wpadł w jej ręce. Wówczas oboje musielibyście pozostać w Lonii, a ona wróciłaby tutaj, by cieszyć się tym wszystkim, co miała wcześniej. Owdowiała lady Carismont i jej kochanek, Denzil Portreath, żyliby w luksusie na twoim zamku, korzystając z twojego majątku.

- Tak czy inaczej, muszę spróbować, Kate. Chyba to rozumiesz?

Objęła go mocno.

- Naturalnie, że rozumiem, czułabym się tak samo, gdyby to Justin znalazł się w jej rękach. - Uniosła wzrok i zobaczyła w świetle księżyca łzy na rzęsach Gerenta. Jego cierpienie sprawiło, że jej również łzy napłynęły do oczu. Odwróciła wzrok, by się opanować. Musiała być teraz silna przez wzgląd na niego.

Podążała wzrokiem za grupką ludzi z Carismont, wracających konno groblą. Potem spój rzęła na piasek, wodorosty i sadzawki na odsłoniętym podczas odpływu dnie morza między lądem a wyspą. Było prawie niemożliwe uwierzyć, że znajdowała się tu Lonia, wcale nie zatopiona i zaginiona, ale istniejące równolegle, tu i teraz. Były tam drzewa i kwia-

ty, a tam, gdzie migotały światła Trezance, wiejskie chaty.

Jej wzrok spoczął na gospodzie „Pod Wodnicą”. Oparty o parapet okienny, stał tam jakiś dżentelmen ze szklaneczką w ręku, a obok, leniwie poruszając ogonem, jego wierzchowiec. Denzil Portreath! Przypomniała sobie kpiące słowa, które krzyknął za nią, gdy opuszczała wzgórze. *O zachodzie słońca będę na nabrzeżu, milady, i pozostanę tam, by być naocznym świadkiem tego, co się wydarzy. Proszę mi wierzyć, że nie odejdę, aż będzie po wszystkim.*

Nagle Gerent też go zauważył.

- Ten przeklęty lajdak! - szepnął. - Czy jest sadystą, napawającym się moim cierpieniem?

- Gerencie...

- Dosyć tego! Dosyć!

Zanim zdążyła się zorientować, co zamierza, Gerent puścił jej rękę i pobiegł w dół podjazdu.

- Gerencie! Wracaj! - zawołała, ale nie zwracał na to uwagi. Zobaczyła, jak rozmawia z wracającymi konno służącymi. Jeden z nich szybko zeskoczył z konia i podał mu wodze. Po chwili Gerent już siedział w siodle i bódł konia piętami, by nakłonić go do szybszego biegu w dół zbocza. Kate przyglądała się temu z przerażeniem, drżące dłonie uniosła do ust. Proszę, nie rób niczego pochopnie, błagała go w myślach. Denzil Portreath nie jest tego wart.

Och, gdzie się podzieli Belerion i Curnow? Dlaczego się nie pojawili? Jeśli kiedykolwiek byli potrzebni, to właśnie teraz.

Człowiek, który był zarówno zabójcą Michaela Kingsleya, jak i kochankiem Seleny, wyprostował się, widząc galopującego groblą Gerenta. Nie miał wątpliwości, co było powodem takiego pośpiechu, i kąciki ust drgnęły mu w nerwowym tiku, gdy ostrożnie odstawił szklaneczkę i wyszedł na brukowany plac, by stanąć twarzą w twarz z Gerentem, kiedy ten znajdzie się na nabrzeżu

Lord Carismont ściągnął wodze, widząc swego przeciwnika, stojącego na wprost niego.

- No i jak, Portreath? Cieszysz się widząc, jak dobrze radzi sobie Selena?

- Nie mam zdania na ten temat. Twoja córka nic mnie nie obchodzi.

- Ale mnie obchodzi, i to bardzo! - wykrzyknął Gerent, mając ochotę zeskoczyć z konia i rzucić się Portreathowi do gardła.

- Musisz wiedzieć, że jedyne, na czym mi zależy, to unikanie Lonii. Jeśli Selena wróci do mnie, to bardzo dobrze, ale nie wybieram się tam do niej. Gerent spojrział na niego pogardliwie.

- Brak ci odwagi? Cóż, chyba tylko tego można się spodziewać po tchórze i kłamcy.

Portreath spojrział zimno swymi niebieskimi oczami.

- Licz się ze słowami, Carismont, bo nie zamierzam pokornie słuchać twoich zniewag. Zresztą to nie ja udam się wkrótce do Lonii. Ten zaszczyt czeka ciebie, drogi przyjacielu. Jeśli chcesz odzyskać Genevrę, musisz chyba po nią pójść. Myślę, że ci się to uda, bo Selena chce, żebyście obydwójecie tam zostali. Z chwilą, gdy znajdziesz się w jej rękach, ty i twoja córka pożegłujecie na sam koniec zatopionego łądu i zostanieie tam, podczas gdy ja z Seleną będziemy korzystać z twoich bogactw.

Widząc wściekłość w oczach Gerenta, wolno sięgnął pod surdut.

- Nie zrób teraz żadnego głupstwa, bo chociaż chętnie widziałbym cię martwego, nie wolno nam zapominać o biednej Genevrze, czyż nie? Co bez ciebie zrobi? Będzie się czuła w Lonii bardzo samotna. - Wolno odbezpieczył pistolet i wymierzył w Gerenta. - Proponuję, żebyś zrobił w tył zwrot i wrócił na swoją wyspę. No, zmykaj, dobrze ci radzę. A potem zaczekaj na wezwanie Lonii.

Gerent się nie poruszył. Tak go przepelniała odraza, wściekłość i pogarda, że zastanawiał się, czy jednak nie zaryzykować. Ale musiał pamiętać o Genevrze.

- Powiedz mi tylko jedno, Portreath. Czy naprawdę znów

przyjmiesz Selenę do swego łoża, chociaż jest potworem, jeśli dziś w nocy zrobiła coś takiego swojej jedynej córce? Portreath się uśmiechnął.

- Tak, przyjmę ją. Chcę być panem Carismont i mieć dostęp do twych szkatuł bez dna,

- Niech Bóg się ulituje nad twoją niegodziwą duszą -szepnął Gerent, na chwilę spuszczać wzrok. Ku swemu zdumieniu zobaczył otwartą, płócienną torbę, którą poprzedni jeździec przytroczył do siodła. W środku leżały dwa pistolety, oba naładowane.

Nie zamierzał dociekać, dlaczego jeden z jego ludzi jeździ po okolicy z nabitymi pistoletami, bo akurat w tej chwili pistolety te miały nieocenioną wartość. Wsunął rękę do torby i ujął w dłoń jeden pistolet, ale go nie wyciągnął. Mówił dalej:

- Gdybyś miał choć za grosz honoru, powiedziałbyś Selenie, żeby wyniosła się do wszystkich diabłów po tym, co zrobiła. Ale ty też chcesz na tym skorzystać, co czyni cię w równym stopniu winnym jak ona.

- Wracaj na swoją wyspę, póki jeszcze do ciebie należy, Carismont, bo dość już mam tej czezej gadaniny.

Gerent był spokojny. Udał, że posłusznie zawraca konia, wykorzystał stukot końskich podków o bruk, by odbezpieczyć pistolet, następnie wyciągnął i wystrzelił. Nie zamierzał zabić Portreatha, chciał jedynie wytrącić mu broń z ręki.

Portreath krzyknął ze strachu, kiedy tak właśnie się stało. Pistolet potoczył się po brukowanym placu, a potem z pluskiem wpadł do wody.

Odgłos wystrzału sprawił, że ludzie wybiegli z pobliskich domów, a przede wszystkim z gospody „Pod Wodnicą”. Widzieli, jak Portreath osunął się na kolana i zaczął błagać Gerenta, żeby ten go nie zabijał. Gerent odrzucił trzymany pistolet i wyciągnął drugi. Na oczach wszystkich odwiódł kurek.

- No, no, czyżbym wystrzelił bez ostrzeżenia? Jakże to nikczemne - mruknął.

- Nigdy nie pokonasz Seleny, Carismont, więc równie dobrze możesz zrezygnować z walki. Selena wróci tu z Lonii.

- I zastanie cię martwego - szepnął Gerent, spokojnie celując z drugiego pistoletu prosto w głowę Portreatha.

- Na litość boską...

Gerent położył palec na cynglu i zamierzał za niego pociągnąć, ale potem niespodziewanie się rozmyślił. Szósty zmysł podpowiadał mu, że z żywego Portreatha będzie miał więcej pożytku niż z martwego. Zdecydowanie opuścił pistolet i go zabezpieczył.

- Na razie pozwolę ci żyć, Portreath - powiedział cicho. Schował broń do płóciennej torby i zawróciwszy konia, popędził groblą na wyspę.

Kiedy jechał, usłyszał głuche odgłosy dzwonów z Lonii. Był to znak, że niebawem zacznie się przypliw.

Genevra siedziała na pokładzie złotej łodzi, kolana podciągnęła pod brodę, głowę spuściła tak, że ciemne włosy zasłoniły jej buzię. Bała się i była nieszczęśliwa, oczy miała czerwone i spuchnięte od płaczu. Słyszając bicie w dzwony, uniosła głowę. Daleko nad koronami drzew widziała iglice i wieże. Belerion wciąż leżał związany w pobliżu, od czasu do czasu słyszała westchnienia Cumowa z wiszącej na maszcie wiklinowej klatki.

Kukulka była pogrążona w myślach. Nie mogła - nie chciała - uwierzyć, że Selena jest o krok od zwycięstwa. Z pewnością można coś zrobić, by pokrzyżować jej nikczemne zamiary. Ale co? Ptakowi nie dawała spokoju uporczywa myśl, że jakieś oczywiste rozwiązanie jest w zasięgu ręki. Znów westchnął i spróbował się skupić. Stopniowo zaczął w nim kiełkować pomysł i kiedy przybrał realne kształty, oczy mu się zaświeciły. Ależ oczywiście! Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Przejęty zatrzepotał skrzydłami, a potem zaczął układać szczegółowe elementy planu.

Selena, niecierpliwiąc się, siedziała na złotym krześle na dziobie łodzi. Bębniła palcami w poręcz i stukała nogą w pokład. Musiała poczekać na przypliw, tylko wtedy mogła bowiem wrócić do swego ukochanego. Poza tym musiała też czekać na Ge-

renta, Wiedziała, że się pojawi, bo bardzo kochał swoją córkę, i wtedy razem z Genevrą odpłyną w najdalszy zakątek Lonii. Dziewczynka oczami pełnymi łez spojrzała na swą matkę.

- Mamo, proszę pozwól mi wrócić do domu - odezwała się błagalnie.
- Teraz twoim domem jest Lonia.
- Nie chcę, żeby była moim domem.
- Twoje pochlipywanie zaczyna mnie denerwować. Genevra zamrugła powiekami, kiedy gorące łzy szczypiącą falą znów napłynęły jej do oczu.
- Proszę! Chcę być z tatusiem, i z Justinem i jego mamą.
- Cóż, nie mogę ci wprawdzie obiecać Justina i jego podstępnej matki, ale twój tatuś już wkrótce tu przybędzie. Będzie sobie wyobrażał, że uda mu się ciebie uratować, ale jedynie wpadnie w moje sidła. Właściwie już tak się stało.

Curnow odezwał się chytrze ze swej wiklinowej klatki.

- *Me dziel skóry na niedźwiedziu, Seleno.*
- Och, zamilcz - powiedziała i rozgniewana wstała z krzesła, by narzucić na klatkę kawałek tkaniny.

Ale kukulka nie dała się zastraszyć.

- *Kate będzie triumfowała, Seleno. Może sprawić, żebyś nigdy nie zaznała szczęścia z Portreathem, ani tu w Lonii, ani gdziekolwiek.*
- Jak to? - spytała Seleno i ściągnęła z klatki tkaninę, by lepiej słyszeć słowa kukulki.
- *Me powiem ci* - oświadczył Curnow, widząc, jak zdumiony Belerion wyciąga szyję, by na niego spojrzeć.

Selena nie była w nastroju, by przekomarzać się z ptakiem.

- Wyrwę ci z ogona wszystkie pióra, jedno po drugim, jeśli nie zaczniesz mówić - zagroziła.

Curnow cofnął się nerwowo. ;

- *I tak cię pokona. Właściwie już to zrobiła i musiałaby wszystko odkręcić, żebyś mogła cieszyć się swym kochankiem w Carismont.*
- Co odkręcić? - spytała niecierpliwie Seleno.
- *Nie zdradzę ci tego. Powiem tylko, że to, co zrobiła,*

sprawi, że przez długi czas nie będziesz się mogła cieszyć Portreathem, jeśli do niego wrócisz, ale z drugiej strony on bardzo będzie chciał dołączyć do ciebie tutaj. Selena znieruchomiała.

- Mów jaśniej.

- *Pozwól mi do niej polecieć, to zobaczysz.*

- Nie jestem aż taka głupia! - wykrzyknęła Selena. Curnow przycisnął ogon do masztu, pragnąc za wszelką cenę go zachować.

Selena spoglądała na niego chytrze swymi lawendowymi oczami.

- Jesteś bardzo pewny siebie.

- *Zgadza się.* Roześmiała się zimno.

- A ja jestem pewna, że mogę mieć wszystko, co chcę - swego kochanka, Carismont, Londyn, modne stroje i wpływy, czego tak pragnę. Nic, co mogłaby zrobić twoja Kate, nie może mi w tym przeszkodzić.

- *Tym, co zrobiła, już pokrzyżowała ci szyki, Seleno* - odparła kukulka. *- Jeśli opuścisz Lonie, będziesz spała sama, bo Denzil Portreath wkrótce poniesie śmierć.*

Belerion gapił się na ptaka. Czyżby kukulka do końca postradała rozum?

- Poniesie śmierć? - powtórzyła Selena.

- *O, tak. Bez wątpienia.*

Selena wolno się odwróciła, nie wiedząc, czy wierzyć kukulce, czy nie. Coś jej mówiło, że Cumow nie jest na tyle głupi, by w takiej chwili blefować. Mówił więc prawdę. Ale cóż mogła zrobić najdroższa druga żona Gerenta, co miałoby tak straszne konsekwencje?

Curnow przyglądał jej się

- *Kate może go przekonać, by przybył tu do ciebie.* Selena się odwróciła, by znów spojrzeć na kukulkę.

- Może uda mi się ją nakłonić do tego, by tak czy inaczej przysłała go do mnie. Może uda mi się to poprzez jej syna, czy nosi obrączkę z runami, czy nie!

- *W takim razie musisz to zrobić dziś w nocy, podczas pełni księżyca, a wątpię, by nawet tobie cokolwiek udało się osiągnąć w tak krótkim czasie. Więc albo posłuchasz mojej rady, albo musisz się pogodzić z kolejnym rokiem zwłoki. Ale wtedy Portreatha nie będzie już ani tam, ani tu.*

Selena głośno przelknęła ślinę.

- Dobrze - powiedziała. - Ale biada ci, jeśli spróbujesz mnie oszukać!

- *Mogę być kukułką, ale to nie znaczy, że jestem głupcem* - odparł Curnow i odetchnął z ulgą.

- Co mam zrobić? - spytała Selena.

- *Udaj się do Kate i spytaj ją o list, który napisała.*

- List?

Kukulka skinęła głową.

- *Musisz jej obiecać, że jeśli przyśle Portreatha do ciebie, uwolnisz Genevrę. To musi być uczciwa obietnica. Żadnych sztuczek i podstępów w stylu tych, do jakich jest zdolna Morgan le Fay.*

Selena przez chwilę przyglądała się uważnie ptakowi, a potem odwróciła się i wyszła z łodzi na brzeg.

Curnow mrugnął porozumiewawczo do Beleriona, który nadal nie miał pojęcia, do czego zmierza jego upierzony towarzysz.

- *Za chwilę wszystko ci wytłumaczę - szepnęła kukulka - ale najpierw muszę sprawdzić, czy potrafię tak daleko przesyłać moje myśli, żeby usłyszała je Kate. Miejmy nadzieję, że nawet będąc tu, w Lonii, uda mi się z nią porozumieć, chociaż przebywa na zamku.*

Belerion przewrócił oczami. Kukulka stawała się coraz głupsza, pomyślał.

Ale Curnow był pewien, że znalazł sposób, by wszystkich wkoło zadowolić.

Nawet Selenę i Portreatha, którzy z pewnością na to nie zasługiwali. Trzeba było tylko postarać się, by Kate poznała jego myśli. Wiedział, że wyczuwa jego obecność; teraz należało się przekonać, do jakiego stopnia potrafi czytać w jego myślach na odległość.

Rozdział 26

Kate i Gerent właśnie weszli do pokoju, w którym Justin i pani Pendern mocno spali. Gerent podszedł do okna w wykuszu, ale nigdzie nie było ani śladu Lonii, chociaż znad zatoki dochodził niesamowity odgłos bicia dzwonów. Nocne niebo wciąż było bezchmurne, wisząca nisko nad horyzontem srebrna kula księżyca rzucała jasne światło na wszystko wokół. Na wschodzie widać było pierwsze zapowiedzi jutrzeńki.

W Trezance wciąż paliły się światła, szczególnie w gospodzie „Pod Wodnicą”, bo całe miasto wiedziało, że tej nocy podczas przyływu stanie się coś niesłychanego. Denzil Portreath też tam był. Siedział na nabrzeżu ze spuszczonej nad wodę nogami. Wydawało się, że nawet upokorzenie, którego doznał, nie powstrzyma go przed chęcią obejrzenia na własne oczy tego, co się wydarzy.

- Ten przekłety drań wciąż tam jest - mruknął Gerent.

- Można się tego spodziewać po takim człowieku - odparła Kate.

- Czuję się taki bezsilny, Kate. Jestem ojcem Genevry, do mnie należy ta ziemia i miasto, a jednak nie mogę zrobić nic, żeby pomóc własnemu dziecku.

- Zostało jeszcze trochę czasu... - zaczęła Kate.

- Godzina, może półtorej. Potem zacznie się przyływ i Seleną będzie mogła opuścić Lonię. Pójdzie do Portreatha, który nie może się już na nią doczekać. Może nie będą mieli wszystkiego, czego chcą, ale wystarczająco dużo. Och, powinienem był posłać mu kulkę między oczy, kiedy nadarzyła się okazja.

- No właśnie, dlaczego tego nie zrobiłeś? - spytała Kate. - Nie wiem. - Gerent odwrócił się w jej stronę. - Miałem go na muszce, wystarczyłby jeden ruch, ale coś mnie powstrzymało. Przyszło mi do głowy, że będzie mi jeszcze potrzebny żywy, a nie martwy. Dobry Boże, ten człowiek zabił twojego pierwszego męża i zrobił ze mnie rogakza, a jednak pozwoliłem mu odejść.

- *Kate, czy mnie słyszysz?*

Nagle niewyraźnie dobiegł ją głos Cumowa. Wydała stłumiony okrzyk, ujęła spódnice i podbiegła do okna.

- Curnow? Gdzie jesteś? - zawołała.

- Coś usłyszałaś? - spytał Gerent.

- Mówi do mnie skądś. Słyszę jego głos.

- *Kate, czy mnie słyszysz?* - znów rozległ się głos kukulki. - *Jeśli tak, przekaż mi to telepatycznie.*

Zamknęła oczy i maksymalnie się skupiła.

- *Tak, słyszę cię.*

- *A ja słyszę ciebie! Och, cudownie! A teraz słuchaj uważnie.*

Gerent przyglądał jej się, jak stoi mocno zacisnąwszy powieki, ale po chwili jego uwagę przykuło okno. Oto ujrzał przed sobą Lonię, polaną osrebrzoną blaskiem księżyca. Selena szła w stronę zamku, jej połyskująca suknia ciągnęła się po ziemi, porośniętej dzikimi kwiatami.

Położył rękę na ramieniu Kate.

- Spójrz, Kate. Spójrz!

- Chwileczkę, Curnow mówi mi coś bardzo ważnego...

- Nie ma czasu.

Kate uśmiechnęła się do niego.

- Odzyskamy Genevrę. Gerencie, Curnow właśnie przedstawił mi plan, który nie może się nie udać!

- Jaki plan?

Kate spojrzała na Selenę, która niemal dotarła do stawu, gdzie było źródelko.

- Czy to jawa czy sen? - szepnęła sama do siebie, a potem zwróciła się do Gerenta: - Wyjdziemy jej na spotkanie. Rób, proszę, co mówię, i bez względu na wszystko popieraj mnie.

Skinał głową.

- Jeśli tego ode mnie żądasz, zrobię tak

- Och, Gerencie, tak bardzo cię Kocham - szepnęła i objęła go za szyję, by pocałować w usta.

Przytulił ją mocno, tak mocno, aż poczuli, jak biją ich serca, a potem ujął ją za rękę.

- A więc chodźmy na spotkanie z Seleną. Pospiesznie wybiegli z zamku i skierowali się do bocznej

furty. Stanęli na szczycie schodów i zobaczyli, że Selena czeka na nich przy stawie.

- Jacy jesteście domyślni! Zorientowaliście się, że przyszedłam z wami porozmawiać - powiedziała.

- Przyszłaś, żeby dobić targu, Seleno? - spytała Kate

i uniosła skraj sukni, by zejść po stromych stopniach. Chłodne powietrze nocy przeniknęło przez cienki jedwab i delikatne jak pajęczyna rękawy jej sukni, ale nie czuła zimna na skórze. Krew szybko krążyła w jej żyłach, była tak podekscytowana, że zmuszała się, żeby nie zacząć biec. Nie, teraz musi działać rozważnie. Musi mieć jasny umysł i robić dokładnie to, co powiedział jej Curnow.

Gerent zszedł po stopniach za nią, modląc się, by plan kukulki był rzeczywiście tak genialny, jak uważała Kate. Czy można było zaufać ptakowi, powszechnie nie cieszącemu się opinią zbyt mądrego?

Selena spojrzała na Kate, a potem na Gerenta.

- Szkoda, że jesteś taki przystojny, czasem, kiedy znajdę się zbyt blisko ciebie znów cię pożądam - mruknęła.

- Moje uczucie do ciebie już dawno przeminęło - odparł.

- Naprawdę? Przypuszczam, że byłbyś mój, gdybym tylko tego zapragnęła.

- Schlebiasz sobie, Seleno.⁷

Roześmiała się i odrzuciła swoje wspaniałe, rudozłote włosy.

- No cóż, Gerencie, jesteś teraz w Lonii i, o ile się nie mylę, przyszedłeś tu z własnej woli.

- Czego od nas chcesz? - spytała Kate, chociaż dobrze знаła odpowiedź.

- Curnow mi powiedział, że powinnam cię spytać o jakiś list.

- Owszem, napisałam list.

Gerent starał się nie okazywać zdumienia. List? Do kogo? Oczywiście Seleny zamigotały.

- Czyżby miało to dla mnie jakieś znaczenie?

- Jeśli kochasz Denzila Portreatha, to owszem - odparła Kate. Seleny się odwróciła, jej cudowna suknia połyskiwała przy najmniejszym ruchu.

- Wiesz, że go kocham.

Znów rozległo się bicie dzwonów i Kate zobaczyła, że niebo na wschodzie pojaśniało, przybierając odcień niebie-skozielonoturkusowy, dzięki czemu gwiazdy lśniły mocniej, niż zwykle. Podmuch wiatru poruszył gałęziami nieruchomych do tej pory drzew, trawa i kwiaty zaszeleściły, na stawie zmarszczyła się woda. Nadchodził przypływ.

Kate się uśmiechnęła.

- Tak, kochasz go, Seleno, ale go nie odzyskasz. Postarałam się już o to.

- Nie wierzę ci. - Wiatr, niosący zapach morza, rozwiał włosy Seleny.

- Och, być może w tej chwili na ciebie czeka, ale nie wie, że niebawem znajdzie się w rękach sprawiedliwości. Mam dowód, że twój ukochany zamordował mojego pierwszego męża w pojedynku i...

- Michael Kingsley był twoim mężem? - spytała zdumiona Seleny.

- Tak. Napisałam list, w którym ze szczegółami przedstawiłam okoliczności jego śmierci. W tej chwili jest w drodze do mojego prawnika w Londynie.

- Kłamiesz! - wykrzyknęła Seleny. Gerent pokręcił głową. \

- Nie kłamie. Przeczytałem ten list i osobiście wysłałem go do Charlesa Carpentera specjalnym kurierem. Pamiętasz Charlesa, prawda, Seleno? Zdaje się, że raz podważyłaś jego kwalifikacje w obecności księcia regenta.

Obawiam się, że od tamtej pory Charles nie jest do ciebie przychylnie nastawiony.

Selena była zdenerwowana.

Kate zwróciła się do niej ponownie.

- Ciekawa jestem, co wybierze Portreath. Czy w tej sytuacji będzie wolał zostać tam, gdzie zawisnie na stryczku za morderstwo, czy może zdecyduje się przenieść się do ciebie do Lonii?

Selena nie odpowiedziała, ale Kate widziała, jak myśli gorączkowo.

- Seleno, jestem gotowa porozmawiać z Portreathem, powtórzyć mu słowo w słowo treść listu. Zda sobie wówczas sprawę, że jego dni są policzone, i raczej będzie wolał uciec do Lonii, niż dać się powiesić. Ale zrobię to dla ciebie pod warunkiem, że ty też coś dla mnie zrobisz.

- Och, nie mam co do tego wątpliwości - mruknęła Selena. - Domyślam się, że chodzi o Genevrę?

- Tak. A także o Beleriona i Cumowa - powiedziała Kate, dowiedziawszy się od kukulki, że razem z Genevrą oni także zostali uwięzieni na złotej łodzi. - Zostało już niewiele czasu, Seleno. Musisz zdecydować się szybko.

Suknia Seleny zaszeleściła głośno, kiedy kobieta zaczęła chodzić tam i z powrotem.

Kate przyglądała się jej z niepokojem, a potem spojrzała na coraz jaśniejsze niebo. Nie miała pojęcia, kiedy rozpocznie się przypływ. Może za kilka minut, może za godzinę. Ale kiedyś się zacznie i wtedy będzie już za późno.

- Seleno, musisz rozważyć, jak bardzo zależy ci na Den-zilu. Uwierz mi, możesz go mieć tylko wtedy, jeśli to on przyjdzie do ciebie. Porwanie Genevry i zamiana z nią na światy nic ci nie da, ponieważ człowiek, którego kochasz, zostanie skazany za swoją zbrodnią.

Selena przyjrzała się jej badawczo.

- Nie doceniłam cię, prawda?

- Obie jesteśmy gotowe walczyć o tych, których kochamy - odparła Kate.

- Na to wygląda. - Nagle fioletowe oczy Seleny stały się podejrzliwe. - Skąd masz pewność, że Denzll cie, usłucha?

- Mam tę pewność - odparła Kate, chociaż wcale nie było to zgodne z prawdą. Plan Curnowa był genialny, ale czy niezawodny? A co będzie, jeśli Portreath zarzuci jej, blef i postanowi zaryzykować? List rzeczywiście można było poniewczasie ułożyć, Jan Portreath mógłby wystąpić jako świadek, ale kto mógł dać gwarancję, że cokolwiek uda się udowodnić? Wszystko spoczywało w rękach Boga...

Nagle Selena skinęła głową.

- Dobrze, idź do Denzila i powiedz mu, jaki ma wybór. Kiedy zdecyduje się przyjść do mnie, poproś go, żeby wszedł na groblę podczas przypływu. Będę tam na niego czekać i razem wrócimy do Lonii.

- A co z Genevrą, Curnowem i Belerionem? Skąd mam wiedzieć, że są bezpieczni?

- Przeprowadzę ich ze sobą. Zostawię ich na stopniach, gdzie już nie sięga woda podczas przypływu. Ale jeśli spróbujesz mnie oszukać...

- Możesz być spokojna - obiecała jej Kate.

- W takim razie idź już.

Nagle Kate uzmysłowiła sobie pewną bardzo poważną trudność.

- Seleno, jak mamy wrócić do teraźniejszości i naszego świata? Jesteśmy teraz w Lonii i żadne z nas nie wie, jak wrócić do naszego świata.

Selena się uśmiechnęła.

- Obydwoje śpicie. Wystarczy się obudzić. Ten staw istnieje i tu, w Lonii, i w waszym świecie. Dzięki zimnej wodzie uda wam się to, czego teraz potrzebujecie. - Powiedziawszy to, Selena zniknęła. Zobaczyli lawendowe światełko, szybujące ku rzece i złotej łodzi.

Gerent i Kate uklękli na brzegu stawu i zanurzyli ręce w chłodnej wodzie.

Nagle wszystko wkoło zawirowało, drzewa zniknęły i ukazał się piasek i oblepione wodorostami skały. Światła Trezance migotały w pierwszych promieniach świtu. Wśród tłumu ludzi na nabrzeżu obydwójce dostrzegli Denzila Portreatha. Gerent chwycił Kate za rękę.

- Chodź, mamy bardzo mało czasu.

Biegli po ubitym piasku tak szybko, jak tylko mogli. Pierwsze mewy zaczęły się budzić, a niebo na wschodzie z każdą chwilą stawało się jaśniejsze. Kate była pewna, że przez głuchoe odgłosy bijących dzwonów słyszy daleki szum zbliżającej się fali przyływu, tak jak wtedy, na balkonie w hotelu „Pulteney”. Ale tym razem było to aż nadto prawdziwe.

Portreath wstał na ich widok i skierował się do swego konia, zamierzając uciec przed Gerentem, ale Kate zawołała do niego:

- Nie, proszę! Niech pan zaczeka, panie Portreath! Mamy panu coś ważnego do powiedzenia!

Zawahał się.

- Proszę! - krzyknęła błagalnie. - Zostało tak mało czasu, a to bardzo ważne! Odwrócił się i podszedł z powrotem do skraju nabrzeża, akurat gdy dotarli do schodów, prowadzących na brzeg, gdzie samotny kamień znaczył początek grobli. Teraz już Wszyscy słyszeli szum wody, a kiedy Kate z Gerentem się obejrżeli, zobaczyli pierwsze fale z białymi grzywami, które ukazały się na wysokości wyspy. Kate stanęła przed kochankiem Seleny. Brakowało jej tchu, a serce tak jej waliło, że mało nie wyskoczyło jej z piersi.

- Panie Portreath...

- Nie może pani powiedzieć nic, co by mnie zainteresowało - przerwał jej.

- Bardzo się pan myli. Jeśli nie uda się pan z Seleną do Lonii, zawiśnie pan tutaj za morderstwo.

- Wątpię - powiedział i roześmiał się.

- Mam na to dowody, a właśnie w tej chwili list na ten temat jest w drodze do Londynu. Jedyne, co pana tutaj czeka, to stryczek, więc została panu tylko jedna droga ratunku: ucieczka do Lonii. - Kate obejrzała. Zaczął się przyływ, spieniona woda zalewała piasek i skały.

Gerent wskazał ręką pomost na wyspie.

- Spójrz, są tam!

Rzeczywiście, stała tam Selena, w swojej cudownie połyskującej sukni, a razem z nią byli Genevra i Belerion. Na stopniach stała wiklinowa klatka, a w niej prawdopodobnie Curnow. Tak, kukulka była w środku, bo nagle Kate usłyszała jej gorączkowy głos.

- *Pospiesz się! Została już tylko minuta!* Znow spojrzała na Portreatha.

- Wystarczy, że wejdzie pan na grobę. Selena nadejdzie z drugiej strony. A kiedy woda zaleje drogę, obydwójecie znajdziecie się w Lonii.

- Chce pani powiedzieć, że utonę! - krzyknął Portreath i twarz mu pobladła, gdy patrzył na wzbierające morze.

- Będzie pan żył w Lonii. Razem z Seleną. Wtem Gerent złapał go za kłapy surduta.

- Do diabła, Portreath! Nie widzisz, że to twoja jedyna szansa? Jeśli tu zostaniesz, zawisniesz na stryczku! Chociaż z przyjemnością bym na to popatrzył, muszę myśleć o swoim dziecku. Więc ruszaj na grobę albo zaraz cię uduszę gołymi rękami!

Kate patrzyła na morze.

- Błagam pana, panie Portreath! Niespodziewanie skinał głową.

- Zgoda. Ale gardzę tobą, Carismont, i zawsze będę tobą gardził. Uwierz, jeśli znajdę sposób, by przebywając w Lonii uprzykrzyć ci życie, zrobię to!

- Nie boję się ciebie, Portreath.

Ryk wody dobiegał teraz ze wszystkich stron, zagłuszając bicie dzwonów.

Tłum na nabrzeżu patrzył w milczeniu, jak Portreath wchodzi na grobę i wolno idzie w stronę wyspy. Naprzeciwko szła Selena w swej pięknej sukni, błyszczącej bardziej niż wszystkie brylanty świata. Wydawało się, że niemal sunie, kiedy morze biło w granitową ściany. Gdy zderzyły się fale dwóch przeciwnych prądów, wszystko wkoło przykryła wodna mgła, która uniosła się nad spienionym morzem.

Tam, gdzie byli przed chwilą Selena i jej kochanek, unosiły się teraz dwa małe światełka, takie same, jak to, które Kate po raz pierwszy zobaczyła w hotelu „Pulteney”. Poszy-

bowwały do siebie, splotły się, a potem zniknęły w morzu. Dzwony umilkły w chwili, gdy grobla przestała być widoczna pod wzburzonymi falami.

Woda ochlapała nabrzeże, gapie pospiesznie się cofnęli. A kiedy kilka minut później morze się uspokoiło, nie było już ani śladu Denzila Portreatha i Seleny. Obydwoje znaleźli się w Lonii.

- Mamo!

- Tato!

Dziecięce głosiki dobiegły do nich z wyspy i Kate była bliska płaczu ze szczęścia, widząc Justina i Genevrę, podskakujących i machających do nich rączkami. Była z nimi pani Pendern. Belerion wydał z siebie potężny ryk, niewątpliwie zadowolenia, a Kate usłyszała wrzask Cumowa:

- *Na paluch Bedivere'a, czy ktoś wreszcie wypuści mnie z tej okropnej klatki?*

*

Jakiś czas później, kiedy woda cofnęła się wystarczająco, Kate i Gerent, trzymając się za ręce, wrócili na wyspę. Morze było spokojne, w pierwszych promieniach słońca majowego poranka miało niebieskozielony kolor.

Ludzie zebrali gałęzie głogu, by ozdobić nimi swoje domy, a dzieci z

Tre-zance tańczyły wkoło przystrojonego maiku. Kiedy Kate i Gerent szli groblą, dźwięki melodii „Nasz maik zielony” unosiły się nad nabrzeżem.

Justin i Genevra już na nich czekali, pilnowani przez panią Pendern, ale Belerion wyrwał się i gnał przez płytką wodę, wciąż przykrywającą drogę, by jak najszybciej dołączyć do Kate i Gerenta. Cumowa wypuszczono z klatki i latał teraz nad nimi, kukając, skrzecząc i mówiąc jednocześnie.

- *Ku-ku! Hejże, ha! Ćwir, ćwir! Tra la la! Jaki cudowny majowy dzień! Na goleń Artura, nigdy się nie czułem lepiej!*

Groblę pokrywała już tylko centymetrowa warstewka wody, jak tamtego wieczoru, kiedy powóz przywiózł Kate do jej nowego domu. Śmiała się głośno, kiedy skraj jej sukni o niemodnej długości moczył się w płytkiej wodzie.

Gerent przystanął, by objąć swą żonę.

- Kocham cię, Kate.

Pocałował ją w usta, a od nabrzeża dobiegły wesole okrzyki zgromadzonych. Kate lekko się zapłoniła i odsunęła trochę.

- Może nie powinniśmy się całować w miejscu publicznym -mruknęła.

- Może, ale ponieważ wszystko to należy do mnie, chyba nie muszę zwracać uwagi na takie drobiazgi. - Uśmiechnął się, ale po chwili spoważniał. -

Żałujesz, że mnie poślubiłaś, Kate?

- Czy żałuję? Z całą pewnością nie. Nie miałam wątpliwości ani przez chwilę, że słusznie robię.

- To dobrze - szepnął i znów ją przytulił.